

POLITYKA HISTORYCZNA



Chodakiewicz: Trzeba dokończyć ekshumację w Jedwabnem

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 12/315 18-24 MARCA 2019

Ostre starcie
z Kają Godek



ABSURDY
POPRAWNOŚCI
POLITYCZNEJ:
JAK Z JOHN A WAYNE'A
ZROBIONO RASISTĘ

Ziemiński kpi
z „Wysokich Obcasów”

Nadciągająca dyktatura LGBT

JAK SIĘ PRZED NIĄ BRONIĆ?

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 78 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 98a08511



Na koncert
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
Do wierszy Zbigniewa Herberta

Zaprasza Mecenasa



GDAŃSK POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA
18 MARCA 2019 r. GODZ. 20.00



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tęczowa równia pochyła

Wbrew temu, co próbują nam wmówić od kilku tygodni zręczni propagandyści (ich dokonania można obserwować na kilku dużych portalach), to nie PiS wywołał wojnę z działaczami LGBT, ale przeciwnie – partia rządząca zareagowała, szkoda, że tak późno, na ideologiczną napaść lewicy. Prawdziwymi agresorami są Rafał Trzaskowski i Paweł Rabiej, którzy próbują narzucić mieszkańcom Warszawy ideologię genderową. Mało mnie obchodzi, dlaczego to robią. Może z głupoty, może z wyrafinowania, może żeby się przypodobać wpływowym mediom, a może żeby osłabić konkurencję na lewicy. Nie mam jednak wątpliwości, że w tym przypadku można z czystym sumieniem powiedzieć, iż obaj panowie przekroczyli wszelkie granice. Dokonali zamachu na prawo naturalne i mam nadzieję, że za to zapłacą.

W całej wojnie kulturowej, którą od dziesiątków lat toczą o duszę społeczeństw lewicowi radykałowie, chodzi właśnie o to: o zniszczenie pojęcia natury. O zanegowanie naturalnego podziału na płci i zastąpienie go swobodnym wyborem jednostki. Temu służy swoisty

językowy potworek, jakim jest określenie „orientacja seksualna”. Tak jakby popęd mężczyzn do kobiet (i odwrotnie) nie był czymś naturalnym, ale właśnie neutralnym i swobodnym, równym co do zasady popędowi panów do panów i pań do pań. Jeśli tak jest, jeśli orientacja „heteroseksualna” jest tyleż warta i tak samo naturalna jak orientacja „homoseksualna” lub „innoseksualna”, to w oczywisty sposób rozumowanie to musi pociągać za sobą rewolucję społeczną i obyczajową. Za rozumowaniem tym stoi przekonanie, że szczęście człowieka polega na spełnianiu pożądań, te zaś nie są poddane żadnej moralnej ocenie, żadnej zewnętrznej mierze. Tak długo jak osoby dorosłe (męskie, żeńskie, pary, trójki, dziesiątki) czerpią przyjemność z tego, co robią, nie podlegają żadnej ocenie. Jeśli tak jest i jeśli orientacje są sobie równe, jeśli pragnienia „heteryków” są warte tyle samo co „homoseksualistów”, „lesbijek” i innych, to dotyczy to nie tylko dorosłych, lecz także dzieci. Dlaczego dopiero dorośli mogą spełniać swoje pożądania?

Oznacza to konieczność gwałtownej przebudowy całego systemu edukacji: dzieci już od najwcześniejszych lat

muszą się uczyć, że wszystkie orientacje są równe. Trzeba im to pokazywać, pobudzać je do tego, uczyć je tego doświadczać. Taka jest prosta konsekwencja ideologii homoseksualnej: jeśli szczęście polega na życiu zgodnie z orientacją, a orientacje są sobie równe, bo żadna nie jest naturalna lub nienaturalna, to trzeba tę wiedzę przekazać i nauczyć tego dzieci od najmłodszych lat, żeby już w wieku kilku, a na pewno kilkunastu lat mogły eksperymentować i swobodnie sprawdzać, kim są, jaką mają płć, co daje im przyjemność. Trzeba też pozbyć się dotychczasowych tabu i społecznych norm. Kto raz zaakceptuje równość orientacji płciowych, ten – niezależnie, czy tego chce, czy nie – musi ostatecznie podążyć opisaną tu drogą. To jak równia pochyła. Pierwszy popełniony w rozumowaniu błąd musi prowadzić do wielu konsekwencji. Nie wszyscy to rozumieją i nie wszyscy przewidują te konsekwencje, co nie zmienia jednak tego, że takie one są. Kolejną musi być odebranie i ograniczenie praw rodziców. Jeśli szczęście człowieka polega na swobodnym korzystaniu z popędów i orientacji, to rodzice, którzy próbują to zatrzymać, okazują się, obiektywnie, wrogami szczęścia swoich dzieci. Dlatego musi ingerować państwo i albo zmusić rodziców do posłuchu, albo im dzieci zabrać.

Pierwszy błąd – uznanie, że istnieje orientacja homoseksualna równa heteroseksualnej – prowadzi do idei państwa zamordystycznego, które w imię walki o szczęście i wolność będzie niszczyć prawo natury. To, że nie są to tylko czcze wymysły i zabiegi retoryczne, pokazują przykłady innych państw Zachodu, które wkroczyły na tę straszną drogę. Nie ma z niej odwrotu. I, co łatwo zauważyć, na jej końcu nie ma szczęścia, lecz właśnie chaos, rozpad i ból. Tak mści się natura, którą człowiek chce poddać swojej woli. ©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI

HOMOTERROR

To jeszcze lobbying LGBT czy już opresja?

22 KRYSZTOF KRATUŁ

POTRZEBNA KATOLICKA KONTREWOLUCJA

26 OLIVIER BAULT

OPŁAKANE SKUTKI LGBT+



KRAJ

28 ROZMOWA Z KAJĄ GODEK

NIE POZWOLĘ SOBIE ZAMYKAĆ UST

Zabijanie, żeby ktoś nie umarł, to absurd

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ROZMOWY PRZY KASTROWANIU

34 KAMILA BARANOWSKA

WALKA O KONICZYNĘ

36 ŁUKASZ WARZECHA

STRAJK O KASĘ, NIE O ZMIANĘ

38 PIOTR SEMKA

SPÓR O „BUREGO” – NOWA ODSŁONA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

ABY NIE ZOSTALI SAMI

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK

POTWÓR Z NEVERLANDU

Wstrząsający dokument HBO

45 ANNA POPEK

NIEZWYKŁY ŚWIAT IŁŁY

46 MACIEJ URBANOWSKI

CO TWORZY TOŻSAMOŚĆ

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 MAREK JAN CHODAKIEWICZ

EKSHUMACJA, NATYCHMIAST!

Albo cała prawda, albo domysły

58 ROMUALD KMIĘCIK

KAGANIEC DLA DZIENNIKARZY

HISTORIA

62 PIOTR SEMKA Z BERLINA

KIEDY BERLIN TAŃCZYŁ ZE ŚMIERCIĄ

Kłopotliwa rewolucja

ŚWIAT

68 JACEK PRZYBYLSKI

UPADEK GWIAZDORA LEWICY

Kanadyjczycy
rozczarowani
liberalnymi rządami
Justina Trudeau

72 PIOTR WŁOCZYK

BOJE Z KOWBOJEM



74 MACIEJ PIECZYŃSKI

IZRAELSKO-ROSYJSKI ANTYPOLONIZM

76 TERESA STYLIŃSKA

ILE ZNACZY SŁOWO LUDU

EKONOMIA

78 STEFAN SĘKOWSKI

ELEKTROMOBILNA FANTAZJA

Czy warto stawiać
na samochody elektryczne?

80 ŁUKASZ ZBORALSKI

INFORMACJE POD KONTROLĄ

SPORT

84 ROZMOWA Z WITOLDEM BAŃKĄ
UCZYMY INNYCH, JAK WALCZYĆ
Z DOPINGIEM

Polski sport jest czysty

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z MACIEJEM MIŁKOWSKIM
KSIĘGOWY

W MINISTERSTWIE ZDROWIA?

Wiceminister zdrowia
specjalnie dla „Do Rzeczy”

Drodzy Czytelnicy,

Dziś rubrykę oddajemy w całości naszemu publicyście Piotrowi Semce, który na łamach „Do Rzeczy” chciał wyjaśnić pewną kwestię dotyczącą wiadomości „Piątka u Semki”. W Państwa ręce rubryka wraca w przyszłym tygodniu, dlatego zachęcamy do przesyłania listów (adres w stopce) oraz e-maili na: listy@dorzeczy.pl.

Wyjaśnienie Piotra Semki w sprawie jego książki

Już po ukazaniu się na rynku mojej książki „Piątka u Semki” otrzymałem życzliwy w tonie list od Jarosława Kurskiego. List ma osobisty charakter, dlatego nie cytuję go w całości. Zawiera jednak prośbę o sprostowanie w jednej, szczegółowej kwestii. Postanowiłem zawrzeć je w tej notce.

Jarosław Kurski, odnosząc się do książki, pisze w swoim liście:

„Są dwa błędy. Jeden mniejszy, a drugi poważny, który – nie kryję – sprawił mi przykrość.

Mniejszy: str. 59: Wiesiek Walendziak nigdy nie był moim mistrzem. Razem z Jankiem Ebertem i Adamem Pawłowiczem był moim najbliższym przyjacielem, po prostu. Moim mistrzem byli: Olek Hall, Bogdan Borusewicz, Wiesław Chrzanowski, ale nigdy nie był nim Wałęsa. Nigdy nie miałem zachwytu dla Lecha. Była racjonalna ocena, że przy Okrągłym Stole zachował się, jak trzeba.

[...] Prawdziwy problem mamy jednak na stronie 207. Piszesz: „Nie wiedziałem, że mój dawny szkolny kolega przygotuje szkalującą (?) książkę o Wałęsie, a pomaga mu w tym sam redaktor naczelny »Wyborczej«, który wysłał do Gdańska maszynistkę i dwóch researcherów, którzy mieli pomóc Jarkowi. Uważam, że »Wódz« to osobista zemsta Michnika na Wałęsie”.

Piotrek, to po prostu nieprawda, by nie powiedzieć pomówienie. Maszynistka? Książkę napisał sam od „a” do „z” na walizkowej maszynie do pisania, na wczasach dla emerytów w ośrodku Delfin w Krynicy Morskiej (sic!), a wcześniej w mikroskopijnej kuchni (przy Bohomolca, gdzie bywałeś), by nie budzić śpiącego w pokoju rocznego Pawła. Jeżeli była jakaś maszynistka, to tylko z „Tygodnika Gdańskiego”, która niektóre rozdziały przepisywała, bo „Tygodnik” pierwotnie miał książkę wydać. Nic z tego nie wyszło. Researcherzy? Że niby z „Wyborczej”, w której znałem tylko Helenę z naszych warsztatów w NMP zresztą? Pracę w „Wyborczej” podjąłem 1 stycznia 1992 r. Książka wyszła w marcu 1991 r., po zwycięstwie Lecha. Adam Michnik przeczytał ją dopiero w druku. Zresztą wbrew rozmaitym mitom Adama też wtedy słabo znałem. Zanim zacząłem pracę w „Wyborczej”, spotkałem się z nim cztery razy:

1. przed Okrągłym Stołem w Sopocie;
2. w śmigłowcu, gdy lecieliśmy na Śnieżkę na spotkanie z Havlem;
3. w Sopocie w waszej – Twojej i Jacka – obecności;
4. w Warszawie, po sławnym komitecie obywatelskim na UW”.

Tyle sprostowanie Jarosława Kurskiego.

Tak jak każdą opowieść o przeszłości oparłem ją na swojej pamięci. Być może była ona zwodnicza. Jeśli tak, to przepraszam. Dlatego chciałbym, aby każdy mógł zapoznać się z opinią Jarosława.

Na pewno wzbogaci to wiedzę o tamtych ważnych latach.

Za list serdecznie dziękuję.

Piotr Semka

TYGODNIK LITERATURY
**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięcki**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Slawomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Cioś (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Piotr Gursztyn**, **Katarzyna**,
Jack Komuda, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (Rzym), **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małkowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sekowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torasiński**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress).
Współpracuje: **Marek Budzisz**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jackie Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**

Okładka: **Jackie Domiński/REPORTER**, **Adobe Stock**, montaż: **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG
POLSKIE MEDIA SA

spółka
notowana na
GPW

PORTAL DORZECZY.PL

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Mały, udrakia, na których
kaczyński odzwia wypłaty
pieńgdy pod stołem



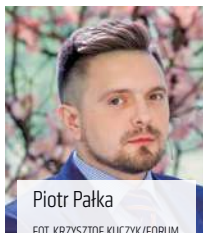
C E Z E R Y K + Y S T O P A

Kulisy zmian w zarządzie TVP

W czwartek Rada Mediów Narodowych odwołała Macieja Staneckiego z zarządu Telewizji Polskiej. Powołano do niego za to Marzenę Paczuską i Piotra Pałkę.

Wprowadzenie do zarządu TVP Paczuskiej to wynik porozumienia z prezydentem Andrzejem Dudą, od dawna krytycznie oceniającym narrację i kształt serwisów informacyjnych TVP. Według naszych ustaleń środowisko prezydenta podczas tajnego spotkania z najważniejszymi politykami PiS domagało się głowy Jacka Kurskiego. Miał to być warunek podpisania przez prezydenta ustawy o rekompensacie abonamentowej prowadzącej do przekazania mediom publicznym ok. 1,2 mld zł. Kandydatura Paczuskiej – według naszych informatorów – pojawiła się, gdy prezes PiS Jarosław Kaczyński zapowiedział, że nie zgadza się na dymisję Kurskiego. Udziałowi Paczuskiej w zarządzie TVP miał zdecydowanie sprzeciwiać się wicepremier Piotr Gliński, który z kolei według naszych źródeł miał chcieć wprowadzić do zarządu telewizji Mateusza Matyszkowicza, byłego dyrektora TVP1. Matyszkowicz jest kojarzony ze środowiskiem premiera Mateusza Morawieckiego.

Marzenę Paczuską, była szefową „Wiadomości”, typowano na szefową TAL.



Piotr Pałka

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM



Marzena Paczуска

FOT. I. SOBIESZCZUK/TVP/FORUM

Serwisy informacyjne i publicystyka to jej oczko w głowie. Nasi informatorzy mówią jednak, że takiego stanowiska nie dostanie. – Nie ma mowy, by miała mieć wpływ na serwisy informacyjne. Dostanie agencję kreacji publicystyki, dokumentu i audycji społecznych, działkę, którą dzisiaj opiekuje się Krzysztof Karwowski – twierdzi nasz rozmówca. Decyzje w tej sprawie miały zapaść w piątek wieczorem, na pierwszym posiedzeniu nowego zarządu TVP, już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy”.

Do zarządu TVP wszedł też Piotr Pałka, były zastępca dyrektora TVP ds. audycji rozrywkowych i artystycznych, zwolniony z telewizji po tym, gdy do konkursu Debiuty na festiwalu w Opolu zakwalifikowano piosenkę „Siła kobiet” Girls on Fire nawiązującą do feministycznych czarnych marszów. Pałka uważany jest za człowieka bliskiego zarówno środowisku

Morawieckiego, jak i obozowi prezydenta Andrzeja Dudy, należy też do środowiska Matyszkowicza. Jednak wśród polityków PiS mówi się też, że jego powołanie do zarządu TVP to element jeszcze innej układanki – porozumienia z Pawłem Kukizem. Rzeczywiście, odwołany członek zarządu TVP Maciej Stanecki wcześniej związany był z rockowym muzykiem, ale ich drogi kilka miesięcy temu się rozeszły, a Kukiz miał naciskać na jego odwołanie. – I tak się miało stać, ale za dwa miesiące. Jednak skoro zmiany przeprowadzamy teraz, ustępując panu prezydentowi, to przy okazji wymieniliśmy też Staneckiego – mówi nasz informator.

Pałka ma odpowiadać za Teatr Telewizji i kanały historyczne oraz kulturalne. Nasi informatorzy są zgodni – teraz w zarządzie TVP będzie iskrzyć i Jacek Kurski może być przegłosowywany przez Pałkę i Paczuską. Kurski może natomiast liczyć na poparcie Macieja Łopińskiego, przewodniczącego Rady Nadzorczej TVP, a Rada może członków zarządu zawiesić w pełnieniu stanowisk. Nadto w piątek oficjalnie nowym szefem TVP Info został Krystian Kuczkowski, uchodzący za człowieka Kurskiego. ©©

Wojciech Wybranowski

Akcja CBA w sprawie wyłudzeń VAT

W związku ze śledztwem w sprawie wyłudzenia blisko 29 mln zł – jak podejrzewa prokuratura – na podstawie fikcyjnych faktur VAT w zeszłym tygodniu funkcjonariusze CBA zatrzymali kolejne osoby w Warszawie, Toruniu i Lublinie.

Akcja CBA to etap prowadzonego od 2017 r. śledztwa w sprawie przekroczenia uprawnień przez syndyka Tomasza S. i związane z nim osoby oraz wyprowadzenia pieniędzy ze spółki branży kolejowej – będącej w stanie upadłości, a następnie – jak twierdzi CBA – pranie wyprowadzonych pieniędzy poprzez fikcyjne faktury i umowy-zlecenia wystawiane na firmy służy. Jednym z zatrzymanych był Michał M. Lisiecki, prezes i główny właściciel PMPG

Polskie Media – większościowego udziałowca spółki Orle Pióro wydającej tygodnik „Do Rzeczy”. Prokuratura uważa, że był członkiem zorganizowanej grupy przestępczej. Według naszych informatorów kwestie związane z wydawaniem prasy i tygodnikami, w których udział ma PMPG, w śledztwie w ogóle się nie pojawiają.

PMPG poinformowało, że już pięć miesięcy temu Michał M. Lisiecki zwrócił się do prokuratury i zadeklarował chęć przekazania wszystkich informacji i dokumentów, którymi dysponuje. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie było wiadomo, jaką decyzję podjął sąd w sprawie wniosku prokuratury o tymczasowy areszt dla Lisieckiego. (ww) ©©

RAPORT O PEDOFILII W KOŚCIELE

Episkopat zaprezentował w ubiegłym tygodniu dane dotyczące przypadków pedofilii wśród polskich księży. Wynika z nich, że od 1990 do czerwca 2018 r. Kościół otrzymał 382 zgłoszenia przypadków wykorzystania seksualnego osób małoletnich. A dokładniej jest to liczba księży, którzy mieli skrzywdzić dzieci. Spośród tych przypadków 198 dotyczyło osób w wieku poniżej 15 lat. Przy czym w zestawieniu nie uwzględniono dwóch jurysdykcji, z których episkopat nie otrzymał ankiet.

Według danych episkopatu 41,6 proc. przypadków wykorzystania zgłosili sami poszkodowani, ok. 21 proc. to zgłoszenia od osób bliskich poszkodowanych, 6 proc. powiadomień pochodziło od organów ścigania, a 5 proc. – z mediów. ©© (luz)

Pokonać szatana



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie jestem w stanie tego kontrolować, gdy to się dzieje. A później niczego nawet nie pamiętam” – mówi jedna z osób dzielących się swoją dramatyczną historią w filmie „Uwolnij mnie”. Włoski dokument pokazuje walkę sycylijskich egzorcystów z szatanem. I robi to w taki sposób, że cierpnie skóra.

Osoby opętane i kapłani starający się ich uwolnić opowiadają o walce z szatanem. O tym, co się dzieje, gdy człowiekiem kieruje zło. O objawach i konsekwencjach. O tym, że szatan atakuje również osoby wierzące. O tym, że zły duch jest przebiegły i nikt nie może czuć się zupełnie bezpieczny.

Kamera dokumentalistów towarzyszy włoskim kapłanom także podczas samych egzorcyzmów i to te fragmenty filmu są najbardziej poruszające. Zły wygany przez egzorcystów walczy. Co pokazano bez żadnego zmniejszającego filtra. Opętani cierpią, krzyczą, rzucają się po podłodze. Te momenty dokumentu pokazują dobitnie, jak potrzebna i szalenie trudną pracę wykonują ci superksięża, którzy rzucają wyzwanie sza-

tanowi. Ksiądz Antoni Zieliński, polski egzorcysta, mówi o „Uwolnij mnie” tak: „Film pokazuje prace kilku egzorcystów włoskich. Są to kapłani niezwykle wielkiej wiary i prostoty w relacjach do Pana Jezusa. Ważna jest również pomoc ludzi świeckich zaangażowanych w posługę uwalniania i egzorcyzmowania. Kapłani egzorcysty działają prostymi metoda-

mi, skutecznymi w Kościele od wieków. Film pokazuje wiele współczesnych zniewoleń”.

Reżyserka „Uwolnij mnie”, Federica Di Giacomo, podkreśla, że nie zależało jej na „podkreśaniu” rzeczywistości, ale na pokazaniu walki ze złem absolutnym taką, jaka jest w rzeczywistości. „Struktura filmu prezentuje pełną gamę życia bohaterów – od codziennych, zwykłych sytuacji do ewidentnie nienormalnych i niepokojących zachowań. Uważam, że udało nam się zachować właściwą dyskreję i szacunek wobec nieznanych rzeczy oraz wobec tych, którzy głęboko dotykają duchowości niektórych ludzi. Zdecydowałam się na opowiedzenie tej historii z perspektywy ludzi, którzy doświadczają tego każdego dnia. Nie tylko „opętanych”, lecz także kapłanów, którzy nie decydują się zostać egzorcystami z własnej woli – są nominowani przez swoich biskupów. Mimo to przyjmują tę rolę z wiarą i całkowicie zmieniają swoje życie, co się wiąże z tym, że są »oblegani« w dzień i w noc” – mówi reżyserka.

„Uwolnij mnie” został w 2016 r. okrzyknięty najlepszym filmem konkursu „Horyzonty” podczas festiwalu w Wenecji. Jest to film, który poruszy osoby wierzące, a i niewierzącym może dać do myślenia.

Dokument na DVD będzie można kupić z „Do Rzeczy” od 25 marca. © (raw)



25 marca
z „Do Rzeczy”
poruszający
dokument
o egzorcyzmach
„Uwolnij mnie”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nieśmieszna komedia

Wyścigu do urzędu prezydenta Ukrainy na czoło sondaży wysunął się Wołodymyr Zełenski.

Według badań instytutu BDM z 13 marca Zełenski może liczyć na 25,9 proc. głosów. Na kolejnych miejscach są: była premier Julia Tymoszenko z wynikiem 17,9 proc. i obecny prezydent Ukrainy – Petro Poroszenko, którego według sondażu popiera tylko 13,3 proc. wyborców.

Wołodymyr Zełenski ma 41 lat i całą swoją karierę zbudował na telewizyjnej rozrywce. Jeszcze w czasie studiów na wydziale prawa zaczął występować jako komik. Dziś jest właścicielem wielkiej firmy medialnej Kwartal 95. A ogromną popularność zdobył jako tytułowy bohater serialu „Sługa narodu”. Jest to opowieść o kijowskim nauczycielu historii Witaliju Hołobrodce, który wskutek sekwencji zbiegów okoliczności zostaje wybrany na urząd prezydenta Ukrainy.

W tej roli udaje mu się wyrwać próbom uczynienia zeń marionetki sitwy urzędników prezydenckich. Prezydent Hołobrodka zaczyna najpierw krytykować, a potem zmieniać wszystko, co tak irytuje

zwykłych Ukraińców w tamtejszej polityce: korupcję, wyzywające bogactwo i kumoterstwo.

Popularny serial z sympatycznym aktorem, celnie wytykającym słabości ukraińskiej demokracji, pozwolił Zełenskiemu miękko przejść do kampanii wyborczej w realu.

Można się spierać, czy była to operacja socjotechniczna zaplanowana od początku, czy sam Zełenski zauważył w pewnej chwili, że to, co odgrywa na ekranie, można powtórzyć na żywo.

Problem jest inny. Ludzie patrzą na Zełenskiego przez pryzmat filmu, tymczasem rzeczywisty Zełenski mówi o swoim programie bardzo niewiele. Owszem, jeszcze parę lat temu jako komik wykpiwał Rosję, ale dziś rzuca bardzo niejasne komunikaty na temat swej wizji przyszłości Ukrainy. Raz podzielił się uwagą, że „nie wiadomo, czy Zachód nas chce”, innym razem bąknie coś, że Ukraińcy winni iść swoją drogą. Jak na kraj znajdujący się w stanie wojny z Rosją i ugodzony aneksją Krymu to niewiele.

Serialowy Hołobrodka to człowiek skromny, otwarty

i szczerzy. Prawdziwy Zełenski ma ogólnikowy program, niemal nie udziela wywiadów dziennikarzom i porusza się wielkimi limuzynami, otoczony tłumem ochroniarzy. Ukraińska prasa może tylko spekulować, na ile jest uzależniony od potężnego oligarchy Ihora Kołomojskiego i poprzez niego powiązany z Rosją. Może dużo, może średnio, a może niewiele. Na Ukrainie nigdy nie można być niczego pewnym do końca.

WPolsce pojawienie się takiego człowieka znikąd nie powinno aż tak bardzo dziwić. W 1990 r. szaman z Peru – Stanisław Tymiński – doszedł aż do drugiej tury, pokonując Tadeusza Mazowieckiego i ulegając dopiero Lechowi Wałęsie.

Być może Zełenski polegnie w drugiej turze. Ale na razie uzyskał już znaczną przewagę. A pierwsza tura wyborów 31 marca.

Na Ukrainie wiele zjawisk jest takich jak w Polsce, tylko bardziej. Z tym większą uwagą warto obserwować bajkową karierę telewizyjnego komika. Być może ktoś nad Wisłą już się zastanawia, jak powtórzyć jego sposób na zdobycie najwyższego urzędu RP. ©

NOWA ZELANDIA: ATAKI NA MECZETY

Co najmniej 49 osób zginęło, a kilkadziesiąt zostało rannych w piątkowym zamachu na dwa meczety w Christchurch w Nowej Zelandii. Zatrzymano czterech sprawców ataku. – To jeden z najczarniejszych dni w historii Nowej Zelandii – ogłosiła premier Jacinda Ardern. Muzułmanie stanowią nieco ponad 1 proc. populacji wyspiarskiego kraju. Jeden ze sprawców, 28-letni Brenton Tarrant, transmitował na żywo zamach na swoim profilu na Facebooku. Zostawił też anty-migrancki manifest, w którym wyjaśnia, dlaczego zaatakował. (jap) ©



FOT. AP/EAST NEWS

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNERZY





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kochaj ryby i rób, co chcesz

Czterdzieści lat temu Marek Oramus, wówczas początkujący pisarz science fiction, opublikował króciutki tekst „Witaj w domu” – o kosmonaucie, który wraca z wieloletniej podróży, spodziewając się hucznego powitania, kwiatów etc. i na „dzień dobry” dowiaduje się, że powitanie, owszem, będzie, ale dopiero po egzekucji – podczas

okazał się prorokiem. Sprzedawca z Krotoszyna, który chciał być uprzejmy dla klientów i uśmiercał sprzedawane im karpie, skazany został na trzy miesiące więzienia. Nie wiedział bowiem, że „dobra zmiana”, nie potrafiąc, czy może nie chcąc, zmieniać tego, co obiecała, zajęła się walką z okrucieństwem wobec zwierząt i przeliczyła wcześniejsze lewackie rządy, przyjmując rok temu taką właśnie, restrykcyjną do absurdu, ustawę – którą sąd i tak zastosował łagodnie, bo na mocy tej ustawy prokuratura żądała dla 59-latka aż sześciu miesięcy w turmie.

Sprawiedliwość jak była scyrkiem, tak nim po trzech latach ciężkiego rodzenia reformy została. Różne specjalne komisje sobie pogadały, ale żadnego aferzysty nic gorszego od ataku amnezji nie spotkało. Niejaki Krzysztof Puszyński, były sekretarz Wałęsy, któremu za urządzenie

nielegalnego składowiska toksycznych odpadów groziło pięć lat, dostał oszałamiającą karę 20 tys. zł grzywny, notabene od sędzi, którą wcześniej wraz z nieżyjącym już Pawłem Adamowiczem (też przez nią uwolnionym od podejrzeń) obdarowywał jakąś nagrodą – i temu podobne, i tak dalej. No, ale pociesmy się, że przynajmniej jednego złoczyńcę udało się dopaść. Zabił, drań, 10 karpi bez ich wcześniejszego ogłuszenia – nie ujdzie mu to na sucho! Trzy miechy, aha, i jeszcze nawiązki finansowe; też z mocy ustawy obowiązkowe.

Wszystko w imię wyższej sprawy – zapunktowania u Prezesa, który lubi zwierzęta, a więc i tych działaczy, którzy demonstrowają, że też je lubią. Tylko z jakiegoś powodu z tego sukcesu ucieszyły się ogromnie lewackie ekooszołomy, a elektorat PiS jakoś nie umie go docenić. ©©

Zabił, drań, 10 karpi bez ich wcześniejszego ogłuszenia – nie ujdzie mu to na sucho!

lądowania spalił bowiem ogniem z dysz „zielonego brata”, czyli drzewo, za co został „z bomby” skazany na obcięcie ręki.

Przyznaję ze wstydem, że koncept ten wydał mi się wtedy mocno wysilony. Tymczasem Oramus



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Zero zdziwień

Bywa, że starsi wiekiem obserwatorzy życia politycznego, obserwując postępującą polaryzację polskiej sceny politycznej, wzdychają za latami 90. ubiegłego wieku i początkiem bieżącego stulecia, bo – jak to mówią – „działo się”. Ano działo się, jak nie Konwent Świętej Katarzyny, to pączkowanie postkomunistycznej lewicy, co drugi polityk nosił hetmańską buławę w plecaku i błękitny krawat na szyi...

A skoro już o politycznym błękitie mowa, to i dziś bywa kuriozalnie i groteskowo, zwłaszcza gdy przypominają o sobie byty, jeśli nie już dawno uważane za „zmarłe”,

to przynajmniej dziwaczne. Oto właśnie niedobitki Ligi Polskich Rodzin – partii, którą w 2006 r. do grobu złożył jej ojciec chrzestny Tadeusz Rydzyk, mówiąc: „LPR leży już na katafalku”, ogłosiły, że popierają Koalicję Europejską i głoszone przez nią „europejskie wartości”. Ot, chichot historii – ludziom Giertycha, znanym onegdaj z radykalnego sprzeciwu wobec członkostwa Polski w UE zamarzył się megalomanię z euroentuzjastycznym sojuszem.

Może i nie powinno to dziwić, skoro na czołowych listach Koalicji Europejskiej mają ponoć znaleźć się politycy dawnej „robotniczo-ludowej” partii, wśród nich m.in.

Leszek Miller i Marek Belka, którzy jeszcze nie tak dawno Warszawę widzieli nie w aliansach z Brukselą, Paryżem czy Berlinem, lecz z Moskwą i Leningradem.

Niektórzy w KE cofnęli się jeszcze dalej, do marca '68 i czasów aktywistów wznośzących hasła w rodzaju: „Literaci do piór, naukowcy do nauki”. Włodzimierz Cimoszewicz, też były aktywista komunistycznej partii i ponoć „jedyńka” KE w Warszawie – właśnie je przypomniał, domagając się likwidacji IPN i odsunięcia historyków od badania niewygodnej przeszłości. Zero zdziwień. A historia kołem się toczy. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

8 marca po włosku

Kretyństwa, które wyprawiano w bloku sowieckim z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet, to niewinne, a nawet sympatyczne igraszki w porównaniu z tym, co zrobiły w tym roku włoskie siły postępu i wojującego feminizmu.

Związki zawodowe uradziły, by uczcić święto pań strajkiem generalnym

W związku ze świętem w „Corriere della Sera” pod tytułem „Supermama” ukazał się wywiad z niewiastą, która niedawno urodziła 11. dziecko i jest szczęśliwa. Siły postępu uznały, że to obrzydliwa prowokacja

i pogrążyć kraj w chaosie. Stanęły: komunikacja miejska, część lotniczej i pociągi. Uczulić społeczeństwo na ponury los włoskich kobiet postanowili również uczniowie, studenci i ich nauczyciele. Zamknięto więc szkoły i uniwersytety. Służba zdrowia też pomyślała o kobietach (ale tylko tych zdrowych) i zastrajkowała. Podobnie rzecz się miała w administracji państwowej i komunalnej. Naturalnie nie zwieziono śmieci.

W Italii ostatnio kobietom nie przydarzyło się nic szczególnie przykrego,

wymagającego tak wielkiej społecznej mobilizacji. Po prostu Międzynarodowy Dzień Kobiet stał się pretekstem do jeszcze jednego strajku. Poza tym święto wypadło w piątek, więc można było zacząć weekend wcześniej.

Odbyły się też wiece. W Rzymie lewicowa senator Monica Cirinnà przyszła na demonstrację z planszą, na której wypisała slogan Mussoliniego: „Bóg – Ojczyzna – Rodzina”. I dopisała: „Co za życie w gównie”. Jak na parlamentarzystkę dopisek kuriozalny, bo godzi w wierzących i literę konstytucji włoskiej, gdzie zapisano tolerancję, a także obowiązek obrony ojczyzny i wspierania rodziny, szczególnie tej wielodzietnej.

Apropos, w związku ze świętem w „Corriere della Sera” pod tytułem „Supermama” ukazał się wywiad z niewiastą, która niedawno urodziła 11. dziecko i jest szczęśliwa.

Siły postępu uznały, że to obrzydliwa prowokacja. Antonella Rampino, zająca postępowka z „La Stampa”, napisała, że to „propagowanie obskuranckiego modelu kobiety prasuj-pierz-gotuj”, a inna feministka, pisarka Giulia Blasi: „To idiotyczna apoteoza kury domowej. Za co ją podziwiać i chwalić? Nie żyjemy przecież w czasach faszyzmu”. Amen.

Żyjemy za to w czasach nawiedzonych idiotek. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Jak za Hitlera

Spór o Kartę LGBT+ i relacje państwo – Kościół wszedł w ostatnią fazę debaty publicznej – ekspertem stał się każdy, w roli mędrców wypowiadają się wszyscy. A skoro tak, oddajmy głos Bartłomiejowi Sienkiewiczowi. „Ciekawe, że w Polsce najgorętszymi obrońcami rodziny i dzieci są Jarosław Kaczyński i biskupi. W obu przypadkach kompetencje są zerowe” – napisał były minister. A ja od siebie dodam: pełna zgoda. Dość mądrzenia się bezdzietnych polityków i biskupów! Oddajmy głos ekspertom – Robertowi Biedroniowi i Pawłowi Rąbiejowi.

W końcu nie ma nic prostszego

niż rozstrzygnięcia w kwestiach światopoglądowych. „Dziś widać wyraźnie: albo wolność wyboru, jak żyć, kogo kochać i z kim być szczęśliwym, albo nienawiść i szczucie. Albo Polska otwarta, dumna, solidarna i patrząca na zachód, albo zamknięta, gardząca i czerpiąca wzorce z Putina. PiS od wczoraj jasno za tym drugim” – nakreśliła klarowną alternatywę Barbara Nowacka. Dzień kontra noc, dobro przeciw złu, Wisła kontra Cracovia, Rebelia czy Imperium?

Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, jak się wypowiadać i co myśleć, kolejny cytat. „Słyszę, że Jarosław Kaczyński nie »szczuje« na LGBT. Hitler lat 20. nie wspominał o eksterminacji Żydów. Ba, sprzeciwiał się pogromom. Mówił tylko, że są »gorsi«, wyzyskują innych, że trzeba ich »legalnie usunąć z Niemiec«. Bojówki SA rozumiały swoje, a Hitler dojrzał do Auschwitz” – zauważył Krzysztof Leski. „»Niekórzy homoseksualiści uważają, że to, co oni robią, jest ich prywatnym życiem. Lecz życie seksualne nie jest już prywatną sprawą, ponieważ dotyczy przeżycia narodu. To jest różnica między zawładnięciem światem a samozniszczeniem« – Heinrich Himmler, 1937 r.” – dodał Marek Kacprzak.

Na koniec – w ramach odpoczynku od polityki i III Rzeszy

– smutna co prawda, ale jednak ciekawostka przyrodnicza. „Mało znany fakt: za każdym razem, gdy politycy PO mówią o »korupcji politycznej«, »kupowaniu głosów« czy »rozdawnictwie«, na świecie umiera mała panda” – poinformował Michał Kolanko. Za tydzień w ramach troski o pandy powrót do polityki. ©©

Z RUBRYKI MATRYMONIALNEJ

Edyta Górnica lubi opowiadać mediom o swoim życiu uczuciowym. I o swoim życiu w ogóle. Ostatnio na przykład zwierzyła się „Faktowi”, że trudno jej trafić na mężczyznę, który spełniłby jej wszystkie oczekiwania. I opowiedziała, jaki ów idealny mężczyzna powinien być.

– Powinien być moim kręgosłupem życiowym i oparciem. W sytuacjach trudnych powinien mi imponować. Nie powinien być próżny. Musi kierować się piękną filozofią i szanować ludzi. Powinien mieć duże poczucie humoru i dystans do siebie lub sytuacji – wylicza Edzia. Ktoś, kto nie jest próżny, ma dystans do siebie i duże poczucie humoru. Czyli Edzia wyznaje zasadę, że przeciwieństwa się przyciągają?

SĄSIEDZKIE PORACHUNKI

Aktorka Anna Korcz postanowiła dać wyraz temu, jak postrzega swoich rodaków. W wywiadzie dla „Twojego Imperium”. – Żyjemy w trudnych czasach, każdy każdemu jest wilkiem, dlatego nie ma żadnych szans na zjednoczenie. Uważam, że trzeba zmienić nasz polski kod DNA, inaczej dopóki wszyscy nie wymrzemy, nic się nie zmieni. Nie chcę zabrznieć górnolotnie, ale muszą narodzić się ludzie pełni miłości do drugiego człowieka – mówi aktorka. – Jeśli nie lubimy sąsiada i gotowi jesteśmy mu, za przeproszeniem, zrobić kupę na wyderaczkę, to jak mamy lubić prezesa, dyrektora, posła i senatora? – pyta. A teraz lećmy sprawdzić, gdzie pani Korcz mieszka, żeby broń Boże tam mieszkania nie kupić. Jakich ona musi mieć sąsiadów?!

JAK NARKOTYK

Aktorka Katarzyna Warne nie po raz pierwszy zrelacjonowała kolorowym mediom swoje tajemne sposoby na urodę, figurę i bycie fit. Zdradziła, że jest fanką wszelkiego rodzaju diet oczyszczających. – Oczyszczam organizm sokami, ale maksymalnie przez trzy dni – ujawnia w rozmowie z „Faktem”. – Nie przekonałam się jeszcze do głodówek, ale podobno fajnie jest raz w tygodniu się pogłodzić. Na pewno niedługo spróbuję – zapowiada. A my

zapowiadamy, że już czekamy na relację. Aktorka przy okazji deklaruje też, że unika słodkości i innej niezdrowej żywności. – Jestem wybredna, jeśli chodzi o jedzenie – zapewnia. – Przede wszystkim wystrzegam się cukru. On czyni nam najwięcej zła! Uzależnia bardziej niż kokaina – przekonuje. Hm, ciekawe, skąd wie?

MISTER AKTOR

Jakub Kucner, Mister Polski sprzed dwóch lat, próbuje wykorzystać swoje pięć minut, wiedząc, że może nie potrwalić to zbyt długo. Robi więc, co może, by zakotwiczyć się jakoś w show-biznesie. Tańczy więc w „Tańcu z gwiazdami” i udziela licznych wywiadów, w których mówi, że jego marzeniem jest aktorstwo. I zawsze było. – Uczyłem się w liceum teatralnym. Skończyłem też studium aktorskie we Wrocławiu. Potem współpracowałem z grupą teatralną w Centrum Kultury Zamek. Zawsze chciałem iść drogą aktorską – mówi. – Gdy zostałem misterem, to aktorstwo odeszło trochę na dalszy plan. Wciąż jednak otrzymywałem propozycje gościnnych występów w serialach i paradokumentach – dodaje.

Kucner cieszy się szczególnie z jednej propozycji. Dostał rolę w serialu „M jak miłość”, który ogląda jego mama. – Pierwsze dni na planie były niesamowitym przeżyciem. Gdy byłem dzieckiem, moja mama oglądała „M jak miłość”, więc i ja zerkalem na telewizor. Znałem „M jak miłość”. Teraz pracuję na planie z aktorami, których oglądałem jako chłopiec – nie kryje ekscytacji. Uważa jednak, że to nie jest jeszcze szczyt jego możliwości i ambicji. – Chciałbym zagrać u Patryka Vegi. Nawet gdyby kazał mi się ogolić na łyso. Ludzie znają mnie jako Mistera Polski. Patryk Vega lubi zmieniać aktorów, więc miałbym wtedy okazję, żeby pokazać się od zupełnie innej strony. To byłoby dla mnie ciekawe

doświadczenie – wyznał. Ciekawe, czy równie ciekawe jak udział w filmie „Miszmasz, czyli kogel-mogel 3”, gdzie wszystkie sceny z udziałem Kucnera wypadły z ostatecznej wersji, pokazywanej w kinach. Dodajmy, że nawet to nie uratowało tego filmu. ©



FOT. PAVEL GRONAU

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, uff. Mało brakowało, a byłoby przykre niedopatrzenie i siara na całą Europę. Jak wiecie, w tym roku podczas Eurowizji ten kraj będą reprezentowały waginoosoby z zespołu Tulia, które przebierają się w ludowe stroje, jakby dopiero co się urwały z Podkarpacia. Na festiwalu mają wykonać piosenkę „Pali się” (pewnie węglem w piecu xD), do której powstał teledysk w polsko-angielskiej wersji. No i z tej wersji zniknął krzyż, który pojawił się w oryginale.

Oficjalnie chodzi o regulamin Eurowizji, który zabrania pokazywania symboli religijnych. Postępowa Europa na szczęście była czujna, iż aż boimy się pomyśleć, jak wiele osób mogłoby się poczuć urażonych trzysekundowym ujęciem przydrożnego krzyża. A co, jeśli na teledysk natrafiłaby jakaś osoba LGBTQWERTY? Albo islamododatni uchodźca? No a jak dodamy

jeszcze, że finał Eurowizji odbędzie się w Tel Awiwie, to widzimy, do jak wielkiego skandalu mogło dojść.

Minęło sześć lat od wyboru papieża Franciszka. Wbrew oczekiwaniom naszego świeckiego i neutralnego światopoglądowo kolektywu Kościół nie wydaje się instytucją bardziej otwartą na różne wyznania, a sam papież – wbrew początkowym oczekiwaniom postępowych środowisk – okazał się katolikiem. To kolejna zaprzepaszczone szansa otwarcia się Kościoła na waginoosoby, środowiska LGBTQWERTY, islam oraz ateizm. Mamy więc postulat, iżby podczas kolejnego konklawe wyboru nie dokonywali wyłącznie kardynałowie Kościoła katolickiego, ale grono osób świadomych współczesności, odelegowanych przez lokalne rządy (oprócz Polski) oraz instytucje międzynarodowe.

Prawica ma jakąś nieuzasadnioną bekę z prof. Pawła Śpiewaka, iż dał się wkręcić w fałszywego mema, na którym widnieje wypowiedź Leo Messiego, iż Polska to faszystowski kraj.

Problem nie polega jednak na tym, czy Messi tak powiedział, czy nie powiedział. Problem polega na tym, że Messi mógł tak powiedzieć, a gdyby to powiedział, miałby rację. Niezależnie więc od tego, czy Messi powiedział, czy nie powiedział, Polska jest faszystowskim krajem.

Dlatego zamiast śmiać się z prof. Śpiewaka, prawica powinna się zastanowić, jak buduje wizerunek tego kraju na świecie, skoro nawet Leo Messi mógłby się wypowiedzieć o postępującym tu faszyzmie. ©©

f FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

MIEDZYUCZELNIANY KOMITET OBCHODÓW 100-LECIA UNIwersYTETU POZNAŃSKIEGO,
AGENCJA PRESTIGE MJM ORAZ MARCELIN MANAGEMENT
WE WSPÓŁPRACY Z KLASSICS MUSIC MANAGEMENT ZAPRASZAJĄ NA KONCERT

ANDREA BOCELLI

THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

11 MAJA 2019
STADION POZNAŃ

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK, www.andreabocelli.com/tickets

andreabocelli.com



Prestige
MJM

MARCELIN
MANAGEMENT

100
LECIU
UNIwersYTETU
POZNAŃSKIEGO

POZNAŃ

TEATR
MUNY
CZNY

TVR3
POZNAŃ

SKOS
WIELKOPOLSKA

REKREACJA

GAZETA BANKOWA

NIVA

URODA

pap

cgm.pl

WP

napisano

Multikino

empik

PRESTIGE

VOKON

ams



FOT. DO RZECZY

Wizjonerzy Zdrowia 2019



Katarzyna Pinkosz

Jak będzie wyglądał system ochrony zdrowia w Polsce w latach 2019–2023, jak poprawić jego funkcjonowanie – o tym rozmawiano podczas konferencji „Wizjonerzy Zdrowia”. Nagrodziliśmy osoby, które zmieniają polską medycynę

Nasz system ochrony zdrowia potrzebuje zmian – w rankingach ocen pacjentów pod wieloma względami plasujemy się na jednym z ostatnich miejsc w UE. Na co dzień wszyscy zmagamy się z takimi bolączkami jak długi czas oczekiwania do specjalistów, na badania diagnostyczne, brak czasu lekarzy, brak nowoczesnych terapii. Do rozmowy, jak tę sytuację zmienić, tygodnik „Do Rzeczy” zaprosił lekarzy praktyków, ekspertów systemu ochrony zdrowia, farmakoekonomistów, Ministerstwo Zdrowia, NFZ i przedsta-

wicieli organizacji reprezentujących pacjentów.

O SYSTEMIE I KOLEJKACH

Podczas paneli z cyklu „Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce w latach 2019–2023” rozmawialiśmy o tym, czy Polskę stać na leczenie nowoczesne, a jeśli nie, to czy stać nas na leczenie nienowoczesne, często mniej efektywne, prowadzące do powikłań, które w rezultacie kosztują drożej. To nie tylko cierpienie pacjenta, lecz także realne koszty po stronie ZUS z powodu zasiłków chorobowych i rent.

– Zdajemy sobie sprawę, jak wiele nowoczesnych technologii wchodzi do medycyny. Staramy się je udostępniać pacjentom, również biorąc pod uwagę koszty pośrednie, do jakich prowadzi nieskuteczne leczenie choroby – zapewniał obecny podczas paneli wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski. Rozmawialiśmy o chorobach powszechnych, dotyczących milionów osób w Polsce, takich jak nowotwory, choroby serca, cukrzyca, osteoporoza, nie zapominając o schorzeniach dotyczących często osób młodych, takich jak choroby zapalne jelit, a także o schorzeniach rzadkich, np. o chorobie Fabry’ego.

W gronie ekspertów chcieliśmy rozmawiać „do rzeczy”: pokazać to, co już się

zmieniło, wskazać, co trzeba poprawić, i zastanowić się nad tym, jak to zrobić. Uczestnicy paneli podpowiadali decydom, gdzie można poszukać ewentualnych oszczędności, by dzięki nim np. szybciej udostępniać nowoczesne terapie, czy jak efektywnie skracać kolejki do specjalistów.

LEKARZ CZY (I) SZTUCZNA INTELIGENCJA

Podczas wieczornej części konferencji „Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce w latach 2019–2023” uczestnicy zostali zaproszeni do debaty oksfordzkiej „Lekarz ze stetoskopem leczy skuteczniej niż sztuczna inteligencja”, którą poprowadzili redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki oraz red. Krzysztof Jakubiak. Obrońcy tezy, których liderem był minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski, przekonywali, że jakkolwiek nowoczesne technologie wiele zmieniają w leczeniu, to jednak nie zastąpią bezpośredniego kontaktu lekarz-pacjent.

Przeciwnicy tezy, których liderem był dr n. med. Radosław Sierpiński, pełnomocnik ds. utworzenia powstającej właśnie Agencji Badań Medycznych, co prawda zgodzili się, że lekarza nic nie zastąpi, jednak przekonywali, jak wiele rozwiązań z zakresu sztucznej inteligencji i nowocze-

snych technologii już dziś jest niezbędnych w procesie terapeutycznym. Dotyczą one m.in. diagnostyki radiologicznej, kardiologicznej, onkologicznej, medycyny personalizowanej.

NAJLEPSI WYRÓŻNIENI

Mimo niedomagań polskiej ochrony zdrowia warto dostrzec to, jak bardzo w ostatnich latach ona się zmienia. To możliwe dzięki ludziom, którzy widzą, jak zmiany są konieczne, i mają odwagę je wprowadzać. Tygodnik „Do Rzeczy” postanowił te osoby wyróżnić nagrodami Wizjoner Zdrowia 2019.

Nagroda Główna Wizjoner Zdrowia 2019: prof. Łukasz Szumowski, minister zdrowia. Kapituła nagrodziła ministra za inicjatywę ogólnopolskich debat „Wspólnie dla zdrowia”, podczas których po raz pierwszy na taką skalę udaje się prowadzić dyskusje nad kształtem i przyszłością opieki zdrowotnej w Polsce; za konsekwentne wprowadzanie programów opieki koordynowanej nad pacjentami oraz za doprowadzenie do powołania Agencji Badań Medycznych, która będzie wspierać zespoły naukowe grantami na innowacje, umożliwiać prowadzenie niekomercyjnych badań klinicznych, dzięki którym wielu pacjentów będzie mogło skorzystać z najnowocześniejszych terapii.

Wizjoner Systemu Ochrony Zdrowia: prof. Piotr Czauderna z Kliniki Chirurgii i Urologii Dzieci i Młodzieży Gumed, koordynator Sekcji Opieki Zdrowotnej w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie RP. Kapituła doceniła go za zaangażowanie w prace nad projektowaniem zmian systemowych w polskiej ochronie zdrowia, za prace w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie, m.in. nad strategią onkologiczną, za wkład w prace merytoryczne w ramach debat „Wspólnie dla zdrowia”.

Wizjonerskie Innowacyjne Rozwiązanie w Medycynie: Centrum Sztucznej Inteligencji w Medycynie na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku. UMB jest jedną z nielicznych instytucji na świecie, która gromadzi unikalne zbiory danych, szczególnie dotyczących chorób onkologicznych, obejmujące m.in. badania wszystkich genów, diagnostykę obrazową, szczegółową analizę stylu życia i otoczenia chorego. Zespoły badawcze składające się m.in. z lekarzy i ze specjalistów diagnostyki, bioinformatyki szukają nowych rozwiązań sztucznej inteligencji. Umożliwi to w przyszłości najnowocześniejszą diagnostykę i leczenie w ramach



Minister zdrowia Łukasz Szumowski i redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki. FOT. DO RZECZY

medycyny personalizowanej. Nagrodę odebrał prof. Marcin Moniuszko, prorektor ds. Nauki UMB.

Wizjoner Osobowość w Medycynie: prof. Leszek Czupryniak. Profesor jest wybitnym specjalistą w dziedzinie chorób wewnętrznych oraz diabetologii, kierownikiem Kliniki Chorób Wewnętrznych i Diabetologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, naukowcem, społecznikiem, pasjonatem historii medycyny. Kapituła doceniła go za ogromne zaangażowanie od wielu lat w poprawę życia osób z cukrzycą, w ich edukację, za indywidualne podejście do pacjentów, starania o poprawę dostępności nowoczesnego leczenia.

Wizjoner 2019 Nauka: prof. Joanna Chorostowska-Wynimko. Pani profesor jest dyrektorem ds. Nauki Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie, twórcą i kierownikiem Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej. To jeden z najlepszych w Polsce ośrodków wdrażających techniki molekularne do praktyki pulmonologicznej. Pani profesor jest osobą niezwykle zaangażowaną w poprawę standardów diagnostycznych u chorych na raka płuca.

Wizjoner Społecznik: Jacek Gugulski. Od wielu lat jest prezesem Stowarzyszenia Chorych z Przewlekłą Białaczką Szpikową, jednym z twórców Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych, która organizowała m.in. takie akcje jak „Pacjent wykluczony”, „Rak – to się leczy” i stara się, by w Polsce było dostępne nowoczesne leczenie hematologiczne. Jacek Gugulski sam od 20 lat choruje na białaczkę, choroba co pewien czas powraca; niedawno po raz kolejny dostał szansę na życie.

Wizjonerski Program Edukacyjny i Profilaktyczny: „STOP UDAROM

MÓZGU. I Ty możesz zostać superbohaterem!” Boehringer Ingelheim Polska. Program w atrakcyjny sposób

uczy dzieci rozpoznawania objawów udaru mózgu. Wcielają się one w postać doktora Stroke’a – superbohatera. Scenariusze zostały stworzone we współpracy z pedagogami z Polskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych.

Wizja w polskiej medycynie: Fundacja Naukowa Polpharmy. Fundacja od wielu lat konsekwentnie wspiera projekty badawcze o wyjątkowym znaczeniu dla rozwoju medycyny i farmacji, podejmowane przez polskich naukowców, akademickie ośrodki naukowe i instytucje badawczo-rozwojowe.

Kapituła nagrody zdecydowała również o przyznaniu **Nagrody Specjalnej**, którą otrzymał **prof. Wiesław Jędrzejczak** z Katedry i Kliniki Hematologii, Onkologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, światowej sławy naukowiec, lekarz. Wprowadzał w Polsce najnowocześniejsze metody terapii (m.in. jako pierwszy w Polsce przeprowadził przeszczepienia szpiku). Medycyna jest dla niego nie tylko sztuką, lecz także posłannictwem i powołaniem. Zawsze walczy do końca o każdego pacjenta.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNER STRATEGICZNY



Zaczynamy od podziękowań dla Rafcia Trzaskowskiego. Nieco ponad tydzień przed konwencją w Jasionce sztabowcy PiS nie mieli pojęcia, czym porwać naród – bo przecież nie da się co chwila ogłaszać nowej „piątki Kaczyńskiego”. Dzięki warszawskiej deklaracji LGBTQWERTY Rafcia temat znalazł się sam.

Jest i spiskowa teoria: Rafcio specjalnie lupnął z tym gejowaceniem dzieci, żeby PiS też coś lupnął. Co z kolei zdenerwuje elektorat wielkomiński i przyniesie Kało (Koalicji Łeuropejskiej) mobilizację przy urnach. Jest słaby punkt tej teorii. Rafcio nie konsultował z nikim ważnym terminu ogłoszenia swojego pomysłu.

Za kulisami. W Jasionce podczas pierwszej eurokonwencji PiS podano obiad. Była kaczką. Zebrani wpływowi PiS-owcy z lubością oddawali się aktowi kaczkożerstwa. I chwalili, że smaczne. Co za ludzie...

Za kulisami kulis. Po Jasionce i Katowicach trwa w PiS spór idealistów z realistami. Idealiści sugerowali, że skoro w Jasionce ogłoszono 12-punktową deklarację europejską, to należałoby każdemu punktowi poświęcić jedną z kolejnych 12 konwencji. Realści stordedowali ten pomysł argumentem, że sprawy europejskie nikogo w Polsce nie interesują. Czyli jak widać, byli to podwójni realści. Zrozumieli, że nawet deklaracja z Jasionki nikogo nie interesuje.

A właśnie – druga konwencja PiS była w Katowicach, a przecież miała być we Wrocławiu. Już wyjaśniamy. Wiewiórki mówią, że to z powodu Anki Zalewskiej i wkurzonych na nią nauczycieli z ZNP. Dyplomatycznie uznano, że lepiej dolnośląską konwencję, której gwiazdą ma być Anka jako jedynka, zrobić już po planowanym strajku i ewentualnej chryi o egzaminy. Znakując miłość ludu do Anki, proponujemy zorganizować tę konwencję dopiero po wyborach.

Skoroz już o Ance Zalewskiej. My w sprawie mowy nienawiści. Potęgimy i czekamy na potępienie. Nie, nie chodzi nam o kartę QWERTYLGHT. Lecz o apolitycznych nauczycieli, którzy w ramach przygotowania akcji strajkowej ZNP każą dzieciom wpisywać do

zeszytów apolityczne uwagi: „Nie wiercie PiS”. Oczywiście oburzałyby nas to do głębi tylko wtedy, gdyby smarkacze pisały z błędem. Poza tym wszystko OK, prawda panie przewodniczący Broniarz?

Cholera jasna, mnie też wpisali na listy! To najczęściej powtarzane zdanie w rządzie premiera Mateusza, którego rozliczni członkowie niższego szczebla nieustannie dowiadują się o poszerzaniu list do europarlamentu. Niektórzy nawet mówią: „Ale ja nie chcę!”. Szybko milkną, gdy w odpowiedzi słyszą: „No to idź to wyjaśnić do Naczelnika”.

„Ma pan dzieci? A może chociaż nauczycieli w rodzinie?”

Tymczasem w Małopolsce układanie list PiS wywołuje wielkie emocje za sprawą demonicznej postaci, której wszyscy się boją. To Dominik Tarczyński, tyleż złotousty, co radykalny. Wbrew doniesieniom medialnym decyzja jeszcze nie zapadła. Nowogrodzka martwi się skłonnością Dominika do wygadywania rozmaitych hardcore’owych tekstów, a konkurenci z list boją się zasobności Dominika, a właściwie jego narzeczzonej.

Za kulisami Eine Totalopposition. Wiemy, dlaczego Kazio Marcinkiewicz nie załapał się na listy Koła (Koalicji Łeuropejskiej). Wcale nie chodzi o brak sympatii Grzegorza ani o jakieś tam alimenty. Wszystko zaczęło się od słynnej konfy, na której Grzegorz wraz z postkomunistycznymi premierami i gromadą różnych ekszefów MSZ na dodatkę ogłosił zawiązanie koalicji. Partia zawyla. Hejt, jaki poszedł na Kazię ze strony zwykłych sympatyków PeŁo,

był porównywalny jedynie z sympatią, jaką Scheuring-Wielgus darzy Kościół katolicki. No i z płacenia alimentów eurosrebrnikami nici.

Apropos tej ostatniej: zegna się z KoŁe, wita z Wiosną. Co oznacza, że Rysiek Petru będzie teraz najbardziej wpływowym politykiem w Polsce? Oto dowód: bliski jest tego, by jako jedyny lider polityczny w Polsce rozprosząc swoich polityków na dwóch różnych listach do europarlamentu. Aśka Scheuring-Wielgus w Wiośnie, a Aśka Schmidt w Koalicji Łeuropejskiej. Niestety, ceną jest samotność lidera. Dla niego raczej na żadnej liście miejsce się nie znajdzie. No i na tej trójce kończą się zasoby kadrowe Teraz!

Sensacja! Liga Polskich Rodzin popiera Koalicję Łeuropejską! Wszyscy w szoku, tylko nie my. Tak się bowiem składa, że już przed laty byliśmy jedyną poważną rubryką, która odnotowała, że LPR poparła także bezobjawowego konserwatystę Bronisława Komorowskiego w walce o reelekcję. Co wróży dobrze i Koalicji, i Łeuropejskiej.

Już za chwileczkę, już za momencik gotowy będzie raport komisji sejmowej badającej aferę Amber Gold. Niestety, w raporcie nie będzie wniosków o aresztowanie Złego Donalda, znajdzie się za to sporo gorzkich słów pod adresem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która bardzo długo wiedziała, a nie powiedziała. Jeszcze przed eurowyborami podobno mają być ogłoszone te wszystkie ohydztwa.

Gratulacje dla Krzyśka Szczerskiego. Dzięki jego zachęce dla nauczycieli, by poprawiali swe wynagrodzenie, rozmnażając się i korzystając z „500+”, wszystkich przedstawicieli pałacu prezydenckiego dziennikarze witają teraz na offie pytaniem: „Ma pan dzieci? A może chociaż nauczycieli w rodzinie?”. True story. Blaski i cienie bycia trendsetterem.

Gratulacje i dla kolegów z „GazWybu”. Już trzy dni po naszej rubryce podali, że nie będzie Fort Trump. Co wywołało falę kontrtekstów o tym, że Fort Trump będzie na pewno. Wyjaśniamy. Jak nam powiedziała pewna bardzo dobrze poinformowana wiewiórka, „coś tam będzie, ale wolelibyśmy już nie używać nazwy Fort Trump”.

dwaj panowie



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Zalujemy. Powiemy, jak sami wyobrażaliśmy sobie Fort Trump. Oto gdzieś w bagnach Podlasia, pośrodku lasu, wznosi się wielki ziemny wał wzmocniony drewnianymi kłodami. Wewnątrz głowice, drony, komandosi i wielki maszt z amerykańską flagą. Nad bramą (koniecznie zwodzoną) wielki napis na desce „FORT TRUMP”. Na wałach Krzysiek Szczerski w czapce z bobra, Mariusz Błaszczak z karabinkiem automatycznym oraz Paweł Soloch z egzemplarzem „Pogromców zwierząt” Coopera. Spróbujcie to sobie wyobrazić. Gwarantujemy, nie da się już potem odwyobrazić.

WPiS mają serdecznie dosyć Anny Marii Anders i trwają intensywne poszukiwania, gdzie kobitę upchnąć, bo tak po prostu córki legendarnego generała nie da się odstawić na boczny tor. Padło na MSZ. Sama pani senator widziała by się w Rzymie. Jednak MSZ kręci nosem, bo jednak ambasada przy Kwirynale to zbyt ważna placówka. Żli ludzie z Szucha proponują Caracas albo Pjongczang, bo tam akurat nikt nie chce jechać. Niestety, Anna Maria również. Jak słyszeliśmy, skończy się więc na jakiejś organizacji międzynarodowej,



wej, przy której musimy mieć ambasadora, a gdzie nie da się wyrzucić zbyt dużych szkód. Podobno to UNICEF.

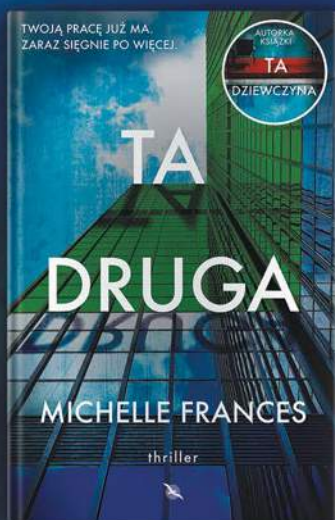
Jest tylko jeden problem. MSZ przyjęło zasadę, że nie wysyła na szefów placówek dwupaszportowców. A co do Anny Marii istnieją podejrzenia, że oprócz amerykańskiego ma jeszcze paszport brytyjski. Nawiasem mówiąc, doprowadziła ona naszych dyplomatów do szału właśnie w związku z Wielką Brytanią. Facet, który doprowadził do brexitu, czyli Nigel Farage, ogłosił, że jest w kontakcie z polskim rządem. Bliższe informacje wskazywały, że spotkał się właśnie z Andersową. Jak się domyślacie, nie jest to najlepsza wiadomość dla PiS podejrzanego o chęć polexitu. Nie pomagasz, Anno Mario, nie pomagasz.

WBerlinie bawił Radek Sikorski, tym razem w charakterze domokrażcy handlującego swoją książką. Przykro było patrzeć. Tym razem nikt go nie kładł w luksusowym hotelu. Z miejscowym KOD-em udającym demokratyczną Polonię spotkał się w jakiejś podrzędnej knajpie. Opchnął góra 20 książek. Nawet na benzynę do Chobielina nie wystarczy. Jedyna nadzieja w europarlamencie. W końcu jest się tą gwiazdą list KoŁe.

Apropos gwiazd. Nie podzielamy drwin z nowego hasła Grzegorza Ludojada Schetyny, który swój zbiór jedynek do europarlamentu nazwał „drużyną gwiazd”. W sumie z czego tu drwić? Wszystko przecież się zgadza, liźnaliśmy astronomii: gwiazdy mają zwykle znikomy wpływ na rzeczywistość i są bardzo stare.

Zostatniej chwili. Japońscy naukowcy zbliżyli się znacznie do sklonowania mamuta włochatego. Wszystko dzięki próbce z Syberii. Podajemy tę wiadomość specjalnie dla Ewki Kopacz. Nie jest to co prawda dinozaur, ale gdy już go Japończycy odchowają, to może pozwolą rzucać kamieniami. ©©

REKLAMA

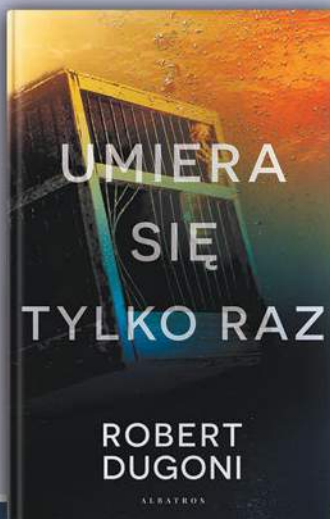


Za każdą doskonałą kobietą kryje się... Sto innych, równie idealnych, które tylko czekają, by zająć jej miejsce.

PREMIERA: 13 MARCA 2019

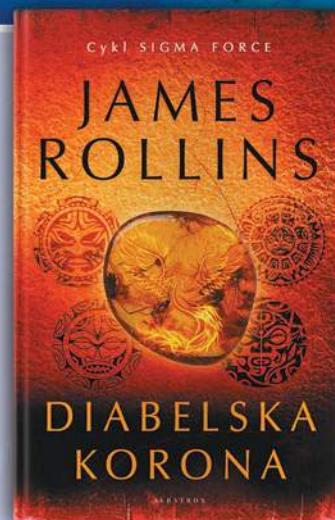
Zanim zaczniesz szukać zabójcy, musi odkryć, kim jest ofiara. I zmierzyć się z pełną niespójnością historią, w której zdrada i chciwość odgrywają główną rolę.

PREMIERA: 13 MARCA 2019



ROBERT DUGONI

ALBATROS



Ziemia na terenie parku National Mall skrywa przerażający sekret.

Świat nie ma pojęcia, z jak wielkim zagrożeniem przyjdzie mu się zmierzyć.

PREMIERA: 27 LUTEGO 2019

 WYDAWNICTWO ALBATROS

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Wojciech Wybranowski

Prezydent stolicy wprowadził Kartę LGBT+, a jego zastępcą zapowiedział, że najpierw trzeba wprowadzić homozwiązki, a potem adopcję dzieci przez pary homoseksualne. Tymczasem przeciwnicy „tęczowej tolerancji” bywają zastraszani i szykanowani

Homoterror

Na poniedziałek 18 marca rodzice dzieci uczących się w warszawskich szkołach zapowiadali akcję protestacyjną. Powód? Podpisana przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego (PO) „Warszawska Deklaracja LGBT+” pozwalająca, zdaniem wielu, zwłaszcza konserwatywnych środowisk, na prowadzenie w stołecznych szkołach – pod pozorem edukatorów seksualnych – propagandy LGBT (Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender), a także na finansowanie organizacji homoseksualnych ze środków publicznych.

Rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak wskazał, że ta deklaracja może naruszać

konstytucyjne prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem i narzuca rodzicom ideologię afirmowaną jedynie przez wąską grupę społeczną. Sam Trzaskowski broni się, że zastrzeżenia wobec podpisanej przez niego deklaracji LGBT to wyłącznie rządowa, pracownicza propaganda. „Nie będę tolerował nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, związanych z rasą, wyznaniem lub tożsamością seksualną” – stwierdził w liście do premiera Mateusza Morawieckiego.

Zastrzeżeń i wątpliwości jednak nie brakuje. Dotyczą nie tylko samej dekla-

racji LGBT, lecz także działań lobby organizacji homoseksualnych coraz agresywniej narzucających swój światopogląd.

W ubiegłym tygodniu zastępca Trzaskowskiego w stołecznym ratuszu w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną” dał jasno do zrozumienia, że jego środowisko chce dążyć nie tylko do umożliwienia zawierania związków przez osoby tej samej płci, lecz także – docelowo – do umożliwienia takim parom adoptowania dzieci. – Najpierw przyzwyczajmy ludzi, że związki partnerskie to nie jest samo zło, że nie niszczą tkanki społecznej ani polskiej rodziny. Potem łatwiej będzie o kolejne



Prezydent Warszawy
Rafał Trzaskowski
(z prawej) i jego zastępca
Paweł Rabej
FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

Głos zabrał też przełożony Rabeja. „Wypowiedzi wykraczające poza program Koalicji Europejskiej mogą zniszczyć nasz wysiłek w walce z nienawiścią. Poleciłem wiceprezydentowi P. Rabejowi zajęcie się wyłącznie zadaniami, które mu wyznaczyłem” – napisał na Twitterze prezydent stolicy Rafał Trzaskowski.

TĘCZOWA PAŁKA

Tymczasem ci, którzy sprzeciwiają się postulatowi środowisk LGTB, są często szykanowani.

– Trzykrotnie pracownicy dużych korporacji międzynarodowych, którzy byli zobowiązani do aktywnego afirmowania postulatów środowisk LGBT, zwracali się do nas o pomoc, ponieważ czuli się mobbingowani – mówi „Do Rzeczy” Jerzy Kwaśniewski, prawnik i prezes Instytutu Ordo Iuris. – Chodziło np. o regularne wysyłanie do nich e-maili zachęcających do dołączenia do chóru gejowskiego w miejscu pracy albo regularne pouczenie wszystkich pracowników, że należy wspierać postulat zrównania związków osób tej samej płci z konstytucyjnie chronionym małżeństwem – opowiada.

Podobna sytuacja była w Poznaniu. Latem ubiegłego roku, w związku z Paradą Równości, tramwaje miejskie zostały udekorowane tęczowymi flagami. Chorągiewki zdjęto po tym, gdy część tramwajarzy odmówiła prowadzenia pojazdów oznaczonych symbolami środowisk LGBT, argumentując, że jest to sprzeczne z ich przekonaniami. Już po całym zdarzeniu skupiająca osoby LGBT Grupa Stonewall zagroziła, że wystąpi o odszkodowanie za rozwiązanie umowy, chyba że Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Poznaniu we współpracy z nią wyśle pracowników na przymusowe wewnętrzne warsztaty „antydiskryminacyjne”.

Slogany „antydiskryminacyjne” mogą też okazać się pałką do uderzania w przedsiębiorców, którzy nie należą do zwolenników homozwiązków. Mogą to spowodować zawarte w deklaracji LGBT klauzule antydiskryminacyjne. W deklaracji zapisano: „Miasto wydaje pieniądze, również zamawiając usługi i produkty. Dodając do przetargów klauzule antydiskryminacyjne i stawiając w ten sposób warunki dotyczące wyboru dostawcy, miasto wspiera równe traktowanie i zmiana rzeczywistość gospodarczą na taką, w której podmioty prywatne coraz lepiej rozumieją konieczność równego trakto-

wania – również ze względu na orientację seksualną i tożsamość płciową!”

– Wychodząc z przesłanek antydiskryminacyjnych, dojdziemy do stworzenia kategorii podmiotów uprzywilejowanych w relacjach biznesowych z miastem. Będą to przedsiębiorcy, których udział i ewentualny sukces w przetargu miejskim będzie zależał od podpisania przez nie owych klauzul – ostrzega dr Błażej Poboży, wiceprzewodniczący warszawskiego klubu radnych PiS.

– Zapowiedziane w deklaracji LGBT klauzule antydiskryminacyjne będą zapewne obejmowały zobowiązanie do świadczenia usług wobec środowisk również politycznych, których poglądów przedsiębiorca może nie podzielać. Każdy przedsiębiorca współpracujący z miastem zostanie w ten sposób zaprzęgnięty do politycznego wsparcia postulatów LGBT – komentuje Jerzy Kwaśniewski.

Czy to obawy na wyrost? Niekoniecznie. W 2018 r. poznański sąd uznał Roberta Kaźmierczaka, znanego poznańskiego trenera sztuki walki krav maga, za winnego wykroczenia, ponieważ powołując się na wolność sumienia i argumentując, że nie popiera związków męsko-męskich, zwłaszcza wychowujących dzieci, odmówił poprowadzenia „warsztatów krav magi dla osób nieheteroseksualnych”.

Wcześniej w Łodzi tamtejszy sąd prawomocnie uznał za winnego drukarza, który odmówił wydrukowania banneru reklamującego LGBT. Mężczyzna w sądzie powoływał się na konstytucyjnie zagwarantowaną wolność sumienia. – Kierowałem się Biblią, moralnością oraz moim sumieniem. Nie kieruję się niechęcią do osób homoseksualnych – tłumaczył.

BEZ TOLERANCJI DLA KRYTYKÓW

Warszawscy samorządowcy mówią, że na razie nawet w otoczeniu Trzaskowskiego nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób deklarację podpisaną przez prezydenta miasta zrealizować. Pewne jest za to, że środowiska LGBT, na sztandarach noszące wolność przekonań i tolerancję, same mają z nią poważny problem. Właśnie przekonała się o tym Zofia Klepacka, dwukrotna wicemistrzyni świata w windsurfingu, która na swoim facebookowym profilu skrytykowała deklarację LGBT. „Mówię kategorycznie NIE dla promocji środowisk LGBT i będę bronić tradycyjnej Polski. Czy mój Dziadek walczył o taką Warszawę w Powstaniu? Nie wydaje mi się” – napisała Klepacka. I jej wpis szybko został skasowany przez ad-

kroki, o równość małżeńską z adopcją – powiedział Paweł Rabej „DGP”.

To, co wymyskneło się publicznie wiceprezydentowi Warszawy, zaniepokoiło nie tylko ludzi sprzeciwiających się oddawaniu dzieci do adopcji homoseksualistom, lecz także komentatorów sprzyjających opozycji i polityków Koalicji Europejskiej. Od słów Rabeja dystansował się m.in. europoseł PO Michał Boni. Zdecydowanie odcięło się od tego PSL. „Koalicja Europejska nie jest koalicją światopoglądową. Podpisana deklaracja nie obejmuje takich spraw” – napisało PSL na swoim oficjalnym profilu na Twitterze.



■ ministratorów serwisu. – Były też osoby, które skierowały pisma w języku polskim i angielskim do organizacji World Sailing (Międzynarodowa Federacja Żeglarska), że jestem osobą nietolerancyjną, ponoć szuka-
 nuję gejów, i żądaniem, by mnie wykluczo-
 niono. Zaczęłam też dostawać wyzwiska, pogróżki, ale trafili na niewłaściwą osobę. Ja się nie dam zastraszyć – mówi „Do Rze-
 czy” Zofia Klepacka. – Nagonkę rozpoczęła
 mniejszość, która jest dobrze zorganizowa-
 na i kiedy ktoś wygłasza nieodpowiadające
 tej grupie poglądy, skrzykuje się i prowadzi
 podobne akcje hejtu – dodaje.

Ofiarą hejtu lobby LGBT padła już
 małopolska kurator oświaty Barbara
 Nowak, która w mediach społeczności-
 wych napisała: „Czy Rafał Trzaskowski
 poinformował, czym LGBT jest naprawdę?
 Czy wspominał, że to propagowanie m.in.
 pedofilii? Sprzedaje się ludziom kłamstwa,
 że to walka o równe prawa dla homoseksu-
 alistów. Warszawiacy, dlaczego godzicie się
 na krzywdzenie waszych dzieci?”.

– Sednem mojej wypowiedzi była chęć
 obrony dzieci przed wielkim zagrożeniem,
 które nadciąga, a z którego większość
 rodziców kompletnie nie zdaje sobie
 sprawy – tłumaczyła Nowak w rozmowie
 z Piotrem Włoczykiem w „Do Rzeczy”.
 W mediach społecznościowych osoby
 oznaczone często tęczowymi awatarami
 symbolizującymi środowiska LGBT obrzu-
 ciły małopolską kurator oświaty wyzwis-
 kami i pogróżkami. Gardzący o tolerancji
 Rabej na Twitterze napisał: „Ta pani
 wcale nie jest kontrowersyjna. Jest bigotką,
 homofobką i antysemitką, podobnie jak
 jej mąż, zresztą ekspert MEN. Nazywajmy
 rzeczy po imieniu, takimi, jakie są”.

Ośrodek Monitorowania Zachowań
 Rasistowskich i Ksenofobicznych złożył
 wniosek, w którym domaga się odwołania
 Barbary Nowak ze stanowiska.

Jak wygląda wolność słowa, gdy do
 gry wkraczają środowiska LGBT, prze-
 konała się także zaledwie kilka miesięcy
 temu nauczycielka biologii z Kielc Oliwia
 Sabat, która – sprzeciwiając się organi-
 zacji w szkołach przez środowiska LGBT
 afirmującego homoseksualizm Tęczowego
 Piątku – na swoim prywatnym profilu
 facebookowym stwierdziła, że „ani homo-
 seksualizm, ani biseksualizm nie są niczym
 normalnym i jest to rodzaj zaburzenia
 psychicznego, a nawet zbrodzenia”. Wpis na-
 uczycielki wywołał natychmiast nagonkę
 na nią w lewicowo-liberalnych mediach.
 Donos na Sabat do kierownictwa szkoły
 złożył Ośrodek Monitorowania Zachowań
 Rasistowskich i Ksenofobicznych, a IV LO
 w Kielcach, w którym cieszyła się wśród
 uczniów bardzo dobrą opinią, publicznie
 się od niej zdystansowało, pisząc w wy-
 danym oświadczeniu: „Wypowiedź Pani
 Oliwii Sabat godzi w dobro, społeczny
 status i godność wykonywanego zawodu
 nauczyciela”.

Wiele wskazuje na to, że ofiarą „tęczo-
 wej wolności słowa” padł też poznański
 ksiądz Daniel Wachowiak, który na swoim
 blogu również krytykował Tęczowy Piątek.
 Dyrektorka poznańskiego III LO im. św.
 Jana Kantego, w którym kapłan uczył
 religii, napisała na niego skargę do po-
 znańskiej kurii, a zorganizowane w Grupie
 Stonewall poznańskie środowiska LGBT
 rozpoczęły przeciwko księdzu kampanię
 medialną. Ksiądz został odsunięty od
 pracy z młodzieżą w poznańskich szko-
 łach.

Poznańska kuria nagle przyznała mu
 probostwo w położonej w środku Puszczy
 Noteckiej niewielkiej wsi Piłka.

Sam kapłan nie łączy ataków środowisk
 gejowskich i „GW” na niego z dekretem
 bp. Gądeckiego. Przyznaje jednak, że po
 tym, gdy skrytykował Tęczowy Piątek
 i organizowaną w Poznaniu Paradę Rów-
 ności, środowiska LGBT i radykalna lewica
 urządziły na niego medialne polowanie.
 – W poznańskiej mutacji „GW” pojawiło
 się bardzo wiele nieprzychylnych, napastli-
 wych artykułów na mój temat. Podobnie
 poznańska telewizja WTK, z którą przed
 laty współpracowałem, poświęciła mi spo-
 ro programów, by we mnie uderzyć – mówi
 ks. Wachowiak. – Tymczasem nie robię nic
 innego, jak tylko nieustannie przypomi-
 nam stanowisko Kościoła katolickiego, że
 Pan Bóg nigdy nie potępia osób o skłonno-
 ściach homoseksualnych, jeśli żyją w zgo-
 dzie z Ewangelią, a przez to nie promują
 grzechu nieuporządkowanej seksualności.
 Niestety, środowiska LGBT sprzeciwiają się
 Biblii, naturze, nie uznając równocześnie
 grzechu aktów homoseksualnych.

BYWA GROTESKOWO?

W marcu dziennikarze TVN chcieli
 zaprosić do programu Oktawiusza Chrza-
 nowskiego z organizacji Miłość Nie Wyklu-
 cza i zarazem jednego z autorów deklaracji
 LGBT. Działacz środowiska szermującego
 sloganami o różnorodności poglądów
 i tolerancji odmówił jednak udziału
 w programie, gdy dowiedział się, że
 zaproszono do niego również przedstawi-
 cieli Fundacji Mama i Tata (walczącej m.in.
 o poszanowanie godności i praw człowieka
 oraz wartości rodzinnych). W mediach
 społecznościowych skrytykował swoich
 niedoszłych interlokutorów i dziennikarzy,
 którzy w zgodzie ze sztuką chcieli pokazać
 stanowiska dwóch stron. „Nie uczestniczy-
 my w programach, w których fundamen-
 taliści szczują na osoby LGBT+”. Takie syme-
 trystyczne »dziennikarstwo« jest właśnie
 jedną z przyczyn szamba, które właśnie się
 wylewa – pisał oburzony.

Z kolei organizacja „My Rodzice – stowa-
 rzyszenie matek, ojców i sojuszników osób
 LGBTQIA” zażądało od dziennikarza „Do
 Rzeczy” Piotra Włoczyka, by sprostował
 swój artykuł, w którym zauważył, że bio-
 logia dzieli ludzi pod względem płciowym
 na dwie kategorie: męską i żeńską. „Jako
 rodzice osób LGBTQIA nie możemy przejść
 nad tą oczywistą nieprawdą do porządku
 dziennego” – stwierdzili aktywiści.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

nie odmawiaj biedakowi rzeczy niezbędnych do życia
i oczu potrzebującego nie męcz zwlekaniem
[Księga Mądrości Syracha 4,1]

prosimy o Twoją pomoc

1% podatku KRS 00000 14574
darowizna 80 1240 2959 1111 0010 2904 3289

Prosimy Cię o wsparcie rodzin opiekujących się dziećmi w ciężkim stanie klinicznym. Podtrzymywanie funkcji życiowych respiratorem, karmienie dojelitowe, rehabilitacja... koszty domowej opieki są ogromne. Docieramy z pomocą do rodzin z całej Polski znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji. Finansujemy stypendia, zakup sprzętu rehabilitacyjnego, podnoszenie kwalifikacji zawodowych żywicieli rodzin... a nawet zakup mieszkań dla pozbawionych własnego dachu nad głową! Twoje wsparcie pomoże trwale zmieniać rzeczywistość! Prosimy Cię o darowiznę oraz Twój 1% podatku - liczy się każda kwota! Bóg zapłać!



Stowarzyszenie SPES - Organizacja Katolicka - Dajemy świadectwo od roku 1986
www.dla-dzieci.spes.org.pl





Potrzebna katolicka kontrrewolucja

FOT. MACIEK MARCINIUSZ/FORUM



Krystian Kratiuk

Homorewolucja już się dokonała. W Polsce również. Jak bardzo pozwolimy się jej rozwinąć?

Chrześcijańscy małżonkowie z Kornwalii odmówili dwóm homoseksualistom wynajęcia pokoju w swoim pensjonacie. Przegrali apelację przed Sądem Najwyższym Wielkiej Brytanii. Za „dyskryminację ze względu na orientację seksualną” zapłacili wysoką grzywnę.

Australijska gazeta – magazyn ślubny – została zamknięta po nagłym odpływie reklamodawców, który nastąpił tuż po zalegalizowaniu w tym kraju homomałżeństw. Redakcja przewiniła doborom zdjęć przedstawiających wyłącznie pary heteroseksualne.

Cukiernik z amerykańskiego Portland odmówił przygotowania tortu na homoślub w swej prywatnej cukierni. Sąd skazał go na grzywnę w wysokości ponad 130 tys. dol.

W kilku stanach USA zakazano prowadzenia terapii konwersyjnej u osób poniżej 18. roku życia. Terapia ta zmierza do wyzwolenia się z homoseksualizmu lub pomocy osobom cierpiącym ze względu na nieakceptowane przez siebie skłonności homoseksualne.

Sąd w Arizonie stwierdził, że ewangelickie właścicielki Brush & Nib Studio nie mają prawa odmowy zaprojektowania i wykonania zaproszeń ślubnych dla homoseksualnej pary. Kobiety skazano na sześć miesięcy więzienia i grzywnę. Trwa proces przed Sądem Najwyższym.

Student Felix Ngole został wyrzucony ze studiów na uniwersytecie w Sheffield, po tym jak napisał na Facebooku, że homoseksualizm to grzech. Nie pomogło odwołanie do sądu.

Syfilis jest „Bożą karą” dla „homorozpustników” – za opublikowanie tego zdania wydawca internetowego portalu Kreuz-net.at został skazany przez wiedeński sąd za „podżeganie do nienawiści względem homoseksualistów” na cztery miesiące więzienia w zawieszeniu na trzy lata.

Biskup Xavier Novell i Gomà z katalońskiej Solsony musiał opuszczać kościół w asyście policji. Groził mu atak radykalnych „tęczowych”, chcących zlinczować go za głośne mówienie

o psychologicznym podłożu homoseksualizmu.

Amerykański homoseksualista Bradley LaShawn Fowler złożył pozew przeciwko dwóm wydawnictwom publikującym Pismo Święte. Jak twierdzi, tradycyjne wydanie, nazywające homoseksualizm grzechem, naruszyło jego konstytucyjne prawa, stając się źródłem emocjonalnego cierpienia i odrzucenia w latach młodości. Zażądał 70 mln dol. odszkodowania.

Sąd stanu Nowy Meksyk skazał na grzywnę chrześcijańskie małżeństwo za to, że odmówiło robienia zdjęć na weselu lesbijek. Pozwani musieli zapłacić 6,5 tys. dolarów, gdyż, zdaniem sądu, dopuścili się dyskryminacji na tle orientacji seksualnej.

Pastor Scott Lively został postawiony przed sądem i oskarżony o popełnienie „zbrodni przeciwko ludności”, bo krytykował homoseksualizm. Ostatecznie został uniewinniony, ale sprawa ciągnęła się cztery lata.

W Londynie policja aresztowała ulicznego kaznodzieję z powodu „homofobicznych” wypowiedzi. Cytował fragment Listu do Tesaloniczan. Potępił akty homoseksualne. Policję wezwała kobieta, która narzekła, że została „obrażona” słowami kaznodziei. Jak mówił potem mediom, podczas przesłuchania śledczego interesowało nie tyle, co powiedział na ulicy, ile to, co myśli na temat homoseksualizmu.

JAK DO TEGO DOSZŁO?

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu w wielu państwach świata akty homoseksualne – uznawane zgodnie ze słowami Biblii za obrzydliwe – były w wielu krajach penalizowane. Światem wstrząsnęła jednak radykalna rewolucja, której efektem jest legalizacja „małżeństw homoseksualnych” oraz masowa promocja homoseksualizmu, z którą mamy do czynienia również w Polsce. I warszawska karta LGBT wcale nie jest jedynym tego przykładem.

Homoseksualiści sami opisali strategię walki o „prawa gejów”, która prze-

kształcić się miała (i to rzeczywiście się dokonało) w walkę o zmianę systemu wartości. Wprost pisze o tym m.in. duet Marshall Kirk i Hunter Madsen w książce „After the Ball”, w której autorzy zawarli instrukcję walki z tradycyjnym społeczeństwem na wielu płaszczyznach. Ruch ten co najmniej od 30 lat posługuje się naprawdę przerażającym hasłem: „Wasze dzieci będą takie jak my”. Hasło – czego być może nie zauważają jego autorzy – wskazujące na to, że homoseksualizm wcale nie jest wrodzony, ale że aby się rozprzestrzenił, należy go usilnie promować.

Owych dróg niszczenia tradycyjnych zasad, wartości, porządku, rodziny i moralności było kilka – ruch gejoski rozpoczął działalność na wszystkich tych polach jednocześnie. W dziedzinie nauki celem było usunięcie homoseksualizmu z listy zaburzeń APA i WHO. Udało się to odpowiednio w latach 1973 i 1991. W edukacji chodziło o przedstawienie związków homoseksualnych jako normalnego, alternatywnego stylu życia. W prawie i polityce chodziło o osiągnięcie zmian legislacyjnych umożliwiających zawieranie związków jedнопłciowych i adopcję dzieci. W kulturze pragnęli promowania homoseksualizmu i związanego z nim stylu życia. Do tego niezbędne były media, od których oczekiwano wsparcia dla homoseksualizmu.

Zaplanowano jednak jeszcze jeden przewrót – w dziedzinie religii i wynikającej z niej moralności. Chodziło o uznanie zachowań homoseksualnych za moralnie dobre, błogosławienie takich związków, a nawet powierzanie zadań duchownych we wspólnotach.

Plany te w wielu miejscach Zachodu zostały w większości zrealizowane. Nawet bowiem w tych krajach, w których nie zalegalizowano jeszcze tzw. homomałżeństw, społeczeństwa (szczególnie młodsza ich część) tak mocno uległy homopropagandzie, że w większości nie mają nic przeciwko homoseksualistom i homoseksualizmowi.

Wydawało się, że ostatnim bastionem normalności pozostanie Kościół katolicki i jego niezmiennie nauczanie moralne. I oficjalnie wciąż jest ono utrzymane, ale w praktyce są już miejsca – jak chociażby całe diecezje w Niemczech – gdzie homoseksualizm nie uchodzi już za grzech, homoseksualiści zatrudniani są w diecezjach, a księża (na razie bez rozgłosu) błogosławią jedнопłciowe związki.

W Stanach Zjednoczonych kościelne homolobby działa bardzo skutecznie (jego frontmanem jest kapłan, jezuita James Martin), przekonując do swych postulatów licznych biskupów – wśród nich kard. Blase’a Cupicha z Chicago, odpowiedzialnego za przebieg tegorocznego watykańskiego szczytu ds. przeciwdziałania nadużyciom seksualnym. Podczas tych obrad kardynał przyznał, że 80 proc. nadużyć dokonuje się między mężczyznami a innym mężczyzną (lub chłopcem), ale – w imię poprawności politycznej wywalczonej przez homoaktywistów – uznał, że statystyki te... nie mają nic wspólnego z homoseksualizmem. Przyszłość nauczania Kościoła o moralności seksualnej stoi więc dziś pod wielkim znakiem zapytania – zmiana nie dokona się jednak odgórnie, ale oddolnie, w postulowanej przez papieża Franciszka (który nota bene przyjął niedawno delegację przedstawicieli homolobby na audiencję) „drodze synodalności”. Według tej koncepcji to poszczególne konferencje episkopatów będą decydować o stosunku wobec homożądań.

A POLSKA?

Pierwszym balonikiem próbnym zaimplementowania w Polsce homokultury była inicjatywa z 2003 r. Ówczesna senator Maria Szyszkowska (SLD-UP) przygotowała projekt ustawy legalizującej związki homoseksualne. W zamyśle inicjatorów miało to być to prezent dla Unii Europejskiej z okazji przyjęcia Polski w jej strukturę. Gdy projekt ukazał się w Internecie, został stanowczo oprotestowany przez środowiska katolickie. Całostronnicowe ogłoszenie w „Rzeczpospolitej” opublikowało wówczas Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. Księdza Piotra Skargi, w treści powołując się m.in. na Pismo Święte i wypowiedzi papieża Jana Pawła II. Analizując przemiany społeczne, które się od tego czasu dokonały, można się zastanowić, czy dziś którykolwiek z największych dzienników miałby odważyć wydrukować takie ogłoszenie.

To samo środowisko ostro oprotestowało pierwszą homoparadę w Krakowie, w roku 2004. Spotkało się to wówczas z powszechnym niezrozumieniem – większość obserwatorów sugerowała, że tego typu marsze są zupełnie niegroźnym elementem folkloru, a w Polsce nikt nigdy nie podniesie postulatu szczególnego traktowania homoseksualistów. Czas pokazał, kto miał rację.

Czy zatem przed tą homonawalnica możemy jeszcze obronić nasz kraj i nasze dzieci? Owszem, ale działać należy na wszystkich tych płaszczyznach, na których od lat działają ruchy homoseksualne. Ruchy, które dziś, w 2019 r., nie dokonują już rewolucji, ale ją umacniają – rewolucja bowiem już dawno się dokonała.

Jak pokazała rzeczywistość ostatnich lat, w zatrzymywaniu lub próbach cofnięcia homorewolucji liczyć można wyłącznie na środowiska wierzących katolików. Tak

Pierwszym balonikiem próbnym zaimplementowania w Polsce homokultury był projekt legalizacji homozwiązków z 2003 r.

zwane środowiska prawicowe, środowiska prawicy laickiej z partią rządzącą na czele, pokazały bowiem, że walka z rewolucją obyczajową jest im całkowicie obca. PiS udowodnił to, trzęsąc się na samą myśl o możliwości zakazania aborcji oraz – przede wszystkim – stanowczo odmawiając wypowiedzenia haniebnej konwencji stambulskiej, która umożliwia organizowanie takich ekscesów jak „tęczowe piątki” w szkołach czy wprowadzanie uduchawień typu karta LGBT. Rządy Szydło i Morawieckiego odrzuciły możliwość zablokowania zdobywania kolejnych przyczółków przez homoaktywistów, pozostają więc współwinne tym wydarzeniom.

TRZEBA SIĘ OCKNAĆ

Potrzebna jest zatem katolicka kontrrewolucja w tych dziedzinach, w których dokonano rewolucji. Należy pilnie, odważnie i stanowczo działać na polu prawnym, kulturowym i medialnym, naukowym i edukacyjnym. Przede wszystkim zaś na polu katolickiej wiary – która chwieje się dziś nierzadko pod naciskiem politycznej poprawności i działalności homolobby (zarówno zewnętrznego wobec Kościoła, jak i niestety wewnętrznego).

Świećcy wierni muszą przekonać swoich biskupów, że warto trwać na straży katolickiej moralności, niezmienniej i jasno wyłożonej przez Kościół na przestrzeni 2 tys. lat. Że warto o to walczyć. Należy wspierać biskupów w wytrwaniu

w tej świadomości, nawet jeśli ich bracia w biskupstwie z zagranicy już dawno ubrali się w tęczowe ornaty. To zadanie – wsparcie biskupów w realizowaniu ich katolickiej misji – należy do świeckich, warto to sobie wreszcie uświadomić! Wymagał tego od nas Jan Paweł II, wymagają zapisy Soboru Watykańskiego II.

Kilkanaście miesięcy temu polski sąd uznał winnym dyskryminacji drukarza, który w swej prywatnej firmie nie chciał drukować ulotek LGBT. Koalicja Europejska popiera postulat legalizacji homolobby, a jego prominentny przedstawiciel Robert Biedroń stoi na czele pompowanej przez media partii lansującej rewolucję moralną w Polsce.

W lutym tego roku Sąd Administracyjny w Warszawie orzekł, że artykuł 18 Konstytucji RP nie stanowi samoistnej przeszkody do dokonania transkrypcji zagranicznego aktu „małżeństwa” osób tej samej płci – tak więc Polacy, którzy zawarli homomałżeństwo za granicą, mogą domagać się jego uznania nad Wisłą.

Kilka dni temu z pociągu PKP InterCity policja wyprowadziła pisarza Ireneusza Lisiaka za to, że podczas rozmowy z inną pasażerką użył słowa „pedalskie”. Według przewoźnika słowa Lisiaka „przekroczyły granice przyjętych zasad współżycia społecznego i zakłóciły spokojną podróż innych pasażerów”. Kto wie, być może rozmowa dotyczyła rwetusu, który podniósł się po tym, jak prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podpisał kartę LGBT. Pewne jest natomiast, że działo się to na początku tygodnia, a więc w dniu, w którym na kanale publicznej telewizji nadawany jest serial „Barwy szczęścia”, którego jednym z głównych wątków są życiowe perypetie homoseksualnej pary – wyjątkowo szczęśliwej i wiernej. Polskie dzieci, nawet jeśli nie oglądają tego serialu, idą do kina na film „Bohemian Rhapsody”, będący nie tylko biografią Freddy’ego Mercury’ego, lecz także wielkim dziełem homopropagandy.

I to jest właśnie triumf homorewolucji nad Wisłą, która – jeśli się nie ockniemy – lada dzień nieodwracalnie zmieni nasz kraj; rewolucjoniści mają bowiem po swojej stronie sądy, osiągnęli wielki wpływ na polityków na każdym szczeblu, sterroryzowali opinię publiczną, wychowują młode pokolenie i są już niemal pewni, że nasze dzieci będą takie jak oni.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl.

V Europejski Kongres Samorządów

8 – 9 kwietnia 2019, Centrum Kongresowe ICE Kraków

SAMORZĄD – RAZEM DLA PRZYSZŁOŚCI



Najważniejsze spotkanie przedstawicieli

władz regionalnych z krajów Europy

z przedstawicielami administracji

publicznej i Unii Europejskiej.



Blisko 70 wydarzeń – paneli,

bloków programowych, wykładów,

prezentacji, warsztatów – podzielonych

na 7 ścieżek tematycznych.



Miejsce spotkań liderów samorządowych

z biznesem, organizacjami samorządowymi

i pozarządowymi, przedstawicielami

ministerstw i agend rządowych – 2000 osób.



■ forum@isw.org.pl ■ www.eks-krakow.pl

■ #EKS2019 ■  @ForumEkonomiczne

Miasto Gospodarz:

 **Kraków**

Warszawa chce podążyć drogą wytyczoną na początku wieku przez wiele miast, regionów i państw w Europie Zachodniej oraz Ameryce Północnej. Deklaracja LGBT+ podpisana 18 lutego przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego zawiera bowiem te same postulaty lobby LGBT, które są tam wdrażane: poza zapisami o ochronie osób ze skłonnościami homoseksualnymi, które czułyby się zagrożone lub dyskryminowane, są m.in. zapisy o obecności działacza ruchu LGBT (tzw. latarnika) w każdej szkole i o prowadzeniu na terenie Warszawy „edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej” zgodnej z założeniami głośnego dokumentu wydanego w 2010 r. przez europejskie biuro Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) we współpracy z niemieckim federalnym ośrodkiem na rzecz edukacji zdrowotnej (BZgA) pt. „Standardy edukacji seksualnej w Europie. Podstawowe zalecenia dla decydentów oraz specjalistów zajmujących się edukacją i zdrowiem”.

Jakie są skutki tej polityki? Można zobaczyć na przykładzie jednego z najbardziej „postępowych” pod tym względem społeczeństw Europy – Wielkiej Brytanii. Oficjalnie nie zmuszono tam jeszcze szkół do zapewnienia dzieciom edukacji seksualnej zgodnej z zaleceniami WHO i BZgA. Dopiero od września przyszłego roku edukacja seksualna „LGBT-inclusive” ma się stać obowiązkowa na terenie Anglii. Podobny obowiązek dla szkół w Walii ma zostać wprowadzony od 2022 r. A w Szkocji jesienią ubiegłego roku rząd zdecydował, że dzieci będą oswajane z istnieniem wielu orientacji seksualnych i tożsamości płciowych. Odbywać się to będzie nie tylko na zajęciach edukacji seksualnej, lecz także w ramach całego programu nauczania szkolnego.

WSPÓLNE TOALETY, NEUTRALNE MUNDURKI

Fakt, że uwrażliwianie – czy indoktrynacja, jak kto woli – uczniów szkół podstawowych i średnich na różne rodzaje seksualności i tożsamości płciowej ma dopiero stać się normą, nie oznacza, że takiej edukacji nie zapewnia już wiele brytyjskich szkół.

Na początku marca głośno było o akcji protestacyjnej w Parkfield Community School w Birmingham. Do szkoły nie przyszło ok. 600 z 740 dzieci, a setka rodziców głośno żądała przed szkołą, aby wycofano



Opłakane skutki LGBT+



Olivier Bault

Deklaracja LGBT+ podpisana przez prezydenta Warszawy to przyłączenie się do nihilistycznego eksperymentu inżynierii społecznej. Jak on przebiega?

program nauczania mający oswajać dzieci w wieku 5–11 lat z istnieniem różnych orientacji seksualnych i typów rodzin. Protestujący wznosili hasła typu: „Nasze dziecko, nasz wybór”, „Pozwólcie dzieciom być dziećmi” czy „Nie seksualizacji dzieci”. Należy jednocześnie doprecyzować, że 98 proc. dzieci tamtejszej szkoły wywodzi się z rodzin muzułmańskich. Szkoła ugięła się pod presją.

Sprzeciw coraz liczniejszej w Wielkiej Brytanii społeczności muzułmańskiej to jednak niejedyny zmartwienie Brytyjczyków w związku z powszechnym promowaniem postaw LGBT i ideologii gender w przestrzeni publicznej, w tym w wielu szkołach. Placówki trzeba dostosowywać do płynnej tożsamości płciowej deklarowanej przez coraz większą liczbę uczniów. Znany jest np. problem toalet. Czy należy



Protest rodziców przed szkołą
w Wielkiej Brytanii. FOT. CATERS NEWS/FORUM

pozwalają „transgenderowym” dzieciom na dostęp do toalety płci przeciwnej, czy trzeba raczej przebudować szkoły, aby robić miejsce na toalety dla „trzeciej płci” albo na toalety „płciowo neutralne”? Podobnie jest z mundurkami szkolnymi – aby rozwiązać problem dzieci i nastolatków, którzy chcą nosić mundurek płci przeciwnej, coraz więcej placówek wprowadza mundurki „płciowo neutralne”, a wszystkim uczniom, również dziewczętom, zakazuje nosić spódniczek.

Innym, poważniejszym skutkiem homoseksualnej propagandy jest to, że coraz więcej młodych ludzi ma dość luźną orientację seksualną. Głośne badanie prowadzone przez YouGov w 2015 r. ujawniło, że 49 proc. Brytyjczyków w wieku 18–24 lata określa własną orientację jako niebędącą heteroseksualną w 100 proc. Na te 49 proc. przypada 6 proc. homoseksualistów i 43 proc. biseksualistów. Dla porównania: średnia dla wszystkich grup wiekowych (powyżej 18. roku życia) w tym badaniu daje odpowiednio wynik: 4 proc. homoseksualistów i 24 proc. biseksualistów, a w starszych przedziałach wiekowych proporcje homoseksualistów i biseksualistów są znikome. Organizacje LGBT twierdzą, że to wynika z tego, iż młodzi ludzie nie boją się już ujawniać swojej prawdziwej orientacji. Czyżby?

We wrześniu ubiegłego roku brytyjska minister ds. równości zażądała przeprowadzenia śledztwa, by ustalić przyczyny gigantycznego wzrostu liczby nieletnich skierowanych na procedurę zmiany płci (wzrost z 97 przypadków w latach 2009–2010 do 2519 przypadków w latach 2017–2018, w tym wzrost w przypadku dziewcząt z 40 do 1806). „Leczenie” tych dzieci polega m.in. na podawaniu im drogą doustną hormonów, a gdy dotyczy dzieci, które jeszcze nie osiągnęły wieku dojrzałości płciowej, także na podawaniu preparatów blokujących proces dojrzewania. Ta ostatnia procedura dotyczyła aż 800 dzieci w samej Anglii w latach 2017–2018. Niektóre z nich miały zaledwie 10 lat. Nie więcej niż sześć lat miało 45 dzieci skierowanych w ubiegłym roku na „leczenie” po zdiagnozowanej „dysforii płciowej”. Najmłodsze miało cztery lata.

Procedury zmierzające do zmiany płci u nieletnich mają na celu przystosowanie ciała do autoidentyfikacji płciowej. Przygotowują także na późniejsze, ewentualne zabiegi chirurgiczne. Same zabiegi farmakologiczne stosowane u nieletnich mogą mieć skutki nieodwracalne, takie jak bezpłodność, osteoporoza i trwałe dysfunkcje seksualne.

Podobny wzrost przypadków „dysforii płciowej”, czyli zaburzeń tożsamości płciowej, notuje się po drugiej stronie Atlantyku, gdzie szkoły i media również aktywnie promują postawy nieheteroseksualne w imię tolerancji i różnorodności. Amerykańskie badanie opublikowane w sierpniu 2018 r. w internetowym piśmie naukowym „Plos One” pokazało, że u 63 proc. dzieci i nastolatków, którzy mówią o swoim pragnieniu zmiany płci, zdiagnozowano wcześniej zaburzenia natury psychicznej.

W listopadzie do mediów wyciekł wewnętrzny raport jedynej kliniki pediatrycznej dla osób „transgenderowych” działającej w ramach brytyjskiej publicznej służby zdrowia NHS (chodzi o Tavistock Centre w Londynie), z którego wynika, że na nieco ponad tysiąc nieletnich pacjentów „leczonych” w tym ośrodku od 2011 r. aż 372 pacjentów wykazywało „umiarkowane lub poważne cechy autyzmu”. W tym samym miesiącu gazeta „The Mail on Sunday” opisała brytyjską szkołę, w której aż 17 uczniów jest jednocześnie objętych procedurą zmiany płci. Według gazety, która powoływała się

na informatora z kadry nauczycielskiej, większość z tych dzieci to autyści, których przekonano, że urodzili się w złym ciele, i stąd miałyby wynikać wszystkie ich problemy.

TRANSGENDEROWI IDOLE

W sferze medialno-internetowej pojawiły się nowe „transgenderowe” gwiazdy, które stają się wzorcami dla przeżywających trudności dzieci i nastolatków. W oczach niektórych bycie „transgender” stało się czymś pożądanym, a młodzi uczniowie doświadczają nieraz nacisków ze strony starszych, aby również utożsamiać się z odmienną płcią. Lekarze mówią też o presji, jakiej są poddawani ze strony rodziców i organizacji LGBT, i o tym, że żyją w strachu, iż w przypadku postawienia diagnozy innej niż „dysforia płciowa” mogą zostać uznani za „transfobów”.

Czasami to szkoła próbuje wymuszać na rodzicach, aby uznali, że prawdziwa płeć ich dziecka jest inna niż płeć biologiczna. Tak było w przypadku państwa Rowe, którzy w 2016 r. zabrali swojego syna ze szkoły anglikańskiej. Ta uznała bowiem, że jeśli ich sześciolatek chłopczyk chce chodzić w stroju dziewczynki, to trzeba to uszanować.

W październiku 2017 r. sąd wyższej instancji zakazał dotowanej przez państwo organizacji Mermaids (chroniącej prawa osób „transgenderowych”) kontaktów z siedmioletnim chłopcem, którego matka zmuszała, z poparciem działaczy Mermaids, aby żył jak dziewczyna. Rok wcześniej inny sąd odebrał tej matce chłopca, gdyż – jak stwierdził – „wyrządziła mu znaczną szkodę emocjonalną” i „wepchnęła go w identyfikację płciową, która miała spełnić nie tyle jego własne potrzeby, ile potrzeby jego matki”.

W drugiej połowie lutego 2019 r. jeden z członków zarządu kliniki dziecięcej NHS dla „transgenderów”, psychoterapeuta Marcus Evans, złożył rezygnację w proteście przeciwko brakowi reakcji kliniki Tavistock Centre na oskarżenia zawarte w raporcie napisanym przez dr. Davida Bella. Po rozmowach z rodzicami i lekarzami dr. Bell doszedł bowiem do wniosku, że klinika NHS „nie potrafi opierać się naciskom” ze strony organizacji LGBT, takich jak Mermaids UK, i że wiele dzieci zostało pochopnie zakwalifikowanych do procedur zmiany płci z poważnymi, nieodwracalnymi dla nich skutkami.

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Jeżeli w ogóle ma być aborcja, to ojciec też musi mieć coś do czynienia, nie tylko kobieta”. Wie pani, kto tak powiedział?

KAJA GODEK: Oczywiście. Janusz Korwin-Mikke.

Od niedawna pani koalicyjant. Zgadza się pani z nim?

Zgadzam się, że ojcowie powinni mieć możliwość obrony swojego nienarodzonego dziecka.

A nie razi pani sam fakt, że Korwin-Mikke w ogóle dopuszcza możliwość aborcji?

Wstępując do koalicji, postawiłam to jasno – to nie może być kolejna formacja, która podobnie jak PiS deklaruje się jako prawicowa, a w rzeczywistości stanowi jedynie wyrób prawicowopodobny. Otrzymałam zapewnienie, że nie będzie blokowania ochrony życia. Także przez działaczy partii KORWiN zostałam entuzjastycznie przyjęta w szeregach Konfederacji. Pod względem światopoglądowym wielu działaczy KORWiN wyraźnie staje w obronie cywilizacji chrześcijańskiej.

Naprawdę uważa pani, że „głos oddany na PiS to głos poparcia dla aborcji”?

Takie są fakty. Przez ostatnie cztery lata w kwestii ochrony życia nic się nie zmieniło na lepsze. Wręcz przeciwnie – zabijanych jest coraz więcej dzieci. Jeszcze w 2002 r. odnotowano 82 aborcje z przesłanek eugenicznych. Obecnie liczba dzieci zabitych za niepełnosprawność przekracza tysiąc rocznie. Triumfują feministki – dla nich sukcesem jest wzrost liczby aborcji, jakby to była miara postępu. Już kiedyś praktykowano oczyszczanie rasy. Aborcja na osobach chorych cofa nas do czasów nazistowskiej eugeniki.

Na pewno jedno łączy panią z Januszem Korwin-Mikkem. Oboje chętnie używacie argumentu „ad Hitlerum”.

Nie pozwolę sobie zamykać ust. Wie pan, kto założył największą proaborcyjną organizację Planned Parenthood? Feministka Margaret Sanger, współpracownica nazistów. „Chcemy, aby w świat poszła wieść, że chcemy eksterminacji murzyńskiej populacji...” – to jej słowa. Hasła zwolenników aborcji eugenicznej brzmią jak wypowiedzi żywcem wyjęte z arsenалу nazistowskiej propagandy. Niemieccy okupanci popierali wszelkie środki służące do „spędzania płodu”. To Hitler zalegalizował wolną aborcję dla Polek. Czy mamy udawać, że nie ma

związku pomiędzy nazizmem a współczesnym feminizmem?!

A jednak stawianie znaku równości pomiędzy aborcją a Holokaustem to gruba przesada.

Ma pan rację. Aborcja to zbrodnia na o wiele większą skalę niż Holokaust.

„Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” było planowym, dokonany z zimną krwią ludobójstwem. Tymczasem w przypadku aborcji sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana – to są dramaty ludzkie, trudne wybory moralne...

Ależ skąd?! Służba zdrowia robi dokładnie to samo, co aparat represyjny III Rzeszy. O ile jeszcze możemy współczuć kobiecie, która pozwala zabić dziecko pod wpływem hormonów, emocji, szoku wywołanego nieplanowaną ciążą czy niepomyślną diagnozą prenatalną, o tyle nic nie tłumaczy diagnostów, którzy bez mrugnięcia okiem wypisują wyrok śmierci, nic nie usprawiedliwia lekarzy, którzy wcielają się w rolę katów ten wyrok wykonujących, polityków, którzy na to pozwalają i jeszcze cynicznie zaśłaniają się „wolą kobiety”.

Często zarzuca się pani brak empatii. Skoro zdaje sobie pani sprawę z cierpienia kobiet, to może warto te osobiste dramaty wziąć pod uwagę? Pani projekt ustawy zakłada zakaz aborcji eugenicznej. A może by ograniczyć się do zakazu usuwania dzieci z zespołem Downa, a w poważniejszych przypadkach uszkodzeń płodu pozostawić wybór?

Często zabija się też dzieci z wadami serca. Moja znajoma urodziła dziecko chore na tetralogię Fallota. To poważna wada serca, jednak jej synek przeszedł pomyślnie operację. Dzisiaj żyje, ma kilka lat i cieszy się dość dobrym zdrowiem. Gdyby wadę wykryto w czasie ciąży, padłaby oferta aborcji.

Wyobraźmy sobie, że 10-letnie dziecko uległo poważnemu wypadkowi. Rokowania są niepomyślne, wszystko wskazuje na to, że umrze. Czy lekarze proponują zabicie dziecka?! Nie. Otacza się rodziców opieką, współczuje im, towarzyszy w ostatnich chwilach z dzieckiem. Zabijanie, żeby ktoś nie umarł – to absurd!

Jeśli jednak rokowania są fatalne, to trudno się dziwić, że rodzice mogą chcieć oszczędzić dziecku cierpienia.



FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS



Z Kają Godek, pełnomocnikiem inicjatywy „Zatrzymaj aborcję”, członkiem Zarządu Fundacji Życie i Rodzina, kandydatem Konfederacji do Parlamentu Europejskiego rozmawia Maciej Pieczyński

Nie pozwolę sobie zamykać ust

Najbardziej nawet fatalne rokowania nie usprawiedliwiają zabijania ludzi. To powinno dotyczyć zarówno dzieci narodzonych, jak i tych, które jeszcze na świecie nie przyszły. Inaczej mamy do czynienia z dyskryminacją ze względu na wiek.

„Posługiwanie się życiem poczętego dziecka w celu promocji swojej partii, swojej kandydatury czy do ataku na przeciwników politycznych w praktyce prowadzi do zmniejszenia poparcia społecznego dla tej ważnej sprawy i narastania antagonizmów” – tak podsumowała panią liderka Human Life International Polska Ewa Kowalewska.

Pani Kowalewska składa samokrytykę czy pokazuje swoją hipokryzję? Były członek zarządu HLI Antoni Szymański został senatorem PiS. Wygrał stołek, szermując hasłami pro-life, tymczasem obecnie blokuje postulaty naszego środowiska. To jest właśnie wykorzystywanie życia poczętego dziecka w celach

politycznych. PiS ma w swoich szeregach całą masę takich dyżurnych koncesjonowanych proliferów. Zupełnie bezobjawowych.

„PiS ignoruje obrońców życia, bo twierdzi, że i tak zagłosują oni na PiS” – powiedziała pani na konferencji prasowej. A czy proliferzy mają inne wyjście? Chyba nie ludzi się pani, że Konfederacja jest w stanie zdobyć władzę i wprowadzić w życie pani postulaty, czy to w Parlamencie Europejskim, czy to w polskim Sejmie?

Teoretycznie demokracja polega na rządach większości. W praktyce jednak, jeśli mniejszość jest wystarczająco zdeterminowana, potrafi efektywnie wpłynąć na rządzących. To właśnie ma być rola Konfederacji. Nam potrzeba kilka-kilkanaście procent, i to zadziała.

Zobaczymy, czy wasza formacja przetrwa do jesiennych wyborów parlamentarnych. Tyle silnych indywidualności w jednym ugrupowaniu...

Nasza oferta jest skierowana do konkretnej części elektoratu – zawiedzionego działaniami PiS. Partia Kaczyńskiego ciągle głosi potrzebę obrony wartości i na mówieniu się kończy. Ostatnio jedynie zaostrzyła retorykę wymierzoną w środowisko LGBT... Mówienie o obronie życia zostawmy tym, którzy dopiero idą po władzę. Ci, którzy już ją sprawują, powinni być rozliczani z konkretnych działań. PiS od 2015 r. sprawuje pełnię władzy. Ma prezydenta, Sejm, rząd, nawet Trybunał Konstytucyjny. Dysponuje wszelkimi narzędziami, aby zakazać zabijania dzieci. I nic. Nie wierzę też,

że zajmie się tym w kolejnej kadencji. Projekt „Zatrzymaj aborcję” wciąż trzyma w sejmowej zamrażarce. Projekty obywatelskie przechodzą na kolejną kadencję. My wejdziemy na jesieni do polskiego parlamentu i wyjmiemy projekt miliona ludzi z sejmowych trzewi.

PiS nie zakazuje aborcji, ale nie pozwala również na liberalizację prawa antyaborcyjnego. W tym sensie partia Kaczyńskiego może być postrzegana jako tama chroniąca przed zalewem eksperymentów lewicy światopoglądowej. Nie boi się pani, że jeśli PO i Nowoczesna dojdą do władzy, to będzie jeszcze gorzej?

PiS i PO łączy swego rodzaju zмова w sprawach cywilizacyjnych. PiS wmawia wyborcom, że jest jedyną tamą dla lewicy, a Platforma grozi, że zaaplikuje nam lewicowe eksperymenty. Z obu stron to tylko retoryka. Gdyby PiS rzeczywiście chciał bronić wartości chrześcijańskich, toby to robił. Mając wszystkie ku temu instrumenty, nie ma nawet odwagi wypowiedzieć konwencji antyprzemocowej, choć to kwestia jednego podpisu. Za to poparł Agendę 2030 w ONZ, przewidującą upowszechnianie na świecie aborcji. W polityce krajowej PiS udaje partię konserwatywną, zaś na forum międzynarodowym ulega lewackiemu lobby. Nie wiem, z czego to wynika – może ludzie Kaczyńskiego myślą, że za granice nie sięga wzrok wyborców?!

Albo mierzy siły na zamiary. Może Polska jest zbyt słaba, by angażować się w obronę wartości chrześcijańskich na forum międzynarodowym.

Jakimś cudem znalazły się państwa, które nie przyjęły konwencji anty-przemocowej, np. bułgarski Trybunał Konstytucyjny uznał, że jest sprzeczna z tamtejszą ustawą zasadniczą. Oparła się Litwa, a nawet Niemcy i Wielka Brytania. Natomiast Polska za czasów PO ją przyjęła, a za kadencji PiS nie chce jej wypowiedzieć. Najlepiej podsumował to Robert Górski w jednym z odcinków „Ucha Prezesa”, w którym Kaczyński, w odpowiedzi na zarzuty feministek, że nie słucha ich głosu, przekonuje: „Ale przecież my chodzimy na czele waszych czarnych marszów”...

Tyle kabaret. A w rzeczywistości Kaczyński przyznał, że osobiście zgłasza za pani projektem „Zatrzymaj aborcję”, tylko swoim posłom pozostawi wolność... Poza tym PiS nie poparł też projektu Barbary Nowackiej.

Projekt Nowackiej nie przeszedł dalej tylko dlatego, że posłowie lewicy pokłócili się ze sobą i część z nich wyszła z sali plenarnej. 58 posłów PiS, w tym Kaczyński, głosowało „za” zabijaniem nienarodzonych.

Chodziło raczej o to, aby uszanować wolę obywateli podpisanych pod tym projektem. Ustawa miała przejść do drugiego czytania, a tam już zapewne PiS by ją odrzucił.

Przepraszam bardzo, ale gdyby do laski marszałkowskiej został złożony projekt wymordowania Cyganów, to PiS też powinien zgłaszać „za” z szacunku dla autorów projektu?!

I znowu „ad Hitlerum”... Nie powie pani ani jednego dobrego słowa na temat polityki prorodzinnej i światopoglądowej PiS? Po kolei: odrzucił refundację dla in vitro...

Umył ręce, pozwalając, by finansowanie sztucznego rozrodu człowieka przejmowały samorządy.

A projekt „Za życiem”, oferujący wsparcie dla kobiet w ciąży i matek dzieci niepełnosprawnych?

Być może komuś jakoś pomógł. Jednak z punktu widzenia prawnej ochrony życia ten projekt nie ma żadnego znaczenia.

Jak to? Przecież zwiększenie pomocy dla matek może motywować kobiety do rezygnacji z aborcji i podjęcia decyzji o urodzeniu dziecka, choćby chorego.

Urodzenie dziecka nie jest decyzją, a naturalnym, fizjologicznym następstwem ciąży. Tak czy inaczej, projekt

„Za życiem” nie ograniczył liczby aborcji. Rozumiem, że celem ustawy jest otaczanie opieką matek. To nie jest jednak program ochrony życia. Wręcz przeciwnie: wiadomo, że pomoc dla matek dzieci niepełnosprawnych jest obciążeniem dla budżetu. W tej sytuacji aborcja eugeniczna pełni funkcję czynnika stabilizującego finanse publiczne.

Brzmi bardzo cynicznie. Nie ma pani żadnych dowodów na to, że państwo toleruje aborcję, aby ograniczać wydatki socjalne.

Ja tego nie wymyśliłam. To po prostu widać gołym okiem. Nie widzę innego wytłumaczenia, dla którego państwo wciąż akceptuje zabijanie dzieci. Jedynym ratunkiem dla nienarodzonych jest zakaz aborcji. W państwach, które wprowadzały pomoc socjalną, pozostawiając jednocześnie możliwość aborcji, liczba przerywanych ciąży nie malała. Dopóki obowiązuje przepis pozwalający zabić niepełnosprawne dziecko, dopóty zabójstwo w majestacie prawa stanowi standard postępowania w przypadku złej diagnozy prenatalnej.

A jednak większość Polaków akceptuje – uważa, będzie nie lubiane przez panią słowo – kompromis aborcyjny. Nie lepiej potraktować ten stan jako „mniejsze zło”? Bo jeśli Koalicja Europejska dojdzie do władzy, to może jeszcze zliberalizować prawo aborcyjne. Sama pani przyznała, że mniejszość potrafi wywierać wpływ na większość. Dlaczego więc Barbara Nowacka i Agata Didusko nie miałyby wymusić na Schetynie odpowiednich regulacji? Naprawdę nie obawia się pani, że PO będzie w kwestii życia poczętego gorsza niż PiS?

Przed wprowadzeniem aborcji na życzenie chroni konstytucja. Dlatego gorzej już nie będzie. Natomiast dryf partii konserwatywnych w stronę lewicy to powszechny w Europie trend – przypomnę, że to właśnie konserwatyści zalegalizowali małżeństwa homoseksualne w Wielkiej Brytanii. Tą drogą poszła dawniej chadecka Platforma, a jej śladami coraz śmielej podąża PiS.

Wyobraża sobie pani, że PiS...

Tak, wyobrażam sobie, że PiS zgłasza kiedyś za homozwiązkami. Zwłaszcza że niektórym politykom tej partii już teraz zdarza się głośno wyrażać nieakceptację faktu, że geje nie mogą brać ślubów, np. Zdzisław Krasnodębski, prominentny działacz PiS, chciał legalizacji konkubinatów jednopłciowych, mówił to wprost.

Wróćmy na koniec do Brukseli, którą zamierza pani podbić... Czy zgadza się pani z partnerem koalicyjnym, że „Unia Europejska powinna zostać zniszczona”?

Być może. Przede wszystkim nie powinna mieć takiego wpływu na Polskę jak obecnie.

Jest pani zwolenniczką polexitu?

Jestem zwolenniczką racjonalnego podejścia do naszej obecności w UE. Jej zasadność jest dziś traktowana jak niepodlegający dyskusji aksjomat. Czas na zrobienie bilansu zysków i strat. Trzeba wyliczyć, czy Unia się Polsce opłaca – finansowo i pozafinansowo. Jeśli nie, to po co w niej być? Dla cudzych interesów?

A jaka jest eurodiagnoza Kai Godek?

Obecna Unia nie jest tą samą Unią, do której wstępowaliśmy. Bruksela konsekwentnie rozmontowuje fundamenty cywilizacji chrześcijańskiej w państwach członkowskich. Co roku w raporcie dotyczącym przestrzegania praw człowieka, przygotowanym przez Parlament Europejski, powtarza się, jak mantra, ubolewanie nad tym, że są jeszcze na świecie państwa, w których aborcja jest zakazana, a para gejów nie może wziąć ślubu... W 2017 r. PE posunął się tak daleko, że skrytykował polskich obywateli, którzy zbierali podpisy pod projektem „Zatrzymaj aborcję”. To sytuacja jak z Orwella, że w imię demokracji potępiono demokratyczne narzędzie, jakim jest obywatelska inicjatywa ustawodawcza!

Jakie są poglądy Kai Godek, niezwiązane z tematem aborcji? Czym chce się pani zajmować w PE, poza ochroną życia?

Absurdem, narzuconym nam przez UE, jest przeregulowanie gospodarki, chora biurokracja i socjalizm. Będę przeciwdziałać szkodliwym regulacjom, także gospodarczym. Zamierzam też zwalczać politykę klimatyczną UE, bo to kolejna ideologiczna bzdura. I oczywiście chcę wejść do komisji FEMM (Komisja ds. praw kobiet i równouprawnienia), bo dziś tam nie ma reprezentantek kobiet tylko feministki. Kocham Polskę, zdrowy rozsądek i jestem z ducha wolnościowcem.

Nie licząc wolności wyboru kobiety w ciąży.

Jeśli mamy mieć prawo do jakiegokolwiek wolności, to musimy przede wszystkim mieć zagwarantowane prawo do życia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ NIE DAM SIĘ LICHWIE



Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

Na pierwszy rzut oka wywiad prof. Magdaleny Środy z Weroniką Rosati w „Wysokich Obcasach” niczym się nie różnił od feministycznej rutyny. „Jest we mnie GNIEW” – zajął tytuł na pierwszej stronie sobotniego wydania „Wyborczej”, opatrzone zdjęciem, na którym celebrytka robi niezwykle groźną minę. Banał – pewnie państwo już dawno zauważyli, że główną treścią polskiego feminizmu jest epatowanie stanem emocjonalnej niestabilności. Z transparentów, manifestów i mediów feministek bije nieustannie komunikat, że są one „wściekłe”, „wk...one” etc. Nie bardzo rozumiem tę demonstracyjną wściekliznę. Czy naprawdę aktywistki różnych „strajków kobiet” chcą przekonać społeczeństwo, że „ruchy kobiece” to autoterapia osób, które przede wszystkim mają jakiś zasadniczy problem z samymi sobą i nie mogą znaleźć jego rozwiązania, dokonują psychologicznej projekcji swych dysfunkcji na cały świat? Jeśli tak, to są skuteczne.

Krótko mówiąc, zająwka nie zachęcała, ale mimo wszystko sięgnąłem. I tu, jednak, pewne zaskoczenie: przyczyną gniewu pani Rosati nie jest to, że „kobiety w Polsce są prześladowane” (które to hasło, swoją drogą, śmiesznie kontrastuje z „twardymi danymi”, choćby np. z Eurostatu, gdzie we wszystkich parametrach, którymi feministki zwykły mierzyć „wyzwolenie kobiet”, takich jak odsetek pań na wysokich stanowiskach, w polityce, biznesie, bliskość średniej zarobków do zarobków mężczyzn etc., lokujemy się w pierwszej trójce Unii Europejskiej, wysoko ponad średnią zachodnioeuropejską). Przyczyną gniewu celebrytki jest jej życie prywatne, a raczej – reakcja różnych środowisk opiniotwórczych na jej „kaming alł”. Otóż Weronika Rosati ujawniła niedawno, że starszy od niej o prawie 20 lat mężczyzna, z którym się związała, dopóki ją uwodził, dopóty był słodki i miły, a jak już skutecznie uwiódł, to bił, poniżał i nie dawał pieniędzy, w związku z czym musiała zabrać dziecko i uciec od niego „do mamusi”. Nieoczekiwanie jednak po tym wyznaniu zamiast spodziewanego współczucia i wsparcia zetknęła się, jak wynika z jej słów, z dezaprobatą, a nawet agresją.

A więc nie ideolo, tylko magiel. Skorośmy jednak zaczęli, czytamy dalej. Pani Rosati rozczarowała się, bo liczyła na kobiecą solidarność, wyrazy zrozumienia, wszystko to, co kiedyś nazywano „dobrą prasą”, a zamiast tego wypomniano jej, że zaszła w ciążę z mężczyzną żonatym i rozbiła jego

FOT. GRZEGORZ LUKASZKIEWICZ/FORUM



Rozmowy przy kastrowaniu



Rafał A. Ziemkiewicz

O pokrętnych ścieżkach prowadzących polskie feministki

poprzedni związek. Co akurat dowodzi czegoś wręcz przeciwnego, niż zgodnie próbują dowieść zarówno celebrytka, jak i promująca jej punkt widzenia pani Środa: że kobieca solidarność istnieje. Tyle że kobiety solidaryzują się ze zdrażoną i porzuconą żoną, a nie z „tą trzecią”.

@

No, ale przecież nie po to pozwalam sobie zwracać państwa uwagę na ten akurat wywiad w „feministycznym tygodniku” (jak same się „Wysokie Obcasy” identyfikują), by grzebać się w prywatnych brudach córki lewicowego polityka i znanego lekarza, nawet jeśli są one medialnie upubliczniane. Pani Rosati, zwyczajem wielu osób z tzw. świecznika, stara się swój problem przedstawić jako część pewnego szerszego, społecznego zjawiska, i cały wywiad jest właściwie apelem o to, by samotne matki były w Polsce traktowane lepiej.

Już samo w sobie jest to zaskoczeniem, bo „Wysokie Obcasy”, i w ogóle polski feminizm, są raczej przeciwko macierzyństwu – stronią nawet od używania samego słowa, mówiąc, językiem hodowców, o „reprodukcji”. Podstawą feministycznego wyznania jest pochwała aborcji jako wybawienia od pieluch, zepsutej linii, utrudnień w karierze zawodowej i innych nieszczęść powodowanych przez posiadanie potomstwa. No, ale wszyscy wiemy, że na lewicy oprócz ideolo jest też coś takiego jak „mądrość etapu”. Wiele kobiet doświadcza z różnych przyczyn losu samotnej matki, wiele się go obawia, więc na tych uczuciach można coś ugrać. Pani Rosati przedstawia zatem Magdalenę Środzie listę postulatów „samotnej matki”, będącą efektem jej przemysłu. A jedna z prawodawczyń polskiego feminizmu słucha bez sprzeciwu, więcej, potakuje, jeszcze więcej – promuje i popiera.

Tymczasem, obok klasycznie socjalistycznego postulatu, by samotne matki były bardziej wspierane przez państwo, mamy tu dezyderaty, które w takim medium nie mogą nie zdumiewać. „Trzeba równo wymagać odpowiedzialności ojców za dzieci pochodzące ze związków małżeńskich i nie”, oznajmia np. pani Weronika, choć, o ile mi wiadomo, prawo żadnego zróżnicowania pod tym względem nie czyni – jeśli ojcostwo zostało formalnie ustalone, to obojgów alimentacyjny jest taki sam, bez względu na okoliczności poczęcia. Co jednak oznacza to „wymagać”? W kolejnym punkcie celebrytka rozwija: „Dzieci wychowywane przez samotne matki powinny naprawdę dostawać takie

alimenty, by po rozstaniu z dzieckiem ojca ich sytuacja się nie pogorszyła”. Doprawdy, zakrawa to na jakąś pravicową nagonkę na honorowego gościa ostatniego Kongresu Kobiet, Mateusza Kijowskiego, czy niedoszłego kandydata Koalicji Europejskiej do europarlamentu, „Kaza” Marcinkiewicza. Przynajmniej w obronie tego pierwszego prominentna w owym Kongresie pani Środa powinna zaprotestować.

To wszystko nic. Jednak naprawdę warto było sięgnąć po tę lekturę: „Trzeba od małego, już w przedszkolach, uczyć chłopców bycia ojcem i partnerem, bo ta kompetencja nie jest wyssana z mlekiem matki. Trzeba uczyć współodpowiedzialności za wychowanie przyszłego dziecka [...]. Jest coś chorego w tym, że nasze społeczeństwo daje tak duże przyzwolenie na nieodpowiedzialność niektórych mężczyzn”.

Boże mój! Redakcja „Wysokich Obcasów” powinna, zgodnie ze wskazaniem Bułhakowskiego Wolanda, nakupić szmat i pozatykać nimi wszystkie szpary, bo wciska się nimi... tak, trzeba to nazwać po imieniu: PATRIARCHAT!

Tyle wysiłku włożonego w dowodzenie, że chłopczyków należy wychowywać „równościowo” i „antydiskryminacyjnie”, przeoblekać w sukienki i uczyć, że nie ma zajęć ani cech „damskich” i „męskich”, tyle popkulturowego prania mózgów, by przerobić mężczyzn jeśli nie na najbardziej z punktu widzenia „nowego wspaniałego świata” pożądaných „gejów”, to przynajmniej na „metroseksualnych” cipcusiów... A tu nagle prezentowana jako bohaterka „gościńi” feministycznego tygodnika wyskakuje z pomysłem, by uczyć chłopców od małego odpowiedzialności. A przecież żeby brać za coś odpowiedzialność, trzeba mieć nad tym czymś władzę. Kapitan, żeby odpowiadać za statek, musi na nim być „pierwszym po Bogu”, rodzice, jeśli mają odpowiadać za szkody wyrządzone przez dzieci, muszą być wyposażeni w narzędzia władzy rodzicielskiej. Co więc właściwie postuluje Weronika Rosati? Czy pani Środa choć przez chwilę się nad tym zastanowiła? Ja się pytam.

@

Fundamentalne dla feminizmu zdanie jednej z „sióstr założycielek” brzmiało, przypomnę: „Kobieta potrzebuje mężczyzny w takim samym stopniu jak ryba roweru”. Od „Wysokich Obcasów” oczekuję minimum konsekwencji. Skoro latami przekonują kobiety, że powinny być samowystarczalne, to od słów Rosati powinny

się stanowczo odciąć. Jeśli dziecko to nie dziecko, tylko – jak naucza feminizm – „zlepek komórek”, część ciała kobiety, którą może ona sobie wyciąć tak, jak wycina się szpecącą kurczakę, to pani Środa powinna pouczyć swą rozmówczynię, że mogła się dziecka pozbyć (wszak „Aborcja jest OK”), a skoro się nie pozbyła – to niech teraz nie domaga się roweru. „Mój brzuch należy do mnie” – krzyczą panie, których jedynym powodem do dumy jest posiadanie wagin i macic (odsyłam do transparentów na „manifach”) – więc, logicznie, żaden mężczyzna za to, co w tym brzuchu zasiał, odpowiedzialności ponosić nie może.

W przeciwnym razie całe nauczanie zaczyna się rozłazić w szwach. Jeśli chłopcy mają być od dzieciństwa uczeni „współodpowiedzialności”, to prędzej czy później mogą dojść do wniosku, że jednak to, co w kobiecym brzuchu, jest wspólne.

Oczywiście chłopcom wygodnie jest słuchać, że nie, że „moja macica jest moja” – to znaczy „jej” – bo z tego właśnie płynie filozofia skakania „z kwiatka na kwiatek” i w razie problemów zostawiania kobiety z owocem tego skakania sam na sam. Jest charakterystyczne, że choć feministki stają na głowie, by zarzucane mężczyznom patologie – „seksizm”, przemoc etc. – przypisać ideowym wrogom, to jakoś wszystkie konkretne przykłady potrafią znaleźć tylko po swojej stronie. To przecież nie politycy prawicy bronią alimentarzy, tylko Kongres Kobiet, Ewa Kopacz i inni działacze opozycji. To nie żaden „prawicowy” pisarz zwykły żartować „k... już tu są” czy „jak mi dasz d...”, pozwolę ci dopić swoje piwo”, tylko beniaminek „czarnych protestów”. I nie w „Gazecie Polskiej” doszło do seksafery z molestowaniem i poniżaniem, tylko w „Wyborczej”. „Były” pani Rosati, oskarżany przez nią, słusznie czy nie, nie wiem, o paskudne sprawy, też nie pochodzi z „kruchty”, tylko z liberalnych elit.

Takich post mężczyzn wychowuje właśnie lewicowa ponowoczesność, bynajmniej nie „patriarchalna tradycja”. Widać trzeba dopiero dostać po skórce, jak pani Rosati, żeby docenić zalety tej ostatniej. Dopiero wtedy nagle całe modne równouprawnienie idzie się, z przeproszeniem, czochrać, i pozostaje modlitwa naszych prababek: „O Boże, daj męża, daj męża!”. Tylko że po tych wszystkich spustoszeniach, jakich dokonały feminizm i inne lewackie „izmy”, nawet sam Bóg, choć wszechmocny, rozkłada bezradnie ręce i mówi: „A niby gdzie wam go, baby, znajdzie?”.

Walka o koniczynę



Kamila Baranowska

Władysław Kosiniak-Kamysz przyznaje, że decyzja o wejściu PSL do Koalicji Europejskiej jest obarczona dużym ryzykiem. Twierdzi jednak, że pozostanie poza nią było dla ludowców ryzykiem dużo większym. Czy rzeczywiście?

Odpowiadam za życie PSL, a nie jego piękną śmierć – tymi słowami Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL, zwrócił się do ludowców podczas posiedzenia Naczelnej Rady Wykonawczej partii, tłumacząc, dlaczego wejście w sojusz z Platformą, Nowoczesną, SLD i Zielonymi jest dla PSL najlepszym wyjściem. To była odpowiedź na zarzuty, że PSL, wchodząc w dość egzotyczną koalicję, traci swoje tożsamość, wiarygodność oraz honor. Ten ostatni związany jest z wartościami, którym ludowcy i ich wierni wyborcy od lat hołdują. A mają się one nijak do tego, co dziś prezentują koalicjanci PSL.

– To nie była łatwa decyzja. Kosztowało mnie to wiele nieprzespanych nocy i wątpliwości. A jako że PSL jest jedną z najbardziej demokratycznych partii, odbyliśmy naprawdę wiele dyskusji, analizowaliśmy każde za i przeciw i doszliśmy do wniosku, że wspólny start w wyborach europejskich jest najlepszym rozwiązaniem – tłumaczy „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz.

Kalkulacja ludowców była dość prosta. Porażka w wyborach europejskich byłaby fatalnym prognostykiem przed wyborami parlamentarnymi, które z punktu widzenia PSL są teraz kluczowe, ważniejsze niż te europejskie. W wyborach europejskich głosują głównie mieszkańcy dużych miast i to wśród nich spodziewana jest największa mobilizacja. Ludowcy obawiali się, że w efekcie mogą znaleźć się pod progiem

wyborczym, co byłoby wizerunkowym ciosem, z którego trudno się podnieść w krótkim czasie. – Warunki gry ustala prawo wyborcze. Trzeba wiedzieć, kiedy być lwem, a kiedy lisem. Lwem byliśmy w wyborach samorządowych, teraz musimy być lisem – mówi „Do Rzeczy” poseł PSL Piotr Zgorzelski.

Na Radzie Naczelnej PSL za wejściem do koalicji głosowała zdecydowana większość, bo aż 86 delegatów, przeciw było osiem osób, wśród nich m.in. były premier Waldemar Pawlak i były minister rolnictwa Marek Sawicki.

CIOS LGBT

Wchodząc do koalicji, nikt w PSL nie przypuszczał, że część kampanii wyborczej zdominuje tematyka światopoglądowa. Stało się tak za sprawą Deklaracji LGBT, którą podpisał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Cała dyskusja, którą obserwujemy w ostatnich dniach, jest dla PSL szalenie niewygodna i niebezpieczna. To jak cios w serce. W Internecie pełno jest memów i grafik z tęczową koniczyną i skrótem PSLG, a media publiczne nie przepuszczają żadnej okazji, by pokazać, że konserwatywne dotąd PSL dokonuje skreślenia w lewo. Z punktu widzenia PiS to słuszna taktyka, bo elektorat PSL jest „do wzięcia”. Badania jasno pokazują, że między obiema partiami występują naturalne przepływy elektoratów. PiS liczy, że dla przywiązanych do tradycyjnych wartości wyborców PSL wspieranie ideologii

LGBT może być nie do zaakceptowania. Do tego, jak mówią nam politycy PSL, na ich wyborców wpływ mają księża, którzy w tej sprawie raczej milczeć nie będą. To wszystko nie napawa ludowców optymizmem, choć oficjalnie nie dają po sobie tego poznać.

– Wiem, że będzie próba ubrania nas w te buty, zresztą już jest, ale nie obawiam się tego. Wiemy, jakich wartości bronimy. A jeśli PiS chce rozmawiać o sprawach światopoglądowych, to zobaczymy, czym różnią się ich rządy od rządów PO-PSL. Jakie ustawy, np. chroniące życie, PiS przyjął? Kiedy w Sejmie było głosowanie nad projektem liberalizującym ustawę aborcyjną, ja byłem jedynym posłem, który zgłosił formalny wniosek o jego odrzucenie. Nikt z PiS tego nie zrobił – denerwuje się Kosiniak-Kamysz.

Rzeczywiście, wówczas PiS przyjął zasadę przyjmowania wszystkich projektów obywatelskich i kierowania ich do prac w komisjach.

Słowa Kosiniaka-Kamysza wskazują, że PSL nie zamierza pozostać bierne na podgryzanie przez PiS. Chociaż nie będzie mu łatwo dowodzić, że pozostaje wierny swoim przekonaniom, gdy inni członkowie Koalicji mówią w wywiadach, że związki partnerskie są dogadane i z Platformą, i z PSL. A tak właśnie stwierdziła niedawno w „Rzeczpospolitej” Barbara Nowacka.

Nasi rozmówcy z PSL przekonują, że to nie tak. Po pierwsze uzyskali od Grzegorza Schetyny zapewnienie, że postaci

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

kojarzących się z radykalnie liberalnymi poglądami (jak Barbara Nowacka czy Joanna Scheuring-Wielgus) nie będzie na listach. A po drugie, nie wiadomo, czy w wyborach parlamentarnych PSL wystartuje w jakiegokolwiek koalicji. Dzisiaj rozważany jest raczej start samodzielny, pod własnym szyldem.

W rozmowie z „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz przyznaje, że z Grzegorzem Schetyną rozmawiał o wystawianiu wspólnych kandydatów do Senatu, gdzie obowiązuje okręgi jednomandatowe i w interesie wszystkich jest to, by wystawić jednego mocnego kandydata, a nie wielu (to pozwoli uniknąć rozdrobnienia głosów). – Na razie skupiamy się na wyborach europejskich. To swego rodzaju sprawdzian. Zobaczmy, jaki będzie wynik, i wtedy podejmiemy decyzję, co dalej. Za wcześniej, by cokolwiek przesądzać – mówi prezes PSL.

Dodaje, że ze Schetyną ma dobre relacje i rozmowy koalicyjne przebiegały w dobrej atmosferze. Przypomina też, że w wypadku wyborów samorządowych Schetyna dotrzymał wszystkich umów dotyczących sejmików, którymi współrządzią PO i PSL, zakłada więc, że i teraz będzie podobnie. Ludowcy mają obiecane trzy „jedyńki” na listach wyborczych, ale też kilka „dwójek”, „trójek” i np. ostatnich miejsc. W poprzednich wyborach PSL wywalczyło cztery mandaty, w tych na tyle nie liczy. Jeśli uda się wywalczyć dwa lub trzy, to będzie sukces, ale możliwe, że nie uda się zdobyć żadnego. Ponieważ nawet na listach, na których politycy PSL będą mieli pierwsze miejsca, dalej będą mocne nazwiska polityków Platformy i to oni mogą zgarnąć mandaty „przydzielone” ludowcom.

NOWE PSL?

Najważniejszym sprawdzianem dla PSL i samego Kosiniaka-Kamysza będą jednak wybory parlamentarne. W ostatnich ludowcy ledwo prześlizgnęli się nad progiem wyborczym z wynikiem 5,13 proc. Teraz łatwiej wcale nie będzie. Kosiniak-Kamysz uważa jednak, że od czasu, gdy objął przywództwo w partii po wyborach w 2015 r., udało się nieco poprawić sytuację.

– Tę kadencję poświęciliśmy na odbudowanie stronnictwa po najsłabszym wyniku parlamentarnym w historii. Udało nam się zatrzymać spadki i obronić przed próbami rozbicia. Teraz czas na rozwijanie partii. Chciałbym, aby w przyszłej kadencji PSL stało się ugrupowaniem ze stabilnym

poparciem w okolicach 10 proc. – mówi Kosiniak-Kamysz. Cieszy się też z tego, że poukładał sprawy partyjne i wygasił część wewnętrznych sporów. Podkreśla, że trudne sytuacje zbliżają ludzi.

PSL od jakiegoś czasu zmienia też swój wizerunek. A raczej próbuje. W partii przeprowadzono badania, które pokazały, że jej wyborcy to już nie tylko elektorat wiejski, lecz także ten z miast, zwłaszcza tych mniejszych.

– Wybory samorządowe pokazały, że największy wzrost poparcia mieliśmy w grupie młodych, co napawa optymizmem, oraz w byłych miastach wojewódzkich, jak np. Tarnów. To oznacza, że obrany kierunek jest słuszny. Chcemy być partią ludową, centrową z mocnymi chadeckimi korzeniami, stroniącą od radykalizmów, zajmującą się nie tylko sprawami rolników, lecz także innych grup, np. przedsiębiorców, ludzi młodych i seniorów – zapowiada Kosiniak-Kamysz.

Podobnie mówi poseł Piotr Zgorzel-ski. – PSL od kilku lat zmienia się w Nowe PSL. Mówimy już nie tylko do rolników i mieszkańców wsi. Stawiamy na energię odnawialną, ekologię, młodych i seniorów. To oferta dla wszystkich Polaków.

PSL jest w trakcie procesu przeobrażania się ze związku zawodowego rolników w partię ogólnonarodową. Wykorzystujemy czas bicia w opozycji optymalnie – zaznacza.

Docelowo PSL planuje także mocniej pójść w tematykę „zieloną”: ekologia, zdrowa żywność, energia odnawialna. Ludowcy uważają, że te sprawy leżą niezagospodarowane i ten, kto pierwszy po nie sięgnie, dobrze na tym wyjdzie.

Zanim jednak to zrobią, muszą walczyć z mocno zakorzenionymi u wyborców opiniami na temat PSL, przede wszystkim tą, że to partia cwaniaków i kombinatorów, którzy jak trzeba dogadają się z każdym.

Politycy PSL, z którymi rozmawiamy, podkreślają, że ich największym atutem jest... lider. Rzeczywiście Kosiniak-Kamysz plasuje się wysoko w rozmaitych rankingach popularności polityków. Dużym echem odbił się styczniowy sondaż IBRIS, z którego wynikało, że to właśnie on powinien być kandydatem opozycji na premiera, wyprzedzając znacząco Grzegorza Schetynę, który znalazł się dopiero na czwartym miejscu.

Swego czasu pojawiły się spekulacje medialne, że regularnie spotyka się z Donaldem Tuskiem, który chętnie widziałby

go w roli wspólnego kandydata zjednoczonej opozycji na premiera. Spekulowano też, że byłby dobrym kandydatem na prezydenta, gdyby Tusk nie zdecydował się na start.

– Polityk, który obwołuje się premierem albo prezydentem, zwykle nie kończy dobrze. Proszę mnie więc zwolnić z obowiązku odnoszenia się do tego – komentuje Kosiniak-Kamysz. Dodaje, że z Tuskiem relacje ma dobre, ale widują się rzadko, tylko przy jakichś oficjalnych okazjach.

– Wiadomo, że to rozgrywka między Tuskiem i Schetyną, ale jeśli przy okazji i my możemy coś ugrać, to w sumie dlaczego nie skorzystać. Nasz lider wcale nie jest taki łatwowierny i naiwny, jak się niektórym wydaje – mówi nam poseł PSL.

Chociaż trzeba przyznać, że prezes PSL dość konsekwentnie buduje swój wizerunek polityka wyważonego, skłonnego do kompromisu, rozsądnego i spokojnego. Tego, który zawsze – jak to trafnie ujęto w satyrycznym serialu „Ucho prezesa” – „apeluje o umiar”.

– Mam dość ugodowy charakter, lubię szukać tego, co łączy, a nie dzieli, budować, rozmawiać z ludźmi. I to przekłada się na to, jak widzę PSL – jako partię pokoju, nie wojny, dialogu, nie monologu, środka, nie skrajności – zaznacza.

Widać, że PSL wyciągnęło wnioski z okresu współrządzenia z Platformą i teraz mocno akcentuje prospołeczne podejście, którego, jak przyznają ludowcy, wtedy im zabrakło. Dzisiaj głosują za projektami społecznymi PiS, popierają „500+” i głośno mówią, że podniesienie wieku emerytalnego było błędem i na pewno powrotu do tego nie będzie. Nie chcą być postrzegani jako opozycja totalna i to im się w sumie udaje. Pytanie, czy to wystarczy, by dostać się do Sejmu.

Komentując wejście do szerokiej koalicji z Platformą i innymi partiami, ludowcy podkreślają, że dużo bardziej niż Platforma zagraża im PiS. Ponieważ to partia Kaczyńskiego od dawna ma chęć na przejęcie elektoratu PSL, z czym się specjalnie nie kryje. – Koalicja Europejska ma realną szansę wygrać wybory europejskie, a to zmienia całkowicie trajektorię na jesień. Tak jak wygrana Andrzeja Dudy dała wiatr w żagle PiS, tak wygrana w maju może ponieść opozycję w wyborach parlamentarnych – prognozuje Kosiniak-Kamysz. Liczy na to, że PSL na ten wiatr także się załapie. Co oczywiste wcale nie jest.



Sławomir Broniarz, prezes ZNP, podczas konferencji na temat planowanego strajku nauczycieli, 4 marca 2019 r.

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Strajk o kasę, nie o zmianę



Łukasz Warzecha

ZNP nie przedstawił żadnego systemowego postulatu, więc faktycznie ma to być strajk tylko o kasę. To podaje w wątpliwość twierdzenia, że nauczyciele walczą o dobro dzieci i polskiej szkoły. W tle jest oczywiście kontekst polityczny

Sławomir Broniarz, niemal dożywotni szef Związku Nauczycielstwa Polskiego, bardzo się oburzył na okładkę „Gazety Polskiej”, na której pokazano go jako terrorystę z kałachem w ręku, trzymającego dzieci jako zakładników. Zapowiedział pozew. Jednak przecież nie dlatego, żeby to była nieprawda – związkowcy faktycznie, w sensie metaforycznym, zamierzają wziąć dzieci jako zakładników. Broniarz natomiast świetnie rozumie, że to nie tylko walka o kasę i jego pozycję jako szefa ZNP, lecz także – dziś może przede

wszystkim – walka o emocje wyborców. Także w kontekście wyborów. Szef ZNP obawia się, że te emocje obrócić się mogą przeciwko nauczycielom.

Punkt wyjścia jest standardowy: zwolennikom władzy strajk nauczycieli się nie podoba, przeciwnicy władzy uważają, że jest uzasadniony, i ignorują to, że ZNP (a także współdziałająca z nim nauczycielska Solidarność) nie podnosi żadnych postulatów systemowych, jedynie prosty postulat płacowy – tysiąc złotych na głowę więcej.

Gdyby podział emocji pozostał taki właśnie, można by uznać, że strajk nauczycieli nic nie zmieni w perspektywie wyborczej. Jednak ta ustalona linia frontu może się w tej akurat sprawie łatwo przesunąć w jednym lub drugim kierunku, co rozumieją obie strony. Na korzyść strajkujących działa chaos w systemie oświaty, spowodowany reformami minister Zalewskiej, której start w wyborach do PE wygląda w tym kontekście wyjątkowo niekorzystnie. Kumulacja roczników, do której dojdzie jesienią, będzie apogeum problemu. Tyle że wtedy osoba bezpośrednio za sytuację odpowiedzialna ma szansę być już na wygodnej synekurze w Parlamencie Europejskim. Umieszczenie Anny Zalew-

skiej na listach do PE stwarza wrażenie nagrodzenia szefowej MEN. Niekoniecznie zasłużenie.

DWIE STRONY MEDALU

Faktem jest także, że nauczycielskie pensje do najwyższych nie należą. Nauczyciel dyplomowany, będący magistrem z przygotowaniem pedagogicznym, zarabia niespełna 3,5 tys. zł brutto (to zresztą absurd – państwo opodatkowuje pieniądze, które samo wypłaca, nawet jeśli dzieje się to za pośrednictwem samorządów) plus dodatki. Nauczyciele na samym dole hierarchii mogą liczyć na wynagrodzenie niewiele wyższe niż ustawowe minimum – trochę ponad 2 tys. zł. Wziąwszy pod uwagę, że mówimy o ludziach, którzy przez kilka lat zdobywali kierunkowe wykształcenie, wygląda to słabo w zestawieniu z zawodami, gdzie wymogi są bez porównania niższe.

Na przykład pracownicy Lidl'a mogą zarobić od 2800 do 3350 zł, a po dwóch latach dostaną podwyżkę – za sam staż pracy. Zarobki za pełen etat w Biedronce zaczynają się od 2650 zł, a rosną już po roku. Do tego dochodzą bonusy, boni, paczki na święta. Nauczyciele mają powody do frustracji. Szczególnie gdy widzą, jak rząd hojną ręką rozdaje pieniądze niemal już na

prawo i lewo. ZNP będzie więc starał się sprzedać następującą narrację: jest kasa na socjalne prezenty, ale nie ma dla ważnej grupy zawodowej, od której zależy wychowanie dzieci; do tego niekompetentny rząd przez swoje eksperymenty na systemie doprowadził niemal do jego krachu, co rodzice i dzieci odczuwają boleśnie na początku kolejnego roku szkolnego.

Jednak jest i druga strona medalu – argumenty, które będą grać przeciw żądaniom nauczycieli i przyjętej formie protestu. ZNP nie przedstawił żadnego systemowego postulatu, więc faktycznie ma to być strajk tylko o kasę. To podaje w wątpliwość twierdzenia Broniarza, że nauczyciele walczą o dobro dzieci i polskiej szkoły. Przede wszystkim jednak nauczycielom mogą zaszkodzić problemy z przeprowadzeniem egzaminów ósmoklasistów, a może i matur. Co prawda MEN zmienił szybko odpowiednie rozporządzenie, co daje szansę na przeprowadzenie egzaminów mimo strajku. To pokazuje, że rząd docenił potencjalne negatywne wyborcze rezultaty strajku i odbił piłeczkę. Skutek takiego rozwiązania może być dwojaki. Z jednej strony rząd może się pokazać jako skutecznie chroniący dzieci przed bezwzględną grą ZNP; z drugiej jednak, cynicznie patrząc, może paradoksalnie złagodzić złość rodziców na związkowców. Oczywiście wygrać na tym mogą dzieci, i to jest najważniejsze.

POLITYKA W TLE

Dla obu zwaśnionych stron jest jasne, że nie mówimy tu jedynie o zwykłym proteście płacowym, ale o elemencie większego konfliktu politycznego w kontekście zbliżających się wyborów. Nie tylko do PE, lecz także do Sejmu i Senatu, które będą przecież miały miejsce wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego, więc na ich wyniki może wpłynąć sytuacja, jaką rodzice zastaną w szkołach. Pytanie brzmi: Jak w praktyce emocje wokół systemu oświaty mogą oddziaływać na głosowanie? Trzeba przy tym pamiętać, że PiS walczy o pojedyncze procenty, które mogą zawżyć na drugiej kadencji samodzielnych rządów lub może nawet rządów w ogóle. Nauczyciele nie są z tego punktu widzenia atrakcyjną grupą, bo ich w większości antypisowskie poglądy są raczej stałe. Co innego rodzice. Dla jednych konflikt wokół szkoły i sposób organizacji reformy może być powodem, żeby nie zgłaszać się w ogóle zamiast głosować na PiS; dla in-

nych – żeby zgłaszać przeciwko partii Jarosława Kaczyńskiego. To gra, w której partia rządząca nie walczy o jakikolwiek zysk – odmiennie niż opozycja. PiS walczy jedynie o to, żeby w najlepszym wypadku nie zanotować strat, w najgorszym – żeby były jak najmniejsze. Jeśli bowiem obiecana i przeprowadzona likwidacja gimnazjów dała Prawu i Sprawiedliwości jakąś korzyść w postaci poparcia, to już dawno się ona rozplynęła.

Problem w tym, że w konflikcie między ZNP i Solidarnością a rządem nie pojawia się w ogóle temat systemowych zmian w wynagradzaniu i zawodowym usytuowaniu nauczycieli. Pozycja tej grupy zawodowej, oparta na Karcie nauczyciela (pierwotnie uchwalonej u progu 1982 r., na początku stanu wojennego), jest szczególnie. Sama ustawa liczy sobie dzisiaj, po licznych nowelizacjach, bite 111 stron i 102 artykuły (część została uchylona, część wypączkowała w toku nowelizacji). Usztyniała drogą zawodowego awansu, sposób wynagradzania i jego kryteria, liczbę godzin, które ma przepracować nauczyciel. Likwiduje niemal wszelką elastyczność w tej profesji. Nauczyciel to jeden z najciślej uregulowanych w Polsce zawodów.

Jedynym elementem, odnoszącym się do sposobu i rezultatów pracy nauczyciela, jest dodatek motywacyjny. O jego wysokości i sposobie przyznawania decyduje samorząd, prowadzący daną szkołę – i tylko on ma do tego prawo. Wbrew przyjmowanym w niektórych gminach uchwałąm nie można tej kompetencji przekazać dyrektorom szkół, a więc na poziom, gdzie wiedza o osiągnięciach nauczycieli jest największa. To sprzeczne z Kartą nauczyciela. Jednak dodatek motywacyjny to i tak margines.

Jeśliby szukać przyczyny, dla której polska szkoła kształci słabo, to byłyby takie dwie. Pierwsza to przeładowany, a zarazem pełen luk program nauczania, przez wielu nauczycieli realizowany po linii najmniejszego oporu. Każdy zaangażowany w naukę swojego dziecka rodzic wie na przykład, że polscy uczniowie zawaleni są nierzadko absurdalnymi pracami domowymi, co wynika z tego, że dany pedagog realizuje program w najbardziej odtwórczy sposób. Drugą przyczyną to właśnie Karta nauczyciela, która łamie dobrych pedagogów, a słabym daje finansową nagrodę, o ile tylko spełnią formalne kryteria (wysługa lat i wykształcenie). Karta nauczyciela sprawia, że młodzi, ambitni i dobrzy nauczyciele zniechęcają się na starcie.

Przychodzą do szkoły z głową pełną pomysłów, angażują dzieci w niestandardowy sposób, dają z siebie wszystko, poświęcając na to wiele prywatnego czasu – to właśnie oni muszą najwięcej pracować w domu, poza pensum, żeby dobrze przygotować zajęcia. Dostają zaś najmniejsze pieniądze. Po roku, dwóch latach wielu z nich znajduje sobie lepsze zajęcie i odchodzi. Zostają starzy rutyniarze z lepszymi pieniędzmi, którzy nauczyli się przez lata wkladać w swoją pracę jak najmniej wysiłku i którzy – wbrew twierdzeniom Broniarza – nie muszą już przygotowywać się do zajęć kosztem prywatnego czasu, bo powtarzają co roku ten sam schemat. Jednak ZNP z Kartą nauczyciela nie tylko nie walczy – przeciwnie, będzie jej bronił jak niepodległości właśnie dlatego, że to zbiór przywilejów zawodowej kasty.

Nie ma też co liczyć, żeby temat poważnych zmian w Karcie nauczyciela podjął PiS. To oznaczałoby potężny konflikt z nauczycielską kastą i było sprzeczne ze skrajnie etatystycznym sposobem widzenia państwa przez partię rządzącą. Zresztą czas na takie działania jest zawsze bezpośrednio po wyborach, ale zmiana Karty nauczyciela – o jej skasowaniu nie mówiąc – nie była nigdy w planach reformy systemu edukacji PiS.

BEZ ZMIAN?

Jak się skończy ta awantura? Odpowiedź jest prosta: smutno. Ostatecznie zostanie zapewne zawarte jakieś porozumienie, bo rządowi nie zależy na tym, żeby strajk zagroził egzaminom maturalnym, a tym bardziej żeby nie nałożył się we wrześniu na nieuchronne problemy wynikające z likwidacji gimnazjów. Z kolei ZNP, poza tym, że ma misję polityczną i jest sojusznikiem opozycji, jest też jednak związkiem zawodowym. Musi się więc liczyć z tym, że jeżeli władza zaproponuje dobrą umowę – zapewne nie tysiąc złotych, ale np. połowę tego plus wyraźną drogę dojścia do całej sumy w ciągu kilku lat poprzez stopniowe podwyżki – to zwiększy się presja nauczycieli na kierownictwo związku, żeby na to przystać. Wszak lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

Nie wyniknie z tego natomiast żadna zmiana systemowa. Karta nauczyciela będzie się mieć dobrze, nie zostanie nawet tknięta. Sławomir Broniarz będzie trwał na stanowisku szefa ZNP. Do następnego strajku, do następnych żądań.



Piotr Semka

Dyskusja o skali winy „Burego” będzie bardzo trudna. Co w tej sprawie zmienia nowy komunikat IPN?

Biuro prasowe IPN opublikowało 11 marca „Komunikat dotyczący informacji zawartych w ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski, w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946 r.”. Chodzi o sekwencję paru kolejnych akcji pacyfikacyjnych oddziału Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pod dowództwem kpt. Romualda Adama Rajsa „Burego” na terenie powiatu Bielsk Podlaski.

W stalinowskiej Polsce „Bury” po aresztowaniu w 1948 r. został rok później skazany na karę śmierci. W 1995 r. wyrok ten uznano za nieważny z uwagi na to, że dotyczył działań w obronie niepodległego bytu narodu polskiego i dotyczył „czynów podejmowanych w stanie wyższej konieczności”. Wyrok ten unieważniono w 1995 r. i tym samym Romuald Rajs został uznany za osobę niewinną.

Jednak w latach 2002–2005 jeden z organów IPN – Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – podjął w tej sprawie ponowne śledztwo. Chodziło głównie o trzy incydenty – spalanie wsi Zaleszany, działania represyjne we wsi Zanie, Szpaki i Wólka Wygonowska i wreszcie egzekucję 30 tzw. furmanów w lesie pod Puchałami starymi.

Prokurator po trzech latach umorzył śledztwo, uznając fakt śmierci osób zaangażowanych w tamte wydarzenia, ale jednocześnie uznał, że działania „Burego” nosiły znamiona zbrodni przeciw ludzkości, gdyż były skupione na przedstawicielach konkretnej grupy etnicznej – ludności białoruskiej i prawosławnej. W uzasadnieniu pisał: „Jak zabójstwa furmanów i pacyfikacje wsi w styczniu i lutym 1946 r. nie można utożsamiać z walką o niepodległy byt państwa, gdyż nosiły znamiona ludobójstwa, tak akcje »Burego« przeprowadzone wobec mieszkańców podlaskich wsi wspomagały komunistyczny aparat

Spór o „Burego” – nowa odsłona

władzy i to przede wszystkim poprzez obniżenie prestiżu organizacji podziemnych, dostarczenie argumentów propagandowych o bandytyzmie oddziałów partyzantycznych”. W tekście uzasadnienia czytamy też, że „działania pacyfikacyjne przeprowadzone przez »Burego« w żadnym wypadku nie sprzyjały poprawie stosunków narodowych polsko-białoruskich i zrozumienia walki polskiego podziemia o niepodległość Polski. Przeciwnie – tworzyły często nieprzejednanych wrogów lub też rodziły zwolenników dążeń oderwania Białostoczczyzny od Polski. Żadna zatem okoliczność nie pozwala na uznanie tego, co się stało za słuszne”. Postanowienie prokuratora, a faktycznie jego uzasadnienie, zaskarżono jednak postanowieniem z 18 listopada 2005 r. Sąd Okręgowy w Białymstoku, po rozpoznaniu zażaleń, utrzymał decyzję prokuratorską w mocy.

KOMUNIKAT IPN

Teraz komunikat IPN wskazuje na nowy aspekt sprawy. Od czasu tamtego

uzasadniania wykonane zostały nowe badania na temat działań oddziału „Burego” w styczniu 1946 r. Jak głosi komunikat IPN: „W kontekście tych badań postawiona w postanowieniu o umorzeniu śledztwa w 2005 r. teza »zabójstwa, i usiłowania zabójstwa tych osób jako zmierzających do wyniszczenia części tej grupy narodowej i religijnej, a zatem należące do zbrodni ludobójstwa, wchodzących do kategorii zbrodni przeciwko ludzkości« – jak pisze IPN – nie odpowiada stanowi faktycznemu”.

Komunikat IPN odwołuje się do nowych opracowań o charakterze naukowym. Pierwsze były oparte na relacjach i dokumentach polemiki dr. Kazimierza Krajewskiego i prawnika Grzegorza Wąsowicza z fragmentami książki Piotra Zychowicza „Skazy na pancerzach” dotyczącymi „Burego”. Drugim – o wiele szerszym – opracowaniem była biografia Rajsa pióra Michała Ostapiuka. I wreszcie komunikat IPN powołuje się na monografię Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pióra dr. Mariusza

Bechty i dr. Wojciecha Muszyńskiego. IPN twierdzi, że ustalenia wszystkich wymienionych powyżej badaczy wskazują, że przyczyną akcji była współpraca zamordowanych z komunistyczną władzą, a nie samo pochodzenie białoruskie czy wiara prawosławna.

Jak ogłasza komunikat IPN: „»Burego« nie działał z zamiarem zniszczenia (ani w całości, ani w części) społeczności białoruskiej lub też społeczności prawosławnej zamieszkanej na terenie Polski w jej obecnych granicach. [...] Wina »Burego« polega w tym zakresie na stworzeniu sytuacji, nad którą nie był w stanie zapanować, i w wyniku której, niezależnie od jego zamierzeń, zginęły osoby, które w żadnym wypadku nie powinny były ucierpieć. [...] Należy zatem wyraźnie zaakcentować, że w świetle najnowszych badań naukowych informacje zawarte w ustaleniach końcowych do śledztwa S 28/02/Zi w wielu obszarach są wadliwe”.

KIJ W MROWISKO

Jak można było się domyślić – komunikat IPN wywołał bardzo duży oddźwięk. Pierwsza kwestia, która na razie nie została wyjaśniona, to ta, czy oznacza to podjęcie jakichś kroków na rzecz unieważnienia uzasadnienia umorzenia śledztwa z 2005 r. Kolejne pytanie to, w jakim stopniu komunikat oddaje stanowisko prezesa IPN Jarosława Szarka. „Gazeta Wyborcza” opublikowała wypowiedź szefa pionu śledczego IPN, prokuratora Andrzeja Pozorskiego, że komunikat nie był z nim konsultowany.

Krytycznie najnowszy komunikat IPN przyjął Krzysztof Persak, były dyrektor sekretariatu prezesa IPN z lat 2011–2016. Na Facebooku wskazywał, że najnowszy komunikat IPN „usiłuje unieważnić postanowienie prokuratora IPN, ale również postanowienie sądu okręgowego” w Białymstoku z 18 listopada 2005 r.

Z drugiej strony komunikat przyjął z uznaniem ci badacze, którzy wskazywali, że tezie o antybiałoruskości czy niechęci do prawosławia „Burego” przeczy fakt, że jednym z jego zastępców był Białorusin Mikołaj Kuroczkin ps. Leśny. Tego samego wyznania był Jerzy Jurasow, który ukrywał Rajsa w Karpczu.

Oburzają się oni na tytuły medialne w stylu „IPN wybiela zbrodnie”. „Opinia na temat »Burego« naznaczona jest wieloma błędami i echemi zmistyfikowanego stalinowskiego procesu z 1949 r. Nie wolno

dać sobie wmówić, że dalsze badanie szczegółów wydarzeń z lat jego walki to coś niegodziwego. To naturalne prawo i obowiązek badaczy” – mówi Grzegorz Wąsowski, autor jednej z publikacji, do której odwołuje się komunikat IPN.

Irytacją zareagowali z kolei przedstawiciele mniejszości białoruskiej na Białostocczyźnie. Uznają oni pamięć o ofiarach „Burego” za ważny element zbiorowej pamięci swej społeczności. W kręgach Cerkwi podejmowane są inicjatywy na rzecz uznania ofiar za męczenników wiary prawosławnej.

Jerzy Kalina, reżyser, dokumentalista filmowy z kręgów mniejszości białoruskiej, zaatakował IPN za to, że „przywołuje w stanowisku opinie historyków, a nie prokuratorów”. Kalina nie kryje swojej niechęci wobec IPN: „Z prawnego punktu widzenia to, co opublikowali funkcjonariusze instytutu propagandy narodowej, nie ma żadnego znaczenia”. Bardziej rzeczowo zabrzmiała opinia prof. Olega Łatyszonka, białoruskiego historyka z Uniwersytetu w Białymstoku: „Nie bardzo rozumiem, co IPN chciał zakomunikować. Z tekstu [komunikatu IPN – przyp. red.] wynika, że jego pracownicy przeczytali trzy artykuły i jedną książkę, na podstawie których doszli do wniosku, że ustalenia prowadzonego w ramach IPN wieloletniego śledztwa są nieważne. Wobec tego Główna Komisja Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu powinna wznowić śledztwo. Zamiast tego IPN dzieli się z opinią publiczną wrażeniami z lektur, których treść jest co najmniej dyskusyjna”.

Komunikat IPN zauważono też w Mińsku. Ambasador RP został wezwany do białoruskiego MSZ. „Oczekujemy od władz Polski publicznego oficjalnego komentarza, czy ta ocena działań »Burego« jest oficjalnym punktem widzenia i jak się to odnosi do kroków na rzecz budowania dialogu, w tym historycznego, podjętego przez oba kraje w ostatnim czasie” – oświadczył w komunikacie rzecznik MSZ Białorusi Anatol Hłaz.

HISTORIA I ETNICZNE OKULARY

Cała sprawa to kolejny przykład sytuacji, gdy epizod z historii tak silnie nakłada się na aktualne podziały w polityce, że trudno jest o spokojną debatę.

Śledztwo w 2002 r. krytykowane jest przez część historyków z prawej strony jako typowy przykład tendencji z okresu prezesa IPN Leona Kieresa w latach 2000–2005. Instytut w tamtych latach musiał nauczyć się działać równoległe do

rządów SLD, które zawsze bardzo poważnie traktowały katalog krzywd podnoszonych przez mniejszość białoruską po wojnie. Kolejna kwestia to krzyżowanie się dwóch dziedzin działalności IPN: śledczej i naukowej. W tym wypadku dochodzi do kolizji niejawnych ustaleń prokuratorskich – z badaniami publicznymi, na czele z wydaną przez instytut monografią „Burego”.

Tezy stawiane przez Michała Ostapiuka oraz duet Krajewski-Wąsowski są solidnie udokumentowane. Jednak dużej części faktów nie znamy. Pytanie, czy to winno unieważniać ostre oskarżenia, czy na odwrót – każe traktować Rajsa z pełną surowością? Sprawa będzie tym gorętsza, im mocniej nabrzmiewać będzie walka lewicy z kultem wyklętych. Kolejna kwestia to próby aparatu pamięci Białorusi, by używać kpt. Rajsa do piętnowania moralnego Polski. Tej samej Białorusi, która gloryfikuje dziesiątki sowieckich dowódców partyzanckich mających na sumieniu mordy na polskich partyzantach i polskiej ludności cywilnej. Swoją rolę gra też postrzeganie przez polskich Białorusinów okresu powojennego i ich ówczesna sympatia do komunistów. Nie widać w tym środowisku żadnej ochoty do krytycznej analizy na ten temat.

Wszystko to pokazuje, że dyskusja o skali winy „Burego” będzie bardzo trudna.

W kraju, w którym nieporównanie bliższy czasowo spór o przeszłość Lecha Wałęsy wywołuje kłincz – tym trudniej będzie prowadzić dyskusję na temat dowódcy wyklętych. W miarę jednak, jak badania będą coraz bardziej zaawansowane, nie sposób będzie też ignorować faktów świadczących na korzyść dowódcy NZW.

Media niechętnie pamięci o wyklętych już interpretują komunikat IPN jako czysto polityczne wybielanie Rajsa. Takie postawy przypominają słowa dziennikarki TVN, że prawda została już ustalona i nic nie może tego zmienić.

Jest jednak jeszcze jedno stanowisko. Część historyków zajmujących się wyklętymi ma wątpliwości, czy trzeba toczyć boje akurat o „Burego”. Jeden z nich – prosząc o anonimowość – mówi: „Decyzji o spalaniu wsi nie da się obronić, nawet jeśli odrzucimy motyw nienawiści etnicznej czy religijnej. Zamiast kruszyć kopie w tej sprawie, lepiej skupić się na promowaniu tych wyklętych, którzy nie mieli tak drastycznych rozkazów. Dla lewicy spór o wyklętych w postaci sporu o »Burego« to cenny prezent”.



Agnieszka Niewińska

Długotrwała opieka nad dzieckiem w ciężkim stanie klinicznym, podłączonym do medycznej aparatury, to dla każdego rodzica ogromne wyzwanie. Tym w najtrudniejszej sytuacji od lat pomaga Stowarzyszenie SPES

Aby nie zostali sami

Zerkam na zdjęcia Kamila, które stoją w jego pokoju. – To zrobione było przed wypadkiem, krótko przed 19. urodzinami Kamila – wyjaśnia mama młodego chłopaka, Joanna Łyczkowska. Tragicznego dnia sprzed czterech lat wolałaby nie pamiętać, ale obraz nieprzytomnego, reanimowanego przez ratowników syna wciąż ma przed oczami. Niestety zanim przybyli, Kamil zbyt długo pozostawał bez oddechu, co poczyniło spustoszenie w mózgu. – Lekarze orzekli śpiączkę mózgową – mówi pani Joanna.

CZUWANIE W DZIEŃ I W NOCY

Mimo że syn jest w ciężkim stanie klinicznym i wymaga całodobowej opieki,

zdecydowała, że zabierze go do domu.

– Miałam propozycję, żeby umieścić Kamila w jakimś ośrodku, ale nie wyobrażałam sobie, żeby oddać komuś moje dziecko. Dopóki starczy mi sił, dopóty sama będę się nim zajmować – mówi.

Jej mieszkanie w myśłowickiej kamienicy musiało zamienić się niemalże w szpitalną salę. Kamil jest odżywiany za pomocą sondy, oddycha dzięki rurce tracheotomijnej. Wokół jego łóżka rehabilitacyjnego wiją się rurki od medycznych sprzętów. Tuż obok stoi ssak. Bez tego urządzenia Kamil mógłby się udusić. Mama przy synu czuwa dzień i noc. – Śpię zaledwie kilka godzin na dobę, i tak od czterech lat – opowiada.

Jej dzień ma stały rytm. Przygotowuje posiłki, podaje leki, myje, pilnuje, by nie

przegapić momentu, kiedy trzeba użyć ssaka. – Dużo z nim rozmawiam, kiedy mu coś opowiadam, odwraca się do mnie. Przez te lata zrobił postępy. Proszę go: Synku, ściśnij moją rękę, a on ściska. Mówię, żeby podniósł nogę, i on ją lekko podnosi. Lekarze twierdzą, że to odruchy bezwolkowe, ale ja czuję, że on mnie słyszy, że reaguje – opowiada.

Synem opiekuje się sama, czasem pomaga jej starsza córka, która mieszka z rodziną w pobliżu. Wsparcia udzieliło jej Stowarzyszenie SPES, a kobieta przyznaje, że bez tego nie wie, jak podołałaby opiece nad synem. Kamil dołączył do Programu Pomocy Dzieciom tej organizacji. Jego celem jest wsparcie rodzin znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej, opie-

kujących się dziećmi w ciężkim stanie klinicznym.

Dzięki pomocy SPES udało się uzyskać dla rodziny mieszkanie komunalne na parterze. Wcześniej mieszkali na piętrze w starej kamienicy. Drewniana klatka schodowa uniemożliwiała zamontowanie windy czy korzystanie ze schodolazu, więc byli uwięzieni w czterech ścianach. Nowe mieszkanie, do którego przeprowadzili się przed miesiacem, daje szansę na to, by z Kamilem przeniesionym na wózek wyjść na zewnątrz. SPES wyposażyło mieszkanie w niezbędne meble. Wcześniej pomogło w zakupie potrzebnych do opieki sprzętów – łóżka z podnośnikiem, dzięki któremu mama nie musi nadwyreżać kręgosłupa, gdy chce przenieść syna, umyć go czy zmienić pościel. SPES pokryło koszt ssaka z akumulatorem. – Gdy była awaria prądu, musiałam wzywać straż, bo ssak po prostu nie działał. Teraz jestem spokojniejsza – mówi pani Joanna.

Aby zająć się synem, musiała zrezygnować z pracy zawodowej. Wydatki się piętrzyły, a brakowało pensji. Kamilowi nie przyznano renty socjalnej, a mamie świadczenia pielęgnacyjnego, gdyż zdaniem urzędników nie spełniali kryteriów. – Pomogliśmy mamie Kamila odwołać się od odmownej decyzji, zwracając uwagę na wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Uznał on, że świadczenie pielęgnacyjne należy się opiekunowi niepełnosprawnego niezależnie od momentu powstania niepełnosprawności. Nasza argumentacja została uznana, dzięki czemu zamiast 500-złotowego zasiłku pani Joanna otrzymuje blisko 1,6 tys. zł świadczenia pielęgnacyjnego – opowiada Dobrosława Walkiewicz, koordynator Ośrodka Poradnictwa Stowarzyszenia SPES.

Domowy budżet pani Joanny ratuje także comiesięczne stypendium Programu Pomocy Dzieciom Stowarzyszenia SPES. – Dzięki niemu mogę np. opłacić czynsz czy zadbać o dodatkowe godziny rehabilitacji dla Kamila. NFZ zapewni 10 godzin zajęć na rok, a Kamil potrzebuje rehabilitacji jak najczęściej – mówi pani Joanna.

WYRÓWNAĆ SZANSE

Program Pomocy Dzieciom Stowarzyszenia SPES powstał w 2012 r. – Zgłosił się do nas tata chłopca w ciężkim stanie klinicznym. Okazało się, że dla dzieci przebywających w domu pod specjalistyczną aparaturą pomoc jest niewystarczająca, a opieka kosztowna, wyczerpująca dla rodziców. To był impuls do stworzenia

programu pomocy rodzinom w podobnej sytuacji – opowiada Monika Pinkowska, koordynator programu.

W tym roku SPES wspierał w ramach tego programu 22 osoby z całej Polski. Część od urodzenia walczy z chorobą, niepełnosprawnością. Inne ucierpiały w wyniku wypadków. – Chcemy docierać z tym programem do osób, które są w najtrudniejszej sytuacji, pochodzą z mniejszych miejscowości, są osamotnione – tłumaczy Pinkowska. Zwraca uwagę, że nie wszyscy utrudzeni opieką nad dzieckiem rodzice potrafią zorganizować prywatną zbiórkę, rozreklamować ją w Internecie. – Tata pracuje, mama przez całą dobę czuwa przy dziecku. W takiej sytuacji zbieranie pieniędzy na własną rękę jest niezwykle trudne, zwłaszcza jeśli nie mają sieci znajomych. Wspierając ich comiesięcznym stypendium, chcemy wyrównać ich szansę – podkreśla. – Zanim przyznamy stypendium, spotykamy się z rodziną,

Dzięki pomocy SPES udało się uzyskać dla rodziny mieszkanie komunalne na parterze. Wcześniej była uwięziona w czterech ścianach

poznajemy jej sytuację, rozmawiamy o potrzebach i wyznaczamy cele stypendialne. Zależy nam na tym, by miała motywację do działania na rzecz trwałej poprawy swojej sytuacji. Cel jest taki, żebyśmy w jakimś momencie przestali być im już potrzebni.

SPES dofinansowuje także zakup specjalistycznego sprzętu i wyposażenia. Wspiera w likwidacji barier architektonicznych w domach, dzięki czemu opieka nad dziećmi jest łatwiejsza. Pomaga też rodzinom w uzyskaniu mieszkania, jeśli te nie mają gdzie mieszkać. Dzięki działaniom stowarzyszenia rodzina z Pleszewa dostała od gminy lokal komunalny, który SPES wyremontowało. Nie udało się to w wypadku rodziny z Mazur, dlatego SPES kupiło lokal, przekształciło go w mieszkanie chronione i po remoncie udostępniło rodzinie.

– W niektórych sytuacjach widzimy, że poprawić sytuację rodziny mogą kursy doskonalenia zawodowego któregoś z rodziców albo skończenie przez niego studiów. Wówczas proponujemy pomoc

w sfinansowaniu kształcenia, bo dzięki temu rodzic ma szansę na zmianę pracy na lepiej płatną – mówi koordynatorka Programu Pomocy Dzieciom.

OD POMOCY PRAWNEJ DO WARSZTATÓW TERAPII ZAJĘCIOWEJ

Program Pomocy Dzieciom to załedwie jedno z wielu działań Stowarzyszenia SPES. Organizacja prowadzi Ośrodek Poradnictwa dla osób w trudnej sytuacji życiowej, udziela pomocy prawnej, prowadzi także Program Spraw Precedensowych i Inicjatywy Ustawodawczej, w ramach którego przygotowuje projekty zmian w ustawach, by wpłynąć na poprawę losu osób, które znalazły się w szczególnie trudnej sytuacji życiowej ze względu na przepisy prawa.

Organizacja od początku swojego istnienia wspiera niepełnosprawnych intelektualnie i ich rodziny. W Katowicach zorganizowała Wspólnotę Spotkań, w ramach których w integracyjnych spotkaniach biorą udział niepełnosprawni intelektualnie, ich rodziny i wolontariusze. SPES prowadzi Warsztat Terapii Zajęciowej – niepełnosprawni produkują budki lęgowe dla ptaków, ekologiczne rozpałki do grilla czy okolicznościowe karty pocztowe, które znajdują nabywców na rynku. SPES prowadzi też Dom Rodzinny św. Józefa. Mieszkają w nim niepełnosprawni intelektualnie, którzy wymagają wsparcia w samodzielnym funkcjonowaniu po śmierci rodziców. Działania organizacji w 2017 r. zostały uhonorowane nagrodą prezydenta RP „Dla Dobra Wspólnego”.

Trwa nabór wniosków na stypendia Programu Pomocy Dzieciom. To, w jakim wymiarze SPES będzie mogło pomóc potrzebującym rodzinom, zależy od wsparcia darczyńców. Na rzecz SPES można przekazywać 1 proc. podatku albo zdecydować się na stałe darowizny – nawet niewielkich kwot.

W mieszkaniu Joanny Łyczkowskiej do remontu jest jeszcze jedno pomieszczenie, które zamieni się w przystosowaną do potrzeb Kamila łazienkę. – Jednak marzenie mam tylko jedno. Chciałabym widzieć Kamila takim, jakim był przed wypadkiem – nastolatkiem, który uwielbiał piłkę nożną i słuchanie muzyki. Wciąż widzę w nim tamtego chłopca – mówi pani Joanna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Stowarzyszenie SPES nr KRS 00000 14574.
Darowizny można wpłacać na konto
nr 80 1240 2959 1111 0010 2904 3289.**



Piotr Gociek

„Leaving Neverland” to film przerażający. Mocny akt oskarżenia wobec Michaela Jacksona jest też opowieścią o straszliwych spustoszeniach, które niesie ze sobą molestowanie seksualne

Potwór z Neverlandu

Obie te historie zaczynają się jak hollywoodzkie opowieści. Lepiej – jak bajki.

Historia pierwsza. Wade, obdarzony naturalnym talentem tanecznym pięcioletni chłopiec z Australii, który ma bzika na punkcie popularnego artysty (znanego tylko z telewizji), opanowuje do perfekcji sztukę imitacji swego idola. W konkursie dla młodych talentów, którego regulamin dopuszcza do startu jedynie ośmiolatków i starsze dzieci, bierze udział jako gość, a nie konkurent. Aplauz po występie jest tak wielki, że małe oficjalnie zostaje ogłoszony zwycięzcą (choć przecież zgodnie z regulaminem nie mógłby nawet o ten tytuł walczyć). Nagrodą jest spotkanie z idolem.

Już to byłoby wydarzeniem nie z tej ziemi dla zupełnie zwyczajnej rodziny z Brisbane. Jednak bajka trwa: utalento-

wany maluch zostaje częścią koncertowego show, pojawia się na scenie obok innych dzieci i obok idola. – Mały chłopiec z Australii przeżył coś niezwykłego, niemożliwego – wspomina po latach Wade. – Spotkanie z idolem, mentorem, bogiem.

Idol, mentor, bóg rzekł: – Gdybyście kiedyś byli w Ameryce, dajcie znać. I dotrzymał słowa. Kiedy dzieciaki z zespołu tanecznego Johnny Young Talent School przyjechały do USA, mały Wade i jego rodzina dostali zaproszenie do posiadłości wokalisty. Był to początek długiej przyjaźni.

OPOWIEŚĆ OFIAR

Historia druga. James (wszyscy mówią Jimmy), siedmioletek z miasteczka Simi Valley (dalekie przedmieścia Los Angeles). Pewnego dnia rodzice usłyszeli od zna-

jomej: „Jimmy jest uroczy, powinien grać w reklamach”. Wkrótce zagrał. I to w jakiej! Jednej z najlepszych reklam Pepsi w historii tej marki. Na planie poznał gwiazdę pop, której piosenki rozpały fanów na całym świecie. – Nie byłem wtedy jednym z nich – opowiada po latach Jimmy. – Wolałem Voltrona i Transformersów – dodaje. To się szybko zmieniło. Gwiazdor zaczął od telefonów, wielogodzinnych rozmów ze swoim małym przyjacielem (choć rozmawiał też często z jego matką). Później kupił im faks, na który wysyłał karteczki z rysunkami i krótkimi listkami. Wreszcie w sekrecie osobiście zaczął pojawiać się w Simi Valley. Matka Jimmy’ego opowiada: – Kochałem go. Zaczęłam go traktować jak syna. Prałam jego rzeczy, gdy zostawał na noc.

– Czułem się przy nim jak z przyjacielem, jak z rówieśnikiem – wspomina Jimmy. A gwiazdor miał wówczas mówić:

Swoją dramatyczną historię w filmie HBO opowiedział Wade z Australii, który poznał Jacksona, gdy miał pięć lat. FOT. HBO



Neverland". Reżyser Dan Reed nie próbuje nawet przekonywać, że jego celem jest przygotowanie starannie wyważonego dokumentu. To opowieść ofiar i ich rodzin. To kolorowy horror, u którego kresu padną te proste dwa słowa: „Był pedofilem”.

„Leaving Neverland” przenosi nas ze świata abstrakcji, formułek gładko spływających przez dekady z ekranów telewizorów („oskarżony o...”, „twierdzą, że...”, „sąd rozstrzygnie, czy...”) w sam środek krzywdy wyrządzonej dzieciom. – My wewnątrz nadal jesteśmy dziećmi, tylko mamy więcej lat – mówi w pewnym momencie James Safechuck. A kiedy opowieść jego i Wade’a Robsona doprowadza nas do chwili, kiedy najpierw tracą kontakt z Jacksonem, a potem do śmierci idola, ulga nie nadchodzi. Zaczyna się nowy wymiar horroru, kiedy poranieni bohaterowie tej historii zakładają własne rodziny, ale nie mogą sobie poradzić z własną przeszłością. Lata krzywdy i lata kłamstwa zżerają ich od środka.

DWA PROCESY

Skoro padło już słowo „kłamstwo” – wielu obrońców Michaela Jacksona zadaje uprawnione pytania. Dlaczego mamy wierzyć jego oskarżycielom teraz, skoro składali pod przysięgą zeznania i stanowczo zaprzeczali, by doszło do jakiegokolwiek molestowania? A jeśli przyjmujemy, że wtedy kłamali, to skąd mamy wiedzieć, czy teraz także nie kłamią? Gdzie są dowody? Gdzie inni świadkowie? Czy te sprawy nie zostały już rozstrzygnięte przez sąd? Na korzyść Michaela Jacksona, dodajmy. I to dwukrotnie, choć sprawy wyglądały dziwnie. Oskarżenia wysunięte w roku 1993 zakończyły się ugodą, w ramach której łącznie gwiazdor zapłacił 23 mln dol. nieletniemu Jordanowi Chandlerowi, jego rodzicom i prawnikowi. Dla jednego był to dowód, że gwiazdor ma coś na sumieniu, dla innych wręcz przeciwnie – fakt podpisania ugody stanowił potwierdzenie złych intencji oskarżycieli: gdyby dziecko rzeczywiście było molestowane – argumentowało wielu – żadne pieniądze nie rozwiązałyby sprawy.

Drugi proces miał miejsce w roku 2005. Pokrzywdzonych było więcej, zebrano także obszerny materiał dowodowy: zeznania służby z rancza Neverland, zbiory pornografii należącej do Jacksona, wreszcie świadectwa molestowanych dzieci. Jacksona uniewinniono po tym, jak na jego korzyść zeznawali Macaulay Culkin

i... Wade Robson, bohater dokumentu HBO. Pod przysięgą zeznał wówczas, że do żadnych nieprzystojnych zachowań ze strony Jacksona nie dochodziło. Po latach Wade opowiada, że przez lata molestowania został przez Jacksona odpowiednio „urobiony”. Gwiazdor nie tylko nalegał, by wszelkie seksualne kontakty pozostawały w sekrecie, lecz także na każdym kroku przypominał dziecku (zapewne i innym dzieciom), że ich ujawnienie to koniec świata nie tylko dla niego, lecz także dla jego małoletnich przyjaciół. Pamiętajmy też, że mówimy nie o typowych ofiarach gwałtu, lecz o dzieciakach zapatrzonych w Jacksona jak w tęczę, które czasem – to jeden z najbardziej przerażających fragmentów ich wyznań – uznawały seksualne zainteresowanie z jego strony za dowód szczególnego uznania.

Autorzy filmu „Leaving Neverland” nie wchodzili w szczegóły dochodzeń, nie nagrali też na potrzeby swojej pracy specjalnych wywiadów ze świadkami obrony, prawnikami Jacksona czy członkami jego rodziny. Wykorzystali tylko krótkie wypowiedzi samego piosenkarza oraz fragmenty medialnych wystąpień zatrudnionych przez niego adwokatów. Nie poproszono o wypowiedzi policjantów prowadzących sprawę czy prokuratorów. Stąd opinie, że film jest stronniczy, a recenzentka „Entertainment Weekly” określiła go nawet mianem „przysłgniębiająco jednostronnego”, twierdząc, że nie broni się jako dzieło dokumentalne. Autorzy większości recenzji uznawali jednak wywód przeprowadzony przez zarejestrowanych przez Reeda bohaterów za miażdżący dla Michaela Jacksona. Prócz słów były i działania, takie jak wycofywanie z radiowych playlist utworów piosenkarza (najgłośniejsze w mediach rezonowała decyzja BBC). Dla porządku przypomnę jednak, że i wcześniej, w trakcie trwającego 18 miesięcy procesu w latach 2004–2005, imperium Jacksona poniosło z tego tytułu wielkie straty, bo liczba emisji radiowych jego utworów mocno spadła.

PRZYGNEBIAJĄCE FAKTY

Każdy ma prawo do uczciwego procesu, a wątpliwości świadczą na korzyść oskarżonego. Trudno jednak przejść obojętnie zarówno nad filmem HBO, jak i smutnym podsumowaniem, którego dokonała na łamach „Vanity Fair” Maureen Orth, autorka od lat analizująca zarzuty wobec Michaela Jacksona. Przy okazji premiery „Leaving Neverland” ułożyła listę 10 faktów, z którymi ciężko dyskutować.

– Modliłem się o przyjaciela i poznałem Jimmy’ego.

Oglądamy dalej. Przez mniej więcej 40 minut bajka trwa. Oto domek na przedmieściach, potajemnie odwiedzany przez megagwiazdę pop. A to wspólne spacerowanie po zmroku, żeby reporterzy nie widzieli. Wycieczki na Hawaje. Nie tylko dla małego: dla całej rodziny. Delfiny, parki rozrywki. Wyznanie: „Mam nadzieję, że będziemy przyjaciółmi na zawsze”.

POTEM BAJKA ZAMIENTA SIĘ W KOSZMAR

Idolem z obydwu bajkowych opowieści jest Michael Jackson, gwiazda muzyki formatu tak wielkiego, że brakuje skali. Chłopcy, o których wyżej wspominałem, to Wade Robson i James Safechuck, główni bohaterowie czterogodzinnego filmu dokumentalnego HBO „Leaving

■ Nie ulega wątpliwości, że Jackson zwykł spać w jednym łóżku z nieletnimi. Że dzieci spędzały niejedną noc z dala od rodziców, tylko z gwiazdorem. Że korytarze prowadzące do jego sypialni były specjalnie zabezpieczone i miały podgląd z kamer, a system dzwonek ostrzegał, kiedy ktoś się zbliżał. Że część zbiorów pornografii Jacksona była na widoku w jego sypialni, więc spędzające tam noce dzieci bez wątpienia miały z nią kontakt. Że nikt z pracowników posiadłości Neverland nigdy nie widział Jacksona spędzającego noc z kobietą – w tym z jedną z jego dwóch żon (Lisa Marie Presley i Debbie Rowe). Ta ostatnia, która urodziła Jacksonowi dwoje dzieci, zeznała, że nigdy nie uprawiała z nim seksu. Że rodzice dzieci, którymi szczególnie interesował się Michael, otrzymywali niezliczone i bardzo kosztowne prezenty. Na przykład rodzice Jamesa Safechucka dostali dom, on sam – bardzo drogą biżuterię. Że w dokumentalnym filmie „Living with Michael Jackson” gwiazdor powiedział, że nie ma nic zdrożnego w sypianiu z dziećmi. Że jeden z chłopców oskarżających wokalistę o molestowanie narysował znamię, które znajduje się na penisie Jacksona, i wręczył rysunek w zamkniętej kopercie władzom. Kilka miesięcy później w toku śledztwa ustalono, że rzeczywiście takiego kształtu odbarwienie skóry znajduje się na genitaliach Jacksona.

Że dwóch ojców dzieci oskarżających Jacksona popełniło samobójstwo.

Można uważać „Leaving Neverland” za kolejny bardzo skomplikowany spiszek, którego celem jest zniszczenie wizerunku Jacksona, ale w świetle powyższego wyliczenia wyznania bohaterów filmu brzmią szczególnie wstrząsająco. – W Paryżu nauczył mnie masturbacji. Od tego się zaczęło – mówi jeden z nich. Miał wtedy siedem lat. Autorzy dokumentu HBO zarejestrowali i wyemitowali daleko bardziej szokujące wyznania. Ich lista jest zbyt obrzydliwa, by ją tu przytaczać.

Zresztą: w jakim celu nagle, po latach (a nawet dekadach) obaj – Rowe i Safechuck – mieliby kłamać? Dla zysku? Gwiazdor nie żyje, jeśli jakieś pieniądze miałyby zmienić właściciela, to raczej w drugą stronę, bo spadkobiercy Jacksona już wystąpili z gigantycznymi roszczeniami wobec HBO za zniesławienie. Dla sławy? Obaj mają dziś własne rodziny, własne dzieci. Czy to jest rodzaj rozgłosu, jaki ktokolwiek chciałby zapewnić swojej rodzinie? Końcowe partie filmu Reeda są



wyjątkowo smutne, choć nie ma już w nich drastycznych szczegółów ani szokujących nowości. To ten fragment, w którym zaczynamy rozumieć, jak ukrywane przez lata tajemnice niszczyły od środka bohaterów filmu „Leaving Neverland”, jak wyparcie, zaprzeczenie, wieloletnia publiczna obrona kłamstwa nie pozwalały im przejść kolejnych etapów uzdrowienia.

Im bliżej końca „Leaving Neverland”, tym wyraźniej można dostrzec, że to nie tylko film o pedofilu i jego ofiarach. Partie, w których widzimy autentyczną wściekłość, ba, nienawiść fanów Jacksona wobec oskarżających idola chłopców, przypominają, że granice między podziwem dla idola a niezdrowym kultem zostały przekroczone. Pytania, które sami zadają sobie po latach rodzice Wade’a i Jamesa: Jak mogliśmy być tak nieostrożni? Jak to się stało, że blask gwiazdy tak nas oślepił? Czy jakkolwiek zdrowo myślący rodzic zgodziłby się na prośbę obcego dorosłego mężczyzny: „Pozwól swemu synowi spać dziś ze mną”? Poprawka: ciąg dalszy powinien brzmieć: „Gdyby nie był nim Michael Jackson?”.

ILE WOLNO BOGATYM

Nawet jeśli nie wszystko w „Leaving Neverland” jest prawdą (obawiam się

jednak, że jest), to w samym centrum tej opowieści stoi też pytanie o naturę relacji między bogatymi a biednymi. Ile musisz mieć pieniędzy, żeby wszystko uchodziło ci na sucho? Kiedy oglądałem ten dokument, przypominały mi się natychmiast wszystkie te smutno kpiące formułki z kart czarnych kryminalów. O tym, że są ludzie tak bogaci, iż mają dla siebie specjalną porę roku. Że prawdziwi bogacze to już inny gatunek ludzi, uważający, że żadne prawa i normy obowiązujące zwykłych ludzi ich już nie dotyczą. Tak, „Leaving Neverland” pokazuje, co mogą ci, którzy mają wpływy, fortunę i sławę. Że podwójnie bezkarni są wtedy, gdy ukryją się za tarczą powszechnej miłości. Tej prawdzie zaprzeczyć nie można, nawet gdyby się okazało, że ktoś wiarygodnie zaprzeczy części zarzutów Rowe’a i Safechucka.

Potem przypominałem sobie, przez ile lat wszystko uchodziło na sucho Harveyowi Weinsteinowi, filmowemu magnatowi, którego praktyki ujawniono dopiero niedawno. Przypominałem sobie, od ilu lat ciągną się oskarżenia za reżyserem Bryanem Singerem: molestowanie, homoseksualne orgie z udziałem nieletnich. Być może ta ostatnia sprawa skończy się wreszcie sądem i wyrokami, dobrym początkiem było odsunięcie Singera od ukończenia filmu „Bohemian Rhapsody”, choć z powodu obwarowań kontraktowych usunąć jego nazwiska z czołówki już nie można było. A na koniec przypominałem sobie, jak wielu na świecie jest ludzi o wpływach i pieniądzach wiele – co prawda – mniejszych od Jacksona, ale nie mniejszych od Weinsteina. Co zatem jeszcze kryje się po drugiej stronie lustra? Czego nigdy się nie dowiemy?

Aż wreszcie, dzień czy dwa po obejrzeniu „Leaving Neverland” spróbowałem obejrzeć kilka teledysków Michaela Jacksona. Nie wytrzymałem nawet minuty. I nie wiem, czy kiedyś wytrzymam.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



REŻ. DAN REED
„LEAVING NEVERLAND”
USA 2019,
DYSTR. HBO,
FILM DOSTĘPNY
NA HBOGO.PL

Wydaną przez PIW „Prozę” otwiera jej „Bajeczna opowieść o królewiczu

La-Fi-Czaniu, o żołnierzu Soju i dziewczynce Kio”. Baśń o utracie i odnajdowaniu radości życia, o rewolucji i zmianie, która wywraca wszystko na nice, i o tym, jak wrócić do starego porządku. Iłakowiczówna pisała tę baśniową opowieść zimą z 1917 na 1918 r. w willi Plater-Zyberków pod Petersburgiem, w której to willi znaleźli schronienie ludzie uciekający przed rewolucją bolszewicką. Każdego dnia mogli spodziewać się najgorszego, więc baśń pisana w odcinkach i odczytywana codziennie pełniła i dla samej autorki, i dla słuchaczy funkcję niejako terapeutyczną.

W opowieści wygrywają dobro i królewicz, któremu zależy na losie państwa, a nie na samej władzy. Bardzo pomysłowo przedstawiła Iłakowiczówna walkę dwóch porządków, ubierając wrogie sobie siły w kostium zwolenników Kuchmistrza i Koniuszego. W związku z tym, że wygrali „Kuchmistrzowie”, używanie koni stało się w królestwie Bombonii zakazane, a jednak było konieczne. Ludność musiała nazywać je inaczej: „Toteż konie pracowały wszędzie zapisywane zresztą w rejestrach urzędowych jako woły, kozy, a nawet króliki [...]”.

Iłakowiczówna doskonale zdiagnozowała tutaj mechanizm wprowadzenia niemożliwych do przestrzegania zakazów po to, by warstwa rządząca miała nieustanne i nieopodatkowane źródło dochodu.

W „Prozie” znajdujemy więcej kapitalnych tekstów, choćby wspomnienia Iłakowiczówny z czasów, gdy była sekretarzem ministra spraw wojskowych. Sekretarzem ministra, a nie sekretarką Piłsudskiego, jak czasem pisano.

W „Ścieżce obok drogi” sportretowała postać Józefa Piłsudskiego z okresu, gdy



FOT. ANDRZEJ SZPROWISZ/FAST NEWS

Niezwykły świat Iłły



Anna Popek

Od kiedy trafiła mi w ręce „Proza”, książka zawierająca teksty Kazimierzy Iłakowiczówny, zaczynam coraz bardziej podziwiać tę autorkę

z nim pracowała, czyli z lat 1911–1926. Obraz Marszałka narysowany jest kreską bardzo nieformalną, to szkic spotkań z nim, jego zachowań, zwyczajów, takich jak słynne picie mocnej czarnej herbaty litrami, cech charakteru.

W niemal każdym obrazie przebija dobroć Marszałka jako cecha dominująca jego charakteru – „niestrudzona dobroć i pamięć o najmniej ważnym, o najmniej potrzebnym, ciurze i pachołku”. Wspomnienia i opis swojej pracy w ministerstwie uzupełnia Iłła „Uwagami” – zestawem pożytecznych porad wypracowanych przez siebie na podstawie obserwacji życiowych i przemysłu. Zresztą „Ścieżkę obok drogi” zadeedykowała Iłakowiczówna swoim dwóm nastoletnim wtedy siostrzenicom, a poprzez nie wszystkim młodym ludziom.

Chciała, by poznali Marszałka nie od politycznej, ale

osobistej, ludzkiej strony.

Uwagi zaś miały przydać im się w życiu. Jedna z nich jest znakomita i bardzo à propos, zwłaszcza teraz. „Absolutnie nie da się w życiu być ostrożnym i już dzisiejsze ciotki tego nie zalecają. To można tylko na ma-lusińskim odcinku, w domu, na podwórzu... Wszędzie dalej to już nawet bezpieczniej – być śmiałym”.

Bardzo wzruszający jest kończący „Ścieżkę” opis pogrzebu Marszałka. W momencie śmierci Piłsudskiego jego sekretarz przebywała we Włoszech. Dotarła do Warszawy w przededniu pogrzebu. Z jakichś powodów nie udało się jej dostać przed trumnę, by móc się z nim pożegnać. Zrozpaczona i bezdennie smutna wracała w deszczu piechotą do domu ul. Filtrową.

I wówczas zauważyła, że wzdłuż ulicy, w ciszy, ustawia się szpaler wojska. Okazało

się, że tędy na dworzec miano przewieźć trumnę z Marszałkiem. Poprosiła wyglądające przez okno kobiety, aby pozwoliły jej z mieszkania obserwować przejazd. Pisała: „U dołu, dookoła platformy, pod deszczem, cisnął się tłum ludzi. [...] Ci, których nigdzie nie przepuszczono, ci, którzy się przedarli przez wszystkie kordony i których już nikt nie myślał odpędzać, chociaż nie mieli żadnych biletów, żadnych przywilejów ani żadnych oficjalnych obowiązków, a może nawet żadnych zasług. I tam, pomiędzy tymi niezasłużonymi a panem Marszałkiem, wśród rąk trzymających się trumny, pozostało moje serce...”.

Proza Iłakowiczówny wśród baśni i wspomnień zawodowych zawiera jeszcze jedną cenną warstwę – wspomnienia dzieciństwa i przepiękne opisy Inflant, w których się wychowywała poetka. Opisuje też swoje relacje z przyszywaną mamą – Zofią Buyno z Plater-Zyberków, która ją adoptowała po przedwczesnej śmierci rodziców.

Opis ich relacji – najpierw lekko nieufnych, potem serdecznych i wreszcie pełnych głębokiej, szczerej miłości. Opis uczuciowy, piękny, poruszający, w którym każdy z nas może odnaleźć ślad czy wręcz zapis swoich relacji z rodzicami.

I nieustannie zaskakujące piękno języka. Iłakowiczówna posługuje się wytrawnie językiem polskim być może również dlatego, że biegle знаła cztery języki obce – francuski, niemiecki, angielski i rosyjski.

Jej długie 95-letnie życie przepojone było wiarą w ludzi, pracą i romantycznym zachwytem nad światem. Po wojnie na krótko mieszkała w Warszawie, a potem w „Poznaniu na wygnaniu” – jak pisała. Spoczęła na warszawskich Powązkach.

Jej poezja i proza to lektura o tyle fascynująca, co obowiązkowa. ©©

Co tworzy tożsamość



Maciej Urbanowski

Dlaczego jury nagrody Identitas uznało, że „Nad Zbruczem” Wiesława Helaka to najlepsza polska książka roku 2018?



Wymienię tylko kilka powodów przyznania nagrody. Wiesław Helak znakomicie i oryginalnie, a przy tym świadomie kontynuuje ważny w prozie polskiej nurt kresowy. Sygnalizuje to już tytuł, w którym od razu słychać aluzje do „Nad Niemnem” Orzeszkowej, a także do „Nadberezyńców” Czarnyszewicza. Równocześnie „Nad Zbruczem” wypełnia białą plamę w naszej literaturze, przypominając o ziemiaństwie, jego zasługach dla trwania polskości na ziemiach wschodnich, jego roli cywilizacyjnej, ofierze, jaką poniósł za swój heroiczny opór wobec nadchodzącej z Rosji bolszewickiej pożogi, i za wierność tradycji przodków. Tradycji ośmieszanej, wyszydzanej, w końcu likwidowanej ogniem, mieczem, kolbami sowieckich karabinów.

Helak stworzył tym samym rodzaj ciągu dalszego „Nie-Boskiej komedii” – opowiedział nam, jak w XX w. spełniło się gorzkie proroctwo Krasieńskiego i jak ulegało zagładzie ziemiaństwo broniące Okopów Świętej Trójcy, które w powieści Helaka nie są bynajmniej symbolem. W tym sensie jest „Nad Zbruczem” jednocześnie elegią żałobną i hymnem pochwalnym. Po lekturze tej książki nikt

chyba nie powtórzy szyderczych słów Brzozowskiego o żyjątkach bytujących w limburskim serze...

O tych ważnych dla nas, czasem zapomnianych, czasem nieznanych sprawach Wiesław Helak opowiedział w sposób literacko znakomity. Arcydzieło do kwadratu – zachwycał się nie bez racji jakiś czas temu Krzysztof Masłoń. Nic dziwnego, bo przepiękny jest język „Nad Zbruczem”, pełen dyskretnych archaizmów, czasem stylizowany na prozę biblijną, a zarazem zmysłowy, skupiony na konkrety, jakby malarski w opisie ludzi i rzeczy, np. „razowego chleba z miodem i serem podanego na starej napoleońskiej porcelanie z wielką literą wodza na obrzeżu i orłem, koroną i pszczołami pośrodku”. Znakomite są portrety głównych bohaterów, trzech Konstantych, dziadka, ojca i syna, a także kobiet, Żańci, żony Konstantego Franciszka, jego ukochanej Anastazji, no i postaci drugiego planu, np. stangreta Iwaszki. Wielkiej urody są sceny dworskich zabaw i świąt, sugestywne sceny na dworze wiedeńskim, świetny, filmowy jakby opis bitwy pod Kostiuchnówką. W pamięci zostaje wstrząsający obraz umierających koni, porzuconych przez wycofujących się bolszewików w czasie wojny 1920 r. Trzeba też pochwalić mistrzowską

kompozycję „Nad Zbruczem”, o której to kompozycji chciałoby się powiedzieć, cytując ulubioną maksymę nestora rodu Konstantych: „harmonia i siła”.

W kontekście nagrody Identitas warto podkreślić subtelność, z jaką Helak stawia w swej powieści pytania o tożsamość. Stawia je on, a raczej główny bohater „Nad Zbruczem”, Konstanty Franciszek. Dla jego ojca tożsamość nie jest problematyczna, nie jest dlań ani ciężarem, ani kłopotem. Konstanty ojciec wie, kim jest. Czuje się mocno osadzony w swej roli Polaka, powstańca styczniowego, ziemianina, strażnika dziedzictwa przodków, obrońcy granicy nad Zbruczem, dzielącej Zachód od Wschodu, ludzi kultury wychowanych od barbarzyńców. Dla niego przeszłość jest skarbem, a „brak szacunku dla więzów krwi to brak szacunku dla własnego życia”. Podobnie z reprezentującym najmłodsze pokolenie Konstantym Michałem, który niemalże od razu akceptuje swą tożsamość i wynikające z niej obowiązki.

Inaczej jest z urodzonym w 1870 r. synem, Konstantym Franciszkiem, artystą, podróżnikiem, człowiekiem nowoczesnym, Europejczykiem. Dla niego tożsamość ojca jest ciężarem, którego chciałby się pozbyć. Nudzi go ona, śmieszy, a nawet dusi jak zakurzone,



Wiesław Helak odbierający
nagrodę Identitas FOT. WWW.IDENTITAS.PL

Nagroda Identitas

Nagroda Identitas przyznawana jest od 2014 r. najlepszej książce z obszaru szeroko rozumianej humanistyki. Od początku patronat medialny nad wyróżnieniem ma tygodnik „Do Rzeczy”. W jury nagrody zasiadają dziś Renata Chołuj, Maciej Urbanowski, redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki i publicysta tygodnika Krzysztof Masłoń. Do tej pory laureatami Identitas zostali m.in.: Jarosław Marek Rymkiewicz, Bogdan Podgórski, Jan Polkowski, prof. Ryszard Kaczmarek, Marta Kwaśnicka, Daniel Mikulski, Beata Halicka, Krzysztof Koehler, Maciej Pieprzyca, Anna Janko, Agnieszka Kołakowska, Natalia Jarska, Stanisław Waltoś, Kazimierz Orłoś, Mariusz Urbanek i Przemysław Dakowicz. W edycji 2018 jury nagrodziło książkę „Nad Zbruczem” Wiesława Helaka oraz poezję Dawida Junga „Głosy”.

staromodne stroje sąsiadów bawiących się w dworze Konstantych w czasie karnawału. Cytuję: „W czerwonym kontuszu, przepasany słuckim pasem pradziadka, powtarzał sobie jak we śnie: to nie jestem ja”. I doda gdzieś Kostek: „Jestem jednym z nich, a przecież nie jestem”.

Nęci go natomiast modny Wiedeń, gdzie będzie szambelanem, budzącym podziw sztuką tańca i ujeżdżania koni. Dewizą Konstantego jest: „Być z mocnymi – i nigdy ze słabymi”. Gdy przebywający na austro-węgierskim dworze car Rosji zapyta go, czy jest Polakiem, ten odpowie spłoszony, że nie, nie jest nim, jakby wypierając się swego pochodzenia. Potem będzie wspominał tę odpowiedź ze wstydem... Bo Helak pokazuje, jak Konstanty będzie – powoli – godził się z ojcem, ze swym dziedzictwem, jak będzie wchodził w te role: strażnika tradycji, obrońcy cywilizacji, Polaka, chrześcijanina, ojca i męża.

Co zdecyduje o tym, że nie zostanie nowoczesnym człowiekiem wykorzystanym, człowiekiem bez właściwości? Że nie możemy przypisać Konstantemu słów, jakie powiedział pewien XX-wieczny pisarz angielski: „Nasza tożsamość to zaledwie przypadkowy zlepek w strumieniu naszego czasu”?

Myślę, że decydująca jest inność wrażliwości, o której opowiada Wiesław Helak. Inność doświadczenia polskiego i zarazem XX-wiecznego. Ona uświadomi mu, kim jest – wbrew jakby jemu samemu. Tę inność zrozumie Konstanty, gdy go odrzuca „Europejczycy” z wiedeńskiego dworu. Ważne okażą się kultura, wielka sztuka, płótno Mantegni na przykład, gdzie bluźnierca trzyma za rękę Chrystusa w agonii. To wtedy Konstanty zrozumie, że jest chrześcijaninem. Jeszcze chyba ważniejsza w kształtowaniu się tożsamości bohatera „Nad Zbruczem” będzie historia. Gdy zobaczy on carskich policjantów w zdobytym przez Rosjan Lwowie, zrozumie – wreszcie! – że „są obcy”. Po bitwie pod Kostiuchnowką pierwszy raz poczuje też, że „gdzieś przynależy”. Z narażeniem życia ochroni też czarne szable husarskie, rodzinny skarb, którego wartość nagle sobie uświadomi. Bo i takie rzeczy tworzą naszą tożsamość...

No i miłość, do której będzie jakby dojrzał i która mu uświadomi, kim jest. Miłość do rodziny. Miłość do Anastazji, mądrej, religijnej „siłaczki”, która powie Konstantemu słowa, z którymi będzie się mierzył przez całe życie, cytuję – niedokładnie – „każdy ma swoje wyznaczone przez Boga miejsce raz na zawsze, jak

skrzypek, wiolonczela czy bas w orkiestrze, i każdy gra to, co mu przeznaczone... Inaczej nie byłoby melodii i wszystko uległoby zniszczeniu, nie byłoby przeszłości i przyszłości, a czas obecny stałby się bezrozumnym chaosem”.

Jednak „Nad Zbruczem” nie ma łatwego przesłania. Nie kończy się happy endem. Konstanty do końca będzie sobie zadawał pytania: „jaka racja”, jaką rolę wyznaczył mu Bóg... Będzie pytał i zarazem będzie – niczym bohaterowie Conrada – wypełniał swe zadanie „ostatniego strażnika”. Do końca, ale też, chciałoby się zacytować wielkiego poetę, „bez kropli nadziei w sercu”. Gdy pożegna się ostatecznie z prochami swoich przodków – uświadomi sobie, że „każdy ma swoje koleje losu, zazwyczaj proste” i że każdy ma „jeden lub kilka zaledwie momentów ważnych, decyzje dobre lub złe i już kończy się życie”. W tych ważnych momentach odkrywamy naszą „identitas”. A może raczej: w nich ją kształtujemy, nie chcąc, by była przypadkowym zlepkim w czasie.

Bardzo to wszystko prawdziwe. I mimo że powieść opowiada o latach 1890–1939, bardzo aktualne. Pewnie dlatego tak bardzo podobała nam się powieść Wiesława Helaka.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

W czarnej trumnie biały trup



★★★★★

REŻ. BORYS
LANKOSZ
„CIEMNO,
PRAWIE NOC”
POLSKA 2019

wyst. Magdalena
Cielecka, Jerzy
Trela, Piotr
Fronczewski

Po serialu „Ślepnąc od światła” otrzymaliśmy kolejny dowód, że piekło istnieje, zaś diabeł mówi po polsku. Borys Lankosz przeniósł na ekran udziwnioną powieść Joanny Bator „Ciemno, prawie noc”.

Alicja wraca w rodzinne strony, by napisać reportaż o zaginionych dzieciach. Dziennikarskie śledztwo wydobywa na jaw prawdę, do której tępe policyjne umysły nijak dobrać nie umiały. Koncept średnio oryginalny – żeby zostać laureatką nagrody Nike, trzeba się bardziej postarać. Pisarka wzbogaciła więc intrygę o treści historyczne, pedofilskie, kazirodczne i metafizyczne. Któż nie słyszał o siedmiometrowym naszyjniku z pereł, w którym kazała się pochować księżna Daisy von Pless, i tajemniczych korytarzach, wykutych w sudeckich

skałach? Brakuje tylko złotego pociągu, być może dlatego, że ta legenda została odgrzana dopiero trzy lata po ukazaniu się książki.

Lankosz zrezygnował z niektórych pomysłów pani Joanny (wypaść m.in. wątek zamieszek wywołanych przez zidiociałych katolików fanatyków), lecz stylistyczne rozchwianie nadal rzuca się w oczy. Film awizowano jako dreszczowiec, posępny niczym noc listopadowa. Producent upiera się, że jest to baśń dla dorosłych. Od sennego koszmara do skrzeczącego realizmu, od horroru do groteski – autor zdjęć Marcin Koszałka poradził sobie z godzeniem tych sprzeczności, lecz niektórzy aktorzy sprawiają wrażenie zagonionych albo (jak eksponowany na plakacie Marcin Dorociński) nie mają zgoła nic do zagrania.

Film utrwała obraz Wałbrzych jako miasta bezpowrotnie upadłego, „zarażonego śmiercią”. W zdegradowanej rzeczywistości lęgną się patologie. Alicja w duchu zapewne gratuluje sobie decyzji o przeprowadzce do Warszawy. Korzenie zła sięgają czasów wojny. Gwałciciele z Armii Czerwonej, handlarze żywym towarem to przedstawiciele plemienia „kotojadów”. Po dobrej stronie mocy znajdują się zdziwaczale „kociary”.

„Ciemno, prawie noc” aspirowało do miana nowoczesnej powieści gotyckiej. Spora grupa czytelników uznała tę próbę za udaną. Filmowej wersji trudno wróżyć zbliżony sukces, albowiem jest wydumana i nierówna. Ekran, jak to zwykle bywa, wyolbrzymił wady oryginału. Syzyfowe wysiłki reżysera budzą współczucie, lecz takich Syzyfów mamy w Polsce na pęczki – nie tylko w branży kulturalnej.

Infernalny Wałbrzych duetu Bator-Lankosz jest rewersem rajskiej (choć zbrukanej przez człowieka) Kotliny Kłodzkiej z „Pokotu” Agnieszki Holland, inspirowanej prozą Olgi Tokarczuk. Proces oswajania tzw. Ziemi Odzyskanych przez polskie kino i literaturę trwa. I tym optymistycznym akcentem zakończę. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ZŁODZIEJASKI”

Złota Palma w Cannes 2018, nowy film autora filmów „Jak ojciec i syn” czy „Po burzy”. Liryczny, ale niepozbawiony czarnego humoru obrazek z życia rodziny egzystującej poza nawiasem prawa i stworzonej w nietypowy sposób, bo niekoniecznie więzy krwi muszą okazać się najważniejsze. Także jeden

z tytułów nominowanych w tym roku do Oscara w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny. ©© **Piotr Gocięk**

• „Złodziejaski” („Manbiki Kazoku”), reż. Hirokazu Koreeda, wyst. Lily Franky, Sakura Andō, Kirin Kiki, Japonia 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „To my”, reż. Jordan Peele, USA 2019
- „Ciemno, prawie noc”, reż. Borys Lankosz, Polska 2019
- „Girl”, reż. Lukas Dhont, Belgia 2018
- „Kapitan”, reż. Robert Schwentke, Niemcy 2017
- „Oddech”, reż. Simon Baker, Australia 2017

Kurier z Illinois

Każdy chciałby odchodzić w takim stylu, lecz mało komu się udaje. Earl Stone, podstarzały ogrodnik i lowelas, bankrutuje, ponieważ zlekceważył nadzieje ery Internetu. Nie myśli jednak o kapitulacji. Co prawda zawiodł jako mąż i ojciec, ale może jeszcze zostać wzorowym dziadkiem.

Kłopoty finansowe miną, jak ręką odjął, gdy swym pick-upem zacznie szmuglować kokainę. Dla Narcos sędziwy kurier to skarb: w swym długim życiu Earl przejechał 41 stanów i nie złapał nawet jednego mandatu. Lubi zbaczać z trasy, więc policja i służby specjalne mają małe szanse, by go namierzyć. Zresztą nawet najbardziej podejrziwemu szeryfowi nie przyjdzie do głowy, że weteran

wojny koreańskiej mógłby pracować dla meksykańskiego kartelu.

Zawodnicy wagi superciężkiej rzadko sprawdzają się jako klauni. Kto widział „Różowego cadillaca” i „Żółtodzioba”, wie, co mam na myśli. Tymczasem „Przemytnik”, który – formal-



★★★★★

REŻ. CLINT EASTWOOD
„PRZEMYTNIK”
(„THE MULE”)
USA 2019

wyst. Clint Eastwood, Bradley Cooper, Dianne Wiest

nie rzecz biorąc – komedią nie jest, może rozbawić nawet ponuraka. Eastwood żegna się z kinem w lepszym stylu niż Redford, który za bardzo chce się wszystkim podobać. Jego starszy kolega wręcz przeciwnie, zdaje się mówić: „OK, jestem dinozaurem, seksistą, nie potrafię ugryźć się w język. I co mi zrobicie?”. Sentymalna końcówka trochę psuje efekt, ale takiego Clint’a chcemy zapamiętać. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „FAR CRY: NEW DAWN”

Odgrywanie kotletów stało się u producentów gier czymś w rodzaju całorocznej tradycji. Kolejne części starych hitów niewiele różnią się od pierwowzorów, ocierając się o autoplagiat. Właśnie czymś pomiędzy zaserwowaniem tego samego dania a pełnoprawną

kontynuacją jest strzelanka „Far Cry: New Dawn”, dziejąca się fabularnie chwilę po akcji znanej z „Far Cry 5”. Tym razem trafiamy do postapokaliptycznej wersji stanu Montana, w którym rządzą dwie bezwzględne czarnoskóre bliźniaczki. Wszystko utrzymane jest w dziwnej, lawen-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dworóżowej stylistyce pastiszu gatunku. Produkcja solidna, ale bez zaskoczeń. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** FPS
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Ubisoft
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

PRAWO I PIĘŚĆ

Reaktywacja Jeana-Claude’a Van Damme’a w nowym wcieleniu. Gwiazdor kasowych mordobić z lat 80. i 90. przeszedł już etap obśmiewania własnego wizerunku sprzed lat (sympatyczny serial komediowy „Jean-Claude Van Johnson”) i szuka sposobu na kinową emeryturę z nowym empli. W „Gotowym na wszystko” gra starzejącego się ochroniarza z nocnych klubów samotnie wychowującego ośmioletnią córkę. Historia jest przewidywalna: Lukas (Van Damme), by ocalić rodzinę, będzie musiał manewrować między policją, która zmusza go do współpracy, a bardzo niebezpiecznymi ludźmi, którzy są jego chlebowcami. Mocny ton filmu mocno odbiega od komiksowego kina akcji, z którego Van Damme słynął przed laty, ale weteran daje radę, choć jego postarzala twarz nie jest najlepszym narzędziem aktorskiej finezji. Przy lepszym scenariuszu mógłby z tego wyjść porywający kawał european noir. Może następnym razem, teraz wypada tylko odnotować ciekawostkę.



★★★★★

REŻ. JULIEN LECLERCQ
„GOTOWY NA WSZYSTKO”
FRANCJA/ BELGIA 2018,
MONOLITH

wyst. Jean-Claude Van Damme, Sami Bouajila, Sveva Alviti

GWAŁT NA ROBINIE

Robin Hood pokornym uczniem arabskiego imigranta, który uświadamia mu, co to tolerancja? Anglia jako dyktatura kościelna? Szeryf z Nottingham stylizowany na skrzyżowanie Trumpa z nazistami? Krucjaty pokazane tak jak wojna w Iraku? Niestety, to prawda, w dodatku świat przedstawiony mimo wizualnego bogactwa robi wrażenie raczej scenografii do ekranizacji połączenia postapokaliptycznej powiastki young adult z fantasy. Otto Bathurst skrzywdził swym filmem legendę o Robin Hoodzie mniej więcej w tym samym stopniu jak niedawno Guy Ritchie opowiedział o królu Arturze w „Legendzie miecza”. Kino efektowne, puste, nudne, z przerośniętymi osłkami o mózgiach niedouczonech nastolatków zamiast bohaterów. Widzowie nie są na szczęście tacy głupi, nie dali się nabrać: obydwie filmy okazały się finansową katastrofą. „Robin Hood” większą, zresztą w pełni zasłużenie. ©©



★★★★★

REŻ. OTTO BATHURST
„ROBIN HOOD: POCZĄTEK”
USA 2018,
MONOLITH

wyst. Taron Egerton, Jamie Foxx, Ben Mendelsohn

recenzuje Piotr Gociek

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Historia, której nie było

Nie należę do zwolenników alternatywnych historii, w które pisarze wplatają losy swych bohaterów i snują niewiarygodne opowieści z zapalem godnym stanowczo lepszej sprawy. Z większym zainteresowaniem śledzę poczynania publicystów, którzy na tradycyjne pytanie: „Co by było, gdyby...?” udzielają niekiedy całkiem sensownych, a na pewno interesujących odpowiedzi. Co dopiero zaś, kiedy do zawracania zwrotnicy dziejów zabiera się zawodowy historyk! A właśnie taką „zawróconą” historię naszego kraju przedstawia prof. Andrzej Chwalba w rozmowie ze znanym redaktorem, politologiem i pasjonatem historii, Wojciechem Harpula.

I o to nie mam najmniejszych pretensji. Widocznie odpowiadają mi – wyszczególnione we wstępie książki – warunki, które powinna spełniać taka alternatywna publikacja. Autorzy przypominają, że w latach 80. zeszłego wieku niemiecki profesor Alexander Demandt w „Historii niebyłej” orzekł, że pytanie „Co by się mogło zdarzyć?” należy zadawać, opierając się – cytuję – „na racjonalnych podstawach, a uzyskane odpowiedzi powinny być symulacją zdarzeń możliwych, najbardziej prawdopodobnymi wariantami tego, co mogłoby się stać. Nie należy powoływać do życia fikcji, lecz operować postaciami, zdarzeniami i procesami historycznymi wedle ustalonych i akceptowalnych naukowo reguł, tyle tylko, że w sposób nieco inny niż ten, którego się używa w stosunku do tego, co wydarzyło się faktycznie”.

Naturalnie prof. Chwalba założenia te przyjął jako drogowskazy w swojej wędrówce przez dzieje Polski, podczas której czyni postoje w miejscach szczególnych. W których? Przystanek pierwszy: rozbiście dzielnicowe, którego nie ma; Bolesław Krzywousty nie dzieli



Andrzej Chwalba

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM



Wojciech Harpula

FOT. PIOTR BŁAWICKI/DO TVN/EAST NEWS

państwa między synów, Piastowie podbijają Prusy, a Konrad Mazowiecki nie sprowadza Krzyżaków. Przystanek drugi: nie ma Unii z Litwą, a królem zostaje Ziemowit I, czyli książę mazowiecki Ziemowit IV Piast. Jak by się sprawił w miejscu Jagiełły? Odsyłam do książki, w której w trakcie lektury dochodzimy do przystanku trzeciego, kiedy to Zygmunt Stary niszczy zakon krzyżacki i włącza Prusy Zakonne do Korony; państwo pruskie nie powstaje. Czwarty postój mamy niebawem, bo oto Zygmunt August realizuje uchwały sejmowe z 1555 r., powstaje Polski Kościół Narodowy, a katolicyzm w naszym kraju znajduje się w głębokim odwrocie. Na przystanku piątym kanclerz nie ścina Samuela Zborowskiego i Jan Zamoyski zostaje królem Rzeczypospolitej. W trakcie naszego postoju numer sześć cesarz Maksymilian III lub arcyksiążę Maksymilian III obejmują władzę w RP, a Polska i Litwa stają się częścią czegoś, co można by nazwać Habsburską Unią Europejską. I wreszcie ostatni siódmy postój, w końcu osiemnastego stulecia. Oto okazuje się, że nie uchwalono Konstytucji 3 maja i... tak, to nie pomyłka, nie było rozbiorów.

I oto pada pytanie: „Czy uchwalenie Konstytucji 3 maja zgubiło Rzeczpospolitą?”, bo przecież „ostatecznie Polskę uśmierciła nie anarchia, ale gorączka reformatorska, która zaowocowała uchwaleniem konstytucji”. I co począć, skoro

tak właśnie było? „Gdyby 3 maja 1791 roku nie uchwalono konstytucji, Rosja nie miałaby powodu, by wkroczyć zbrojnie do Polski i nie doszłoby do drugiego rozbioru. Nie wybuchłoby powstanie kościuszkowskie, które doprowadziło do wymazania Rzeczypospolitej z mapy Europy. Te wydarzenia stanowią niepodzielną całość. Konstytucja była kamieniem, który spowodował lawinę”.

Zaraz też pada następne pytanie: „Czy prawdziwi mężowie stanu uchwaliliby konstytucję?” – Z tego dokumentu – odpowiada prof. Chwalba – powinniśmy być dumni. Świadczył o naszym patriotyzmie, woli naprawy państwa i ambitnej wizji reformatorskiej. Niemniej na postawione przez pana pytanie odpowiedź musi brzmieć: nie. Mężowie stanu, racjonalni politycy z krwi i kości, zatrzymaliby się w kwietniu 1791 r. Krok po kroku kontynuowałiby reformy, powiększaliby armię. Trzymaliby w zanadrzu gotowy dokument wprowadzający nowy ład ustrojowy w państwie i czekali na dogodny moment, by wcielić go w życie”.

Ciekawa to i warta polecenia książka, przy czym pamiętać trzeba, że – jak twierdzą autorzy – „podczas wyboru »zwrotnic«, jak i konstruowania alternatyw, nie interesowały nas zdarzenia wysoce nieprawdopodobne, nieuwzględniające realnego kontekstu historycznego lub epizodyczne”. A zatem naprawdę jest się o co spierać! ©



★★★★★

ANDRZEJ
CHWAŁBA,
WOJCIECH
HARPULA
„ZWROTNICE
DZIEJÓW.
ALTERNATYWNE
HISTORIE POLSKI”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Jak się kłócić

Wszyscy znają Umberto Eco, ale Claudio Magrisa mało kto, co przypomina nam, jak często nie talent, lecz tzw. medialność dokonają decyzje o losach pisarza. Nie umniejszam tu postaci autora „Imienia róży”, ten błyskotliwy erudyta jest jednym z najlepszych towarów eksportowych współczesnej Italii, ale Magris jest pisarzem nie gorszym, tyle że po prostu innym.

Powyższe porównanie (no dobra, jojczenie) przyszło mi do głowy podczas lektury „Migawek” Magrisa, zbioru krótkich form literacko-publicystycznych, które jako żywo przypominały mi „Zapiski na pudełku od zapałek” Eco, wydawane z powodzeniem i u nas, szeroko czytane oraz komentowane. Magris, akademik i gawędziarz z Triestu, też w swoich miniaturach mierzy się ze sprawami aktualnymi, czyni to jednak moim zdaniem mądrzej i głębiej. Czy to jeszcze publicystyka, czy już literatura? Jednak to pierwsze, choć Magris zaciera w swym pisaniu granice między esejem, prozą, poezją, wspomnieniami. Na pewno podczas gdy Eco jest bardziej uznanym naukowcem i cenionym erudyta, Magris bywa odrobinę bardziej zasadniczy, na co warto zwrócić uwagę.

Może być to w walce o normalność sojusznik niechętny, bo on nigdy do obozu

„konserwy” by się pewnie nie zapisał. Autor znany polskiemu czytelnikowi z „Zeszytów Literackich” w jednym miejscu zresztą określa używanie przez nacjonalistów słowa „ojczyzna” „właściwym słowem w niewłaściwych ustach”. Obok jednak tak samo protestuje przeciw „nadużywaniu słowa odmienność na pewnych marszach”, a w innym tekście bezlitośnie rozprawia się z idiotami, którym przyszło do głowy cenzurować baśnie Andersena ze względu na ich chrześcijańskie przesłanie. W jednym miejscu mocno krytykuje tych, którzy lekką ręką w imię „racjonalności” domagają się zniszczenia zamrożonych, a osieroconych ludzkich zarodków; w innym bardzo przewrotnie wskazuje ofiary dyskusji o związkach partnerskich.

Nie zgadzam się z Magrisem w wielu kwestiach, choćby tam, gdzie zarzuca Europejczykom w związku z kryzysem migracyjnym „chorobliwą obawę o własną tożsamość, gorączkowe odrzucenie innych, o innej kulturze i innym kolorze skóry” (mówił tak podczas wizyty w Polsce w 2016 r.). Zauważam jednak, że nie żywi pogardy wobec tych, z którymi polemizuje. O ileż mniej jałowa byłaby debata publiczna, gdyby po drugiej stronie sporu było mniej ideologicznych pałkarzy, a więcej zdolnych do refleksji Magrisów. ©©



★★★★★
CLAUDIO MAGRIS
„MIGAWKI”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

A gdyby uznała, że za jej niewdzięczną pracę należy się zamiast nienawiści choć odrobina uznania? Śmierć porzuca swe zajęcie, lud świętuje. Czy słusznie? Powieść portugalskiego noblisty zamieniająca się w esej filozoficzny.



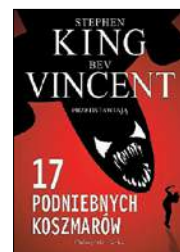
JOSÉ SARAMAGO
„ROŻTERKI
ŚMIERCI”
REBIS

Kolejna znakomita książka autorki „Papierowej rewolucji”. Mocno rozszerzona praca doktorska historyk IPN opisuje działalność antysystemową w Instytucie Badań Literackich w latach 1956–1989 – od uległości do niezależności.



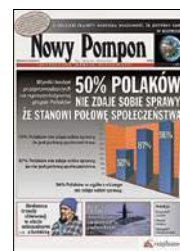
JUSTYNA
BŁAŻEWSKA
„OPOZYCJA
ANTYREŻIMOWA
W IBL PAN”
OW VOLUMEN

Antologia opowiadań grozy wybranych przez Stephen Kinga i Beva Vincenta. Rodzina Kingów (czyli Stephen oraz jego syn piszący pod pseudonimem Joe Hill) dostarczyła premier, reszta to klasika od Bradbury’ego do Dahla.



AUTORZY RÓŻNI
„17 PODNIEBNYCH
KOSZMARÓW”
PRÓSZYŃSKI
MEDIA

Dużo wcześniej, nim pojawił się „ASZdziennik”, był „Nowy Pompon” (m.in. w „Ozonie”), komentujący rzeczywistość przez absurdalne doniesienia niby-prasowe. 140-stronicowy zbiór tych dokonań to kawał dobrej (i śmiesznej) roboty.



AUTORZY RÓŻNI
„NOWY POMPON”
ROZPISANI.PL

©© poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Michelle Obama „Becoming. Moja historia” (Agora)** – autobiografia byłej pierwszej damy, żony Baracka Obamy.
2. **Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz” (Marginesy)** – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.
3. **B.A. Paris „Pozwól mi wrócić” (Albatros)** – nowa powieść autorki thrillerów psychologicznych „Za zamkniętymi drzwiami” oraz „Na skraju załamania”.
4. **Cezary Gutowski, Aldona Marciniak „Niezniszczalny” (Axel Springer)** – po ośmiu latach przerwy Robert Kubica wraca do Formuły 1. Oto jego historia.
5. **Jenny Han „PS Wciąż cię kocham” (Wydawnictwo Young)** – kontynuacja romantycznego bestsellera „Do wszystkich chłopców, których kochałam”.

(Najchętniej kupowane tytuły w salonach Empik od 18 lutego do 3 marca 2019 r.)



FOT. JENISZKO SIEMASZKO/FOTUM

Pan Stasiek i Fryderyk

Chyba tylko brak odpowiedniego instrumentu mógłby powstrzymać Stanisława Grzesiuka przed graniem. Nawet w takim miejscu jak obóz koncentracyjny w Gusen. Wcześniej, na podwórkach okupowanej Warszawy, śpiewał m.in. „Siekiera, motyka” (piosenka szybko zakazana przez Niemców – „w nocy nalot, w dzień łapanka”), przygrywając na bandzoli i mandolinie.

Późniejszy autor „Pięciu lat kacetu” potrafił zdobyć instrument także w obozie. Jeden z osadzonych wykonał dla niego bandzole, wykorzystując pewne elementy (m.in. gryf) zniszczonej mandoliny. Pudło/korpus/rezonator wykonał z siedziska drewnianego krzesła, na które naciągnięto skórę. Ten instrument wykonany w obozowym warsztacie rozbrzmiewał w Gusen aż do nadejścia amerykańskich wyzwolicie-

li, a jego dźwięk, który się podobał i współwięźniom, i oprawcom, być może przyczynił się do przetrwania jego właściciela.

Nie zamienił go później w wolnej Warszawie Grzesiuk na nic lepszego, zdobywając szybko popularność w stolicy i miano „barda Warszawy”. Sam instrument, na którym obok napisu „KL-Gusen 1940–1945” widnieje wizerunek Myszkę Miki, również grającej na bandzoli, stał się

jednym z najbardziej znanych instrumentów muzycznych związanych z Warszawą.

Miejska legenda głosi, że Grzesiuk ostatni raz zagrał na swojej bandzoli dzień przed śmiercią w szpitalnym łóżku.

Jednak instrument nie zamilkł na zawsze. Po kompleksowym odrestaurowaniu bandzola trafiła w ręce muzyka Jana Młynarskiego (prywatnie – syna Wojciecha), a ten z Warszawskim Combo Tanecznym zrobił z niej znakomity użytek, nagrywając płytę „Sto lat panie Staśku!”. Album będący hołdem dla Stanisława Grzesiuka w stulecie jego urodzin.

Płyta, która jest trzecią w dziewięcioletniej historii zespołu, zdobyła niedawno Fryderyka w kategorii folk. Odkurzając przy okazji postać „słoika, który zakręcił Warszawą”, zerkającego na biegających przez Mokotów współczesnych słoików z muralu z napisem: „Stąd jestem!”. ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Cały ten jazz Hutchingsa i w dodatku nadaje się do tańca



★★★★★
THE COMET IS COMING „TRUST IN THE LIFE FORCE OF THE DEEP MYSTERY” IMPULSE!

Shabaka Hutchings, 34-letni londyńczyk, jest najbardziej twórczą postacią dzisiejszego jazzu.

Przewodzi czterem formacjom, w kolejnych czterech bierze aktywny udział, a każda z grup kreuje coś w rodzaju muzyki przyszłości.

Kosmiczny jazz TCIC łączy żywą improwizację z technologicznymi możliwościami współczesnego studia nagraniowego. Trio złożone „tylko” z saksofonu (Shabaka), prostego zestawu perkusyjnego (Max Hallett)

i analogowych syntezatorów (Dan Leavers) tworzy muzykę, w której rozbrzmiewają najbardziej nowatorskie kierunki muzyczne ostatniego półwiecza. Instrumentaliści natchnieni duchem Sun Ra płynnie łączą afrojazz, dub, acid house, psychodelię i galaktyczną elektronikę.

Drugi album tria przypomina spotkanie późnego Johna Coltrane’a z Tangerine Dream czy Rolanda Kirka z Johnem Bonhamem. Przy czym do tej muzyki da się tańczyć! ©



★★★★★
BRANFORD MARSALIS QUARTET „THE SECRET BETWEEN THE SHADOW AND THE SOUL” MASTERWORKS

Krótko po wydaniu płyty z Anną Marią Jopek Marsalis wydał album z akustycznym jazzem. Kwartet pięknie swinguje i improwizuje. Ognista wersja „The Windup” Keitha Jarretta naprawdę porwya.



★★★★★
WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET „POLKA” WHIRLWIND

Ta międzynarodowa wersja albumu z 2014 r. została uznana przez amerykański „DownBeat Magazine” za jedną z pięciu najlepszych płyt jazzowych ubiegłego roku. „Polka” wznowiona na naszym rynku różni się od oryginału pięcioma utworami. ©

"Złodziejaszki skradły moje serce"

Grażyna Torbicka



OSCAR® 2019
NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM



ZŁOTA PALMA
CANNES 2018

ZŁODZIEJASZKI

FILM HIROKAZU KORE-EDY

LILY FRANKY · SAKURA ANDO · MAYU MATSUOKA · KILIN KIKI

FLUJ TELEVISION NETWORK, CACA CORPORATION and AUL PRO. PRESENTS A FILM BY HIROKAZU KORE-EDA "SHOPLIFTERS" LILY FRANKY, ANDO SAKURA, MATSUOKA MAYU, KIKI KILIN. MUSIC BY HOSONO HARUOMI (VICTOR ENTERTAINMENT) DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY KENDO RYUTO LIGHTING BY FLUJ ISAMU
SOUND BY TOMITA KAZUHIKO PRODUCTION DESIGNER MATSUMATSU KEIKO PRODUCTION BY AUL PRO. INC. CHIEF EXECUTIVE PRODUCERS ISHIBARA TAKASHI TOM YODA NAKAE YASUHIRO ASSOCIATE PRODUCERS OSAWA MEGUMI DOAKE SATOMI PRODUCERS MATSUZAKI KADIRU YOSE AKIHIKO TAGUCHI HIJURI WRITTEN, EDITED AND DIRECTED BY KORE-EDA HIROKAZU

W KINACH OD 22 MARCA

PMPC
POLSKIE
MEDIA

Classic

wprost

co jest
grane24

KINO

DO
RZECZY

DO
RZECZY

FILM

psychologia dla ciebie
sens

FILMOTERAPIA.PL

eprasa.pl 4093a0851f



Marek Jan Chodakiewicz

Sprawa mordu w Jedwabnem pozostanie niezbadana dopóty, dopóki nie odbędzie się ekshumacja ofiar. Bez tego jesteśmy skazani na wieczne spekulacje

Przypomnijmy trzy główne interpretacje wydarzeń z 10 lipca 1941 r. Według wersji najpopularniejszej, wypromowanej przez Jana Tomasza Grossa, polska połowa miasteczka z własnej nieprzymuszonej woli ochotniczo skoczyła na żydowską połowę i ją wymordowała. To wersja szatańska.

Wersja anielska to ta, że Żydów mordowali sami Niemcy, a Polacy żydowskich sąsiadów ratowali.

Z kolei nasze badania wskazują, że niemieccy narodowi socjaliści mord zaplanowali i przeprowadzili. Wskazują jednak również, że rekrutowali do tego miejscowych chrześcijan w roli pomocników. Były ich dwie, płynne kategorie: dobrowolnych i przymusowych. Polacy uczestniczyli, większość pod przymusem, chociaż część ochotniczo. Wśród tych drugich entuzjazm do pomocy opadł, gdy objawił się im jej cel – mord Żydów. Jednocześnie część polskich sąsiadów pomagała ukryć się żydowskim uciekinierom.

Uważamy, że nasza wersja jest najbardziej prawdopodobna. Jednak zachowana baza źródłowa – dokumenty współczesne i zeznania świadków – jest niewystarczająca, aby jednoznacznie stwierdzić, że absolutnie ostatecznym słowem w temacie są nasze badania. Zostały one opublikowane przed laty w „The Massacre in Jedwabne, July 10, 1941: Before, During, After” (New York and Boulder, CO: Columbia University Press/East European Monographs, 2005). Następnie przetłumaczone były na polski i wydane niszowo jako „Mord w Jedwabnem, 10 lipca 1941: prolog, przebieg, pokłosie” (Kraków: Wingert, 2012).

Ponieważ wszyscy nabrali wody w usta. W związku z tym jedynym oficjalnym stanowiskiem państwa polskiego w sprawie Jedwabnego są przeprosi-



Pomnik upamiętniający mord
ludności żydowskiej w Jedwabnem

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

ny postkomunistycznego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i głęboko sparaliżowany liberalną polityczną poprawnością dwutomowy zbiór esejów i wybór dokumentów o masakrze firmowany przez IPN.

Oficjalnym więc stanowiskiem w sprawie Jedwabnego jest nieco zmodyfikowana wersja szatańska masakry podana przez postkomunistów, lewicowców i liberałów, którzy po prostu basują Grosowi. Jednak czy wersja szatańska jest prawdziwa? Wątpliwe.

STANOWISKO OFICJALNE, SZATAŃSKIE

To, że państwo polskie do dziś kurczowo trzyma się narracji Grossa, jest pierwszym powodem, dla którego należy przeprowadzić ekshumację w Jedwabnem. Będzie to posunięcie wprowadzające otwarcie element

Powodem drugim do podjęcia czynności z zakresu medycyny sądowej jest to, że ekshumacja i związane z nią badania zamkną sprawę Jedwabnego na poziomie naukowym i empirycznym. Skończy się 20-letni okres naukowego gdybania. Bez ekshumacji mamy tylko szacunki i scenariusze mordu – bardziej lub mniej uprawnione.

Najniższe to być może 120 ofiar. Grossowe – 1,6 tys., a nawet wyższe liczby podawane przez „świadków”, można między bajki włożyć. Choć ostatnio jeden z autorów dokonał rezurekcji koncepcji ofiar jako sardynek, gdybając, że może z „kilkuset Żydów” zginęło. Absolutne minimum 300–400 osób w jedwabińskiej stodole rzekomo się zmieściło i tam poniosło śmierć. Jednak nawet zwolennicy większej liczby ofiar przyznają, że ich „zweryfikowanie bez pełnej ekshumacji nie jest możliwe”

dymem. Tak domniemy, ale nie wiemy – bo być może spalenia dokonano, gdy część (czy większość) ofiar już nie żyła. Medycyna sądowa da na to odpowiedź. Dużo bardziej kontrowersyjne są wywody dotyczące użycia broni palnej, co jednoznacznie wskazywałoby na Niemców. Jedynie oni wyposażeni byli w pistolety i karabiny. Tutaj wypada również zweryfikować wyniki badań ograniczonej liczby łusek i pocisków, które ówczesne władze IPN przekazały niemieckim ekspertom balistycznym.

POWODY PRAWNE

Po czwarte, dzięki ekshumacji będzie można zweryfikować materiały śledztwa i procesu sądowego. Powinna zbadać je niezależna komisja prawnicza. W obecnej chwili jedynym wiążącym dokumentem prawnym dotyczącym Jedwabnego jest, niestety,

Ekshumacja, natychmiast!

empiryki i nauki w odróżnieniu od promowania odruchów psa Pawłowa à la Kwaśniewski oraz towarzysze ze zdominowanego przez liberałów poprzedniego składu IPN.

Jako prezydent przeproszał odruchowo, według rytuału. Przeproszanie w imieniu Polaków jako komunisty nic go nie kosztowało, oni przecież mieli swą ojczyznę w Związku Sowieckim. A ówczesna ekipa IPN odruchem bezwarunkowym zobligowała się do napisania egzegezy prezydenckich przeprosin. Aby to wszystko się zgadzało z lewicowo-liberalnymi założeniami, z góry przyjęto makabryczną opowieść Grossa za prawdę objawioną.

(„Zagłada Żydów: Studia i Materiały”, 4/2018, s. 264–265).

Gdyby stodoła należała do ordynata hr. Zamoyskiego, to można byłoby sobie tak zgadywać i liczbę ofiar dowolnie windować. Była to jednak przecież stodoła służąca potrzebom gospodarza będącego właścicielem 1 ha ziemi. Adekwatna do potrzeb. Niestety, w postmodernizmie każda zgadywanka jest uprawniona. Tylko ekshumacja da odpowiedź na takie pytania.

Po trzecie, gdy policzymy dokładnie liczbę ofiar, będziemy też mogli z dużym prawdopodobieństwem ustalić, w jaki sposób zmarły. Na razie wiadomo, że wiele osób spaliło się czy udusiło

werdykt sądu komunistycznego z 1950 r. Sąd skazał wówczas jedną osobę za sprawstwo, dziewięć osób za pomoc w zbrodni, a 12 podejrzanych uniewinnił. Podkreślimy – werdykt pozostaje prawomocny dopóty, dopóki nie wpłyną materiały dowodowe z ekshumacji, które mogą go podważyć. Prokurator IPN najpierw prowadził śledztwo pod grossjańską tezę, a potem je umorzył, czyli pozostawił werdykt z 1950 r. niezmienny.

Z punktu widzenia obecnego stanu prawnego przeprosiny Kwaśniewskiego oraz oficjalna publikacja IPN o Jedwabnem stoją w sprzeczności z werdyktem sądowym. Należy wspomnieć, że



Protest ONR w 77. rocznicę mordu w Jedwabnem, lipiec 2018 r. FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

■ PRL-owskie śledztwo oparte było na torturach, a proces odbywał się pod UB-ecką i czerwoną prokuratorską tezę, którą potem odrzucił Jan Tomasz Gross.

SPRAWNOŚĆ PAŃSTWA

Po piąte, ekshumacja mogłaby służyć także zaprezentowaniu sprawności wolnej Polski. Popelniono zbrodnię. Sprawy nie zbadano adekwatnie. Tylko ekshumacja rozwieje wątpliwości. Aparat sprawiedliwości RP ma obowiązek doprowadzić czynności w zakresie rozwiązywania tajemnicy zbrodni do jej logicznej

Jedynie wewnętrzne przeszkody na drodze do ekshumacji w Jedwabnem to brak profesjonalizmu i brak kompetencji

konkluzji. Ma obowiązek odpowiedzieć na pytania: Kto i jak zamordował ofiary? Kto jest odpowiedzialny?

Po szóste, Rzeczpospolita Polska jest państwem suwerennym. Nie jest też teokracją. Dlatego też powinna na swoim terytorium przeprowadzać takie czynności, które są zgodne z polską racją stanu. Wyjaśnienie sprawy Jedwabnego na pewno jest z nią zgodne.

Po siódme, przeprowadzenie ekshumacji pozwoli utracić częstą krytykę rządu PiS i głosy, że nie ma „dobrej zmiany”, że ta ugina się przed szantażem moralnym nadwiślańskiego lewactwa oraz że klęczy przed Ameryką i Izraelem. Ekshumacja może się stać symbolem woli. I to może być wielki atut w nadchodzących wyborach. O ile PiS potrafi taką operację wykonać.

WOLA, PROFESJONALIZM, KOMPETENCJA

Jedynie wewnętrzne przeszkody na drodze do ekshumacji to brak profesjonalizmu i brak kompetencji. Jeżeli tej niemocy nie można przełamać, to lepiej się do wyjaśnienia Jedwabnego nie brać. Spodziewać się bowiem można tajfunu medialnego atakującego Polskę na każdym froncie. Histerii nienawiści, jakiej nie widziano od 1968 r. Trzeba zrobić analizę kosztów i zysków. Jeśli bowiem do ekshumacji nie dojdzie, to rana będzie gnić i będą Polsce na tę ranę cyklicznie sypać sól. Wrzód jedwabniński powinien zostać przecięty.

Jest to decyzja polityczna. PiS musi sobie tę sprawę przemyśleć. Czy warto? Jeśli tak, to kiedy? Przywództwo musi naprawdę bardzo ostrożnie wszystko zaplanować. Ministerstwo Sprawiedliwości musi mieć wszystko zapięte na ostatni guzik.

Należy przygotować się wielopoziomowo. Kluczem jest komunikacja strate-

giczna. Trzeba mieć gotową narrację dla Polaków oraz – co o wiele trudniejsze – dla zagranicy. Jednocześnie trzeba podjąć szeroko zakrojoną akcję publicznego i dyskretnego informowania kluczowych jednostek i środowisk, w tym żydowskich, o zamierzonej ekshumacji.

Należy zadbać o stronę techniczną. Najlepiej zmilitaryzować tymczasowo miejsce zbrodni. Wybudować wielkie ogrodzenie. Nad całością rozprzestrzeć namiot. Odseparować pole badań od świata zewnętrznego. Totalna kwarantanna. Postawić policję (która będzie musiała okazać łagodność św. Antoniego, nerwy ze stali, a siłę pasywną Herkulesa), aby trzymała z dala gapiów, demonstrantów, zadymiarzy oraz cyrk medialny.

Po wykonaniu wszystkich podstawowych czynności można nawet zaprosić zagranicznych obserwatorów naukowców. Albo można ich włączyć w proces od samego początku. Są tacy, którzy na pewno się zgodzą. Podkreślimy jednak, że chodzi o naukowców, a nie dziennikarzy czy prawników bądź specjalistów religijnych, choćby rabinów.

A co, gdy ekshumacja nie zostanie przeprowadzona? Scenariuszy jest kilka. Najpewniej dalej obie strony będą biły pianę. I każda z nich będzie swoje narracje sprzedawać: Co, jak i dlaczego odbyło się w Jedwabnem? Brak ekshumacji nie pozwoli nam już zbliżyć się bardziej do tego, jak naprawdę było – a to jest główny obowiązek historyka. W rezultacie sprawa ta będzie dalej dzieliła ludzi.

Dyskurs dotyczący Jedwabnego może też zostać zdominowany przez jedną z wersji, np. legendę makabryczną, szatańską – co zwolennicy teorii Grossa skutecznie w początkowym stadium sprawy Jedwabnego, a co do dziś jest obowiązującą wykładnią na Zachodzie.

Równie dobrze można autorytarnie zdominować dyskurs w Polsce. Szantaż moralny nie działa poza wąskim kółkiem politycznej poprawności. Potem można się zająć budowaniem takiego dyskursu na Zachodzie. Jednak to nie będzie łatwe. Nie ma środków ani specjalistów od komunikacji strategicznej.

Możliwa jest też wersja ostateczna: rodacy nad Wisłą – na kolana i przeproszając z góry ze wszelkimi tego konsekwencjami! Od razu najlepiej za Holokaust, bo przecież o to chodzi. O ponizanie Polski, Polek i Polaków. Osoby moralnie zaszantażowane łatwiej się kontroluje. Oby do tego nie doszło.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



II wojna światowa, partyzanci, czerwone olbrzymy i pradawna moc

Historia, jakiej jeszcze
nie czytaliście

JUŻ
W KSIĘGARNIACH



Przypuśćmy, że w ręce kapelana walczącego o przetrwanie
oddziału partyzantów przypadkiem wpada grymuar – księga zaklęć.
Dodajmy – działająca. Dalej jest tylko lepiej.



JAROSŁAW GRZĘDOWICZ





Romuald Kmiecik

Kodeks cywilny i pieniężne zadośćuczynienia są dla dziennikarzy nie mniej dolegliwe niż procesy karne o zniesławienie



Kaganiec dla dziennikarzy

Polskie prawo karne penalizuje zniesławienie i zniewagę, przewidując za te przestępstwa nawet karę pozbawienia wolności (art. 212 §2 i art. 216 §2 Kodeksu karnego). Ogół dziennikarzy nie bez podstaw uznaje te przepisy za kaganiec, w praktyce ograniczający wolność słowa i uzasadnionej krytyki. W nie mniejszym jednak stopniu ograniczeniem wolności słowa może być też Kodeks cywilny, który w art. 24 §1 i §2 chroni tzw. dobra osobiste, przewidując zadośćuczynienie pieniężne w razie naruszenia czci jako jednego z tychże dóbr. Pieniężne zadośćuczynienie zasądzone w procesie cywilnym bywa niekiedy bardziej dolegliwe niż kara grzywny wymierzona za zniesławienie w procesie karnym. Przekonał się o tym dziennikarz, który niepochlebnie wyraził się o czyjejś urodzie i któremu w procesie cywilnym za

naruszenie „dobra osobistego” owej pani sąd zasądził zadośćuczynienie rujnujące finansowo dziennikarza.

Ostatnio inny dziennikarz skazany został za pomyłkowe określenie postępowania wyjaśniającego mianem „postępowania dyscyplinarnego”, czym jakoby „zniesławił” sędziego. Tenże jako oskarżyciel prywatny wniósł akt oskarżenia przeciwko dziennikarzowi, mimo że postępowanie wyjaśniające rzeczywiście było w tej sprawie prowadzone. Dziennikarz niczego zatem nie zmyślił, lecz jedynie nieprawidłową nazwą określił tryb postępowania. Dlaczego w sprawie prowadzono jedynie postępowanie wyjaśniające, a nie dyscyplinarne – to inna sprawa.

JĘZYK MEDIÓW, JĘZYK PRAWA

Potoczny język dziennikarski różni się od języka prawnego i prawniczego,

trudno więc wymagać od przeciętnego dziennikarza, że nie mając wykształcenia prawniczego, będzie zawsze błędnie dostrzegał subtelności semantyczne języka prawniczego. Wydaje się grubą przesadą uznanie pomyłki terminologicznej za podstawę odpowiedzialności karnej za przestępstwo zniesławienia, które sprawca popełnić może tylko umyślnie (w świetle prawa nie ma odpowiedzialności karnej za zniesławienie nieumyślne). Zapewne w przytoczonej sprawie dziennikarz nie odróżniał postępowania wyjaśniającego od postępowania dyscyplinarnego, sądząc, że stanowi ono fragment postępowania dyscyplinarnego, tak jak śledztwo czy dochodzenie jest częścią procesu karnego. Większość, a w każdym razie wielu dziennikarzy, nagminnie myli pojęcia prawnicze, nie odróżniając

FOT. ADBE STOCK

ale nie można jej potępiać karnie, jakby popełniali przestępstwo, zwłaszcza że język dziennikarski jest bliższy języka potocznego niż języka prawniczego. Pamiętam, jak znana dziennikarka mocno zirytowana przyznała, że nie wie, co to znaczy „postępowanie przygotowawcze”.

Można też wyobrazić sobie inny przykład à rebours. Oto ktoś otrzymuje dożywotnią rentę, czyli dożywocie, a dziennikarz zgodnie z prawdą i terminologią prawniczą pisze o nim, że „dostał dożywocie”. Jednak ów beneficjent dożywocia wnosi do sądu skargę prywatną o zniesławienie przeciwko dziennikarzowi, ponieważ większość czytelników identyfikuje błędnie „dożywocie” z karą dożywotniego pozbawienia wolności, co kompromituje „zniesławionego” i poniża w oczach otoczenia, które dopytuje, dlaczego jest jeszcze na wolności, skoro „dostał dożywocie”. Czy i w takim przypadku sąd karny w dwóch instancjach wyda wyrok skazujący dziennikarza, zwłaszcza jeśli okaże się, że ów szczęśliwy beneficjent dożywotniej renty jest krewnym któregoś z sędziów?

PROBLEM Z SĘDZIAMI

Można rzecz traktować humorystycznie, ale nie do śmiechu będzie dziennikarzowi skazywanemu przez nasze sądy np. za określenie kogoś mianem sprawcy kradzieży, jeżeli się okaże, że ów „zniesławiony” złodziej nie był złodziejem, „tylko” rozbójnikiem, który nie tylko kradł, lecz także mordował, albo gdy dziennikarz napisze, że ktoś został skazany za szpiegostwo, podczas gdy w rzeczywistości był ów „zniesławiony” skazany „tylko” za zdradę kraju. Niestety, nie są to sytuacje z „Oparów absurdu” A. Słonimskiego i J. Tuwima, lecz bliskie naszej rzeczywistości sądowej, a podobny kazus zdarzył się nie tak dawno. To nie przepisy Kodeksu karnego i Kodeksu cywilnego są złe, lecz ich fatalne stosowanie przez niektórych – powiedzmy – „roztargnionych” sędziów.

Swoją drogą – należałoby ustawowo określić w sposób racjonalny górny pułap zadośćuczynienia pieniężnego za naruszenie dóbr osobistych przez osobę fizyczną, tak aby „niepoprawnych politycznie” dziennikarzy lub niemiłych sądom polityków nie można było rujnować finansowo na drodze sądowej. To samo powinno dotyczyć grzywnien za zniesławienie.

Trudno wszakże oczekiwać, że zawsze prezydent RP będzie mógł naprawiać błędne wyroki sądowe, wkraczając w sferę

wymiaru sprawiedliwości i stosując ułaskawienie. Tym bardziej że prezydenckie ułaskawienie nie sięga wyroków sądów cywilnych, których represyjność związana ze stosowaniem art. 24 Kodeksu cywilnego nie ustępuje represyjności karnej. Być może należałoby przywrócić odpowiedzialność finansową za bezpodstawne oskarżenie, a nawet za oczywiście bezpodstawne powództwo – niezależnie od odpowiedzialności karnej za fałszywe oskarżenie lub powiadomienie organów ścigania o niepopołnionych przestępstwach. Odnoszę wrażenie, że przepisy Kodeksu karnego są w tym zakresie całkiem martwe.

Warto też przypomnieć potencjalnym oskarżycielom i donosicielom oraz ich przedstawicielom procesowym (adwokatom), że powiadomić można, a niekiedy nawet trzeba, o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, a nie o „możliwości” jego popełnienia, co się stało ostatnio równie dziwną i co nagminną praktyką. Domysły i przypuszczenia świadczące o „możliwości” przestępstwa to sfera działań operacyjno-rozpo-

Należałoby określić górny pułap zadośćuczynienia za naruszenie dóbr osobistych, by „niepoprawnych” dziennikarzy nie rujnować

np. postępowania karnego prywatno-skargowego od postępowania cywilnego, prywatnego aktu oskarżenia od pozwu w sprawie cywilnej, oskarżonego od pozwanego, skazania od zasądzenia, oskarżenia posiłkowego od oskarżenia prywatnego, odpowiedzialności karnej za zniesławienie od odpowiedzialności cywilnej za naruszenie dóbr osobistych, kary dożywotniego pozbawienia wolności od dożywocia (które nie jest przecież karą, tylko dożywotnią pieczę lub rentą), ułaskawienia od uniewinnienia, wznowienia umorzonego postępowania przygotowawczego od podjęcia postępowania na nowo, pokrzywdzonego od poszkodowanego, tymczasowego aresztowania od zatrzymania, podejrzanego od oskarżonego i tak dalej...

Można się zżymać i irytować na przejawy ignorancji prawniczej dziennikarzy,

znawczych, natomiast prokurator może wszcząć postępowanie karne, jeżeli podejrzenie popełnienia przestępstwa jest uzasadnione. Podejmując czynności sprawdzające zasadność zawiadomienia o przestępstwie (przed wszczęciem śledztwa), prokurator częściej niż dotychczas powinien odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zawiadomienie o przestępstwie nie było świadomym zawiadomieniem o niepopołnionym przestępstwie lub fałszywym oskarżeniem w rozumieniu Kodeksu karnego. W obu sytuacjach przewidziana jest przecież odpowiedzialność karna (art. 234, art. 238 k.k.). Najwyższy czas ścigać karnie fałszywych oskarżycieli i donosicieli.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest prawnikiem, specjalistą w zakresie prawa dowodowego i prawa karnego procesowego.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Smartfonem go!

Jest taki słynny internetowy filmik, w którym dwa psy, stojące po dwóch stronach bramy, wściekle na siebie ujadają. Nagle brama zaczyna się przesuwac, psy dalej ujadają, aż wreszcie brama jest otwarta na oścież. Psów nic już nie rozdziela, więc mogłyby się rzucić sobie do gardeł. Ale zamiast tego milkną, jakby nieco zawstydzone. I każdy idzie w swoją stronę. Scenka ta podobno ilustruje, co się dzieje, gdy ludzie dyskutujący ze sobą w Internecie nagle spotykają się w rzeczywistości. Dalibóg, jestem ostatnią osobą, której chciałoby się wykłócać na jakichś forach internetowych, ale ze wstydem wyznaję, że coś podobnego przydarzyło się i mnie.

A wszystko z lenistwa. Otóż pewnej soboty miałem przyrządzić rodzinne śniadanie. Ale że mi się nie chciało, sprytnie wymyśliłem, iż pójdziemy do knajpki niedaleko domu. Knajpkę prowadził sympatyczny facet, taki, który to marzył o własnej gastronomii, aż w końcu marzenie zrealizował. I średnio mu wyszło. Bo albo pani do pracy się spóźniła i nie było tego, co było w karcie. Albo on sam przesolił jajecznicę dla mojej żony. Albo coś tam mu się jeszcze pomyliło. Ale lubiliśmy to miejsce. Jak już coś udało im się przyrządzić i tego nie przesolić, to było smaczne. A właściciel był sympatyczny, kibicowaliśmy mu i mieliśmy dla niego dużo cierpliwości.

Aż do dnia owego śniadania. Byliśmy straszliwie głodni, ale okazało się, że jesteśmy jedynymi gośćmi w knajpce. Liczyliśmy zatem,

że szybko zaspokoimy głód. I faktycznie, moja żona dostała swoje zamówienie. Ja z synem cierpliwie czekaliśmy. Zbyt cierpliwie, bo dopiero po 20 minutach spyaliśmy, co z naszymi angielskimi śniadaniem. Pan kelner obiecał, że się dowie, i za chwilę wrócił z zabawną informacją, że pani z kuchni myślała, że English breakfast oznacza w tym przypadku rodzaj herbaty, więc palcem nie kiwnęła w sprawie naszego zamówienia. A kelner – choć miał pod opieką tylko nas – jakoś pogubił się w zamówieniach. W efekcie zjedliśmy śniadanie po 45 minutach oczekiwania.

Rzadko wpadam w gniew, ale głód czyni ze mnie potwora. Sięgnąłem więc po broń ludzi słabych – smartfona. I raz dwa wysmarowałem miażdżącą ocenę knajpy. Po-przysięgłem też, że nigdy więcej do niej nie zajdę.

Poszło mi łatwiej, niż sądziłem. Tydzień później knajpa padła. Nie sądzę, żeby to był efekt mojej oceny, aż tak opinotwórczy to nie jestem. Ale oczywiście poczułem się winny, a me serce ukłuły boleśnie wyrzuty sumienia. Oto fajny facet miał swoje marzenia, a ja je zniszczyłem. Och, jakże żałowałem tego wpisu!

Pożałowałem jeszcze bardziej, kiedy spotkałem faceta jakiś czas później. Wynosił z remontowanego lokalu resztki dobytku. – Dzień dobry – powiedział do mnie smutno. – Dzień dobry – odpowiedziałem zawstydzony i przyspieszyłem kroku.

W życiu już nikogo nie skrytykuję w Internecie! ☹☹



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Spoiwo

Od kilku dni fascynuję się „Rozbitym lustrem”, najnowszym dziełem prof. Roszkowskiego, i wraz z nim zastanawiam się nad głównymi przyczynami upadku cywilizacji Zachodu. Z pewnością jest nią odrzucenie Boga i prawa naturalnego, ale nie wyłącznie. Problemy, które nas trapią, usiłowali definiować starożytni filozofowie na długo przed Jezusem Chrystusem. Platon usiłował projektować państwo rządzone przez filozofów i sam omal nie przypłacił tego projektu życiem (na Sycylii), Arystoteles zaś zdiagnozował, że niezależnie od systemu władzy istotne są zasady moralne utrzymujące go w korbach – bez nich nawet światła monarchia przeradza się w tyranie, system arystokratyczny

w oligarchię, a demokracja w anarchię lub ochłokrację.

Cywilizacja przyjemności, która niczego nie wymaga, która praktycznie wykluczyła przymus i odpowie-

Ile prostszy był świat, w którym obowiązywały zasady Dekalogu

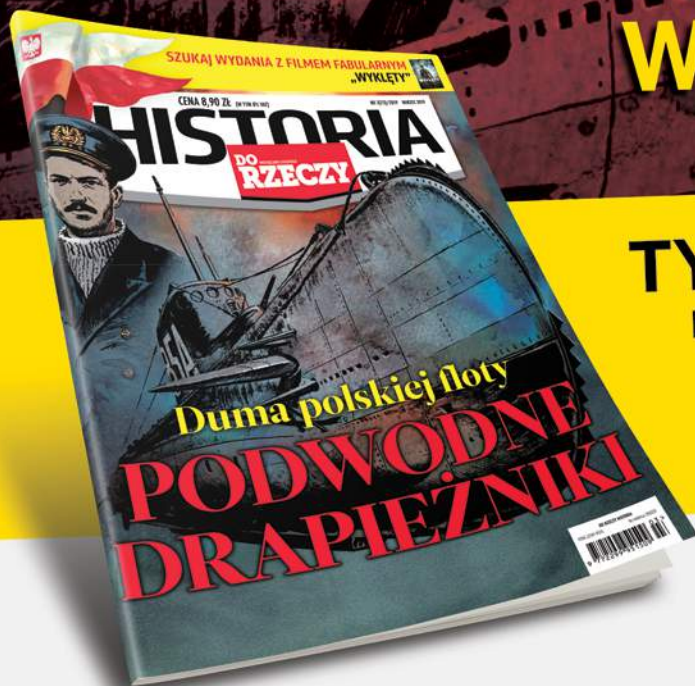
dzialność (choćby przez rezygnację z kary śmierci), może funkcjonować na krótką metę. Podobnie jak relatywizm, twierdzący, że każdy ma własną prawdę i każda jest dobra. Ludzkość zaczyna przypominać kolibra, który nie może nigdzie stanąć, nigdzie się zatrzymać, tylko bić skrzydełkami dopóty, dopóki starczy mu sił.

Znajdujemy się w sytuacji Adama i Ewy, którzy dorwali się do Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego, rwą bez opamiętania jego owoce, ale wciąż nie uświadomili sobie, że są jedynie nagą małpą. Ile prostszy był świat, w którym obowiązywały proste zasady Dekalogu i ludzie wiedzieli, że pewnych rzeczy się po prostu nie robi – jest grzech, jest sąd, są nagroda i kara. Dzisiaj o piekle i potępieniu niechętnie mówi nawet Najwyższy Autorytet.

Najtrudniej pojąć mi, co kieruje ludźmi wytrwale wypukującymi wartości, podmywającymi fundamenty, walczącymi z tradycją, rodziną, Kościołem (łatwiej zrozumieć ich ofiary, ogłupiane przez media, reklamę, kult użycia i bezrefleksyjność). Najprostsze wytłumaczenie – że to jednak szatan. ☹☹

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
POSZUKIWACZE WRAKÓW
ZATOPIONYCH OKRĘTÓW.
SENSACYJNA ROZMOWA
Z PROF. TIMMYM GABINEM.

Mariusz Borowiak – **Boje polskich okrętów podwodnych**
Tomasz Stańczyk – „Straszne bliźniaki” atakują
Sławomir Koper – **Błędy akcji na Kutschere**
Gerald Posner – **Dzieci Mengelego, Himmlera i Göringa**
Piotr Zychowicz – **Wielka afera okupowanej Warszawy**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Anglicy skrzywdzili polskiego oficera**
Mikołaj Iwanow – **Tajemnica śmierci Berii**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Piotr Semka z Berlina

100 lat temu, w marcu 1919 r., w Berlinie klęską zakończyła się próba zdobycia władzy przez komunistów niemieckich. Wystawa „Berlin 1918/19. Długi żywot rewolucji listopadowej” w berlińskim Märkisches Museum opowiada o tym, dlaczego w Niemczech nie powiódł się scenariusz Lenina

11 stycznia 1919 r., Berlin.
Niemieccy komuniści bronią
zajętej dzielnicy prasowej
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kiedy Berlin tańczył ze śmiercią

To opowieść o rewolucji niemieckiej wymieszana z kultem Róży Luksemburg. Pokolenie '68 nie byłoby sobą, gdyby nie oddało hołdu rewolucjonistce urodzonej w Zamościu.

Obserwuję niemiecką politykę historyczną już prawie od dwóch dekad i zawsze zwracam uwagę na niuanse. Polityka pamięci naszych zachodnich sąsiadów przepracowała na nowo już niemal wszystkie epizody swojej historii.

Od Hitlera poprzez reżim NRD do morderstwa grupy Baader-Meinhof.

Wydawało się, że wszystko już zakwalifikowano, pochwalono, zganiono lub wykluczono ze zbiorowej pamięci. A jednak rewolucja lat 1918–1919, która obaliła cesarstwo Hohenzollernów i wprowadziła republikę, zwaną potem weimarską, wciąż zdaje się kłopotem. Już sam fakt, że na miejsce wystawy wybrano nie centralne niemieckie muzeum historyczne, ale lokal-

ne muzeum Marchii, świadczy o tym, że ze stosunkiem do rewolucji jest jakiś kłopot. Symbolem wystawy są pieprzniczka w kształcie Karla Liebknechta i solniczka w postaci popiersia Róży Luksemburg. Sól i pieprz rewolucji. No cóż, zobaczymy, jak przyprawiono ten historyczny „Eintopf”.

SPOKOJNY LISTOPAD

Ta wojna trwała za długo. Ludzie mieli jej dość. Niedojadania. Otrzymywania telegramów o śmierci najbliższych. Marznięcia w niedogranych domach i ciężkiej pracy w fabrykach zbrojeniowych. W listopadzie zeszłego roku opisywałem wystawę w Kilonii o tym, jak 4 listopada 1918 r. zbuntowali się marynarze niemieckiej floty. Ten bunt był jak iskra, która rozpałała kolejne żagwie protestu. Po czterech dniach, 9 listopada, rewolucyjna fala dotarła do stolicy. Związki zawodowe ogłosiły strajk generalny i w miarę mijania tamtego dnia kolejne pochody z fabryk kierowały się do centrum miasta. Jak na ilość zgromadzonych w Berlinie sił wojska, policji i gwardii cesarskiej, zaskakuje znikoma liczba przypadków strzelanin. Cesarska władza upadła przy absolutnej bierności jej urzędowych obrońców. Jak wskazują autorzy wystawy, wiadomość o ucieczce Wilhelma II do Holandii skompromitowała monarchię tak dotkliwie, że niemal nikt nie bronił starego porządku. Przez parę godzin władza leżała na ulicy. Policjanci i wojskowi zniknęli z ulic. W czasie rewolucji lutowej w Rosji tę władzę wzięła w Petersburgu skłócona koalicja partii liberalnych i socjalistycznych. Na tyle słaba, by po ośmiu miesiącach ulec determinacji Lenina i jego towarzyszy.

Jednak w Niemczech, w odróżnieniu od Rosji, komuniści pod wodzą Karla Liebknechta, znani wtedy bardziej jako Związek Spartakusa, natrafili na sprawnego rywala. Była to tzw. większościowa SPD, która poparła wojnę cesarstwa, działała legalnie w czasie wojny i była gotowa do przyjęcia władzy od rozpadającego się ancien régime'u. Była jeszcze tzw. niezależna SPD, czyli USPD, która razem z niemieckimi komunistami ze Związku Spartakusa chciała wskoczyć na rewolucyjną falę i zdobyć władzę.

MSPD było szybsze. Philipp Scheidemann już o godz. 14 ogłosił z okna Reichstagu powstanie Republiki Niemieckiej. Komuniści spóźnili się o dwie godziny. Dopiero o godz. 16 Karl Liebknecht ogłosił z okna berlińskiego zamku powstanie Republiki Rad. Od tej pory spóźnianie

się z reakcją na wydarzenia niemieckich komunistów będzie stałą cechą tej formacji. Socjaldemokraci większościowi na czele z nowym kanclerzem Friedrichem Ebertem powołali wraz z USPD nowy rząd, któremu nadano dość rewolucyjną nazwę Rady Pełnomocników Ludowych. W murowanym cyrku Buscha zebrała się Rada Delegatów Żołnierskich i Robotniczych licząca 3 tys. reprezentantów berlińskich fabryk i garnizonów. MSPD od początku miała nad nią kontrolę i szybko zaczęła spychać margines komunistyczny do narożnika. 16 grudnia 1918 r. w radzie doszło do próby sił. Głosowanie dotyczyło tego, czy rada poprze wolne demokratyczne wybory do nowego parlamentu, czy też pójdzie drogą Dyktatury Rad. W kluczowym momencie debaty jeden z polityków zadał zasadnicze pytanie: „Czy chcecie, byśmy tu mieli głód i wojnę domową taką samą jak w Rosji Lenina?”.

Mało znane jest to, że kajzerowskie Niemcy, które same pomogły Leninowi powrócić do Rosji, bardzo uważnie obserwowały szaleństwo mordu i głodu, które rozrywało ówczesną Rosję. Co więcej, dzięki niemieckiej prasie wiedza o masakrach i wygłodzeniu rosyjskich miast docierała do świadomości zwykłych robotników.

W rezultacie, gdy padło pytanie o to, czy niemieccy robotnicy i żołnierze chcą pójść drogą rosyjską, reakcja większości była negatywna. Demokracja została uratowana.

NIESPOKOJNY GRUDZIEŃ

Poruszam się po różnobarwnym labiryncie wystawy i muszę przyznać, że jej autorzy z dużym talentem oddali klimat tamtej ponurej jesieni i zimy. Niemieckie tygodniki miały już doskonale rozwinięty fotoreportaż prasowy. Wyslannicy tygodników ilustrowanych wchodzili z aparatami na pierwszą linię demonstracji oraz tumultów i można odnieść wrażenie, że ich bezstronny charakter szanowali uczestnicy walk z obu stron. Plejada pionierów fotoreportażu jest spora. Najbardziej znanym fotoreporterem był Willi Römer, ale obok niego wspaniałe zdjęcia robili Alfred Frankl, Robert Sennecke, Friedrich Gerlach i bracia Haackel. Dzięki nim możemy patrzeć na pochmurne dni grudniowe, gdy zaczęło dochodzić do pierwszych walk z komunistami, tak jak stalibyśmy za plecami bojowników z obu stron.

Na nową republikę pod wodzą Friedricha Eberta czyhano zarówno z lewa, jak i z prawa. Sama rewolucja 9 listopada była relatywnie mało krwawa, ale w grudniu zaczęły się próby „rozhuśtania łodzi”. 6 grudnia na ulice wyszli oficerowie żądający wypłacenia swoich poborów, a w grudniu nowa władza próbowała rozbroić dywizję „folksmarine”, czyli jednostkę rewolucyjnych marynarzy, którzy zaczęli przechylać się ku komunistom. Jednak na wystawie również cenne jak zdjęcia z kolejnych starć są części ekspozycji odmalowujące obraz społeczeństwa Berlina po klęsce wielkiej wojny. Oglądam wyliczenia pokazujące, jak dotkliwie wojna odmieniła metropolię nad Szprewą. W 1919 r., kiedy władze miejskie zabrały się za takie wyliczenia, w Berlinie mieszkało 80 tys. rodzin, które straciły jednego lub więcej człon-

ków rodziny. Koniec z końcem musiało wiązać 44 tys. inwalidów, którzy stracili dłonie, nogi lub którym niekiedy pociski zniekształciły twarz. Podobna była liczba ludzi znajdujących się w depresji, szoku bojowym lub w stanie choroby psychicznej wynikłej z frontowych przeżyć. Bardzo duża była liczba wojennych wdów. Szalały choroby zakaźne, szczególnie groźne dla organizmów ludzi wyniszczonych latami niedojadania. Przykładowo latem 1918 r. słynna hiszpanka zebrała ok. 40 tys. ofiar. W samym 1919 r. zmarło w Berlinie 6380 dzieci przed ukończeniem pierwszego roku życia. Żywność dostępna na kartki dawała dzienną porcję 2150 kalorii zamiast niezbędnego biologicznego minimum 3000 kalorii.

Berlin był wtedy miastem wielkiego bezrobocia. W latach wojny 90 proc. produkcji przemysłowej skierowano na potrzeby wojenne. Tyle że zamówienia skończyły się wraz z końcem wojny i dziesiątki tysięcy kobiet – bo to nimi w czasie wojny zastąpiono robotników – znalazły się w rozpaczliwej sytuacji. Te młodsze nędza pchała do prostytucji, która z kolei wiązała się z niechcianymi ciążami. W gablocie wystawy obejrzyć można ponury symbol tamtej epoki. To syrynga – instrument do przeprowadzania nielegalnych aborcji, którym za pomocą silnego ciśnienia wody wypłukiwano płód z organizmu matki. A tuż obok tego świata nędzy i upodlenia barwne plakaty lokali tanecznych, dancingów i teatrów variété. Szczególnie berlińska Friedrichstrasse była wtedy zagłębiem tego nowego sposobu odreagowywania koszmara wojny. W 1914 r. zakazano zabaw tanecznych, ale z chwilą upadku cesarstwa wszyscy zaczęli odreagowywać poprzednie zakazy. W Berlinie zaroilo się od tingel-tanglów, ukrytych sal tanecznych, kabaretów i lokali oferujących najbardziej wyszukane życzenia seksualne. Nikt dokładnie nie wiedział, co w nowym ładzie jest legalne, a co nie. A policja nie panowała nad rewolucyjnym chaosem. Na jednym ze zdjęć z końca listopada 1918 r. uwieczniono żołnierzy z bronią przygotowaną do strzału, a na murze za ich plecami widać efektowne plakaty reklamujące kabaret Bunter Abend z ówczesną gwiazdą wodewilu Kurtem Boilem (1901–1991). Ten sam aktor 70 lat później uświetnił rewelacyjny film Wima Wendersa – „Niebo nad Berlinem”.

Ta schizofreniczna sytuacja, gdy na ulicy wojska rządowe strzelały się



„Berlinie, stop! Opamiętaj się! Tańczysz ze śmiercią!” – plakat z 1918 r. Poniżej antykomunistyczny plakat wyborczy socjaldemokratów na wybory 19 stycznia 1919 r.: „Robotniku, otwórz oczy! Głosuj na SPD”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

z komunistami, a tuż obok dobiegała muzyka taneczna z lokali zanurzonych w atmosferze szalonej zabawy, była zwiastunem klimatu, który uwiecznił film pt. „Kabaret” Boba Fosse’a. Na popularnym wówczas plakacie Berlin w postaci pięknej dziewczyny tańczył ze śmiercią.

POWSTAŃCZY STYCZEŃ I KRWAWY MARZEC

Komuniści nie złożyli broni. Wypchnięci z rad robotniczych postanowili dokonać zbrojnego powstania, aby zapobiec wyborom do zgromadzenia ustawodawczego. Na czele rewolty stanął Karl Liebknecht jako lider Komunistycznej Partii Niemiec. 6 stycznia 1919 r. Komitet Rewolucyjny ogłosił delegalizację rządu Eberta. Komuniści zajęli dzielnicę, w której znajdowała się większość redakcji gazet, drukarnie i domy wydawnicze. Wielkie bele papieru gazetowego z powodzeniem zastępowały worki z piaskiem. Tym razem rząd Eberta już nie powstrzymywał oddziałów skierowanych do pacyfikacji ruchawki. Wobec rozsyпки dawnego wojska – żołnierze frontowi uciekali do domu – socjaldemokraci musieli sięgnąć po Freikorpsy. Były to ochotnicze oddziały tworzone przez nacjonalistycznych oficerów. Nie darzyli oni SPD szacunkiem, ale komunizm uważali za większą groźbę. Styczniowe powstanie komunistów stłumiono bez ceregieli. Zdobywano dom po domu i używano artylerii do niszczenia gniazd oporu na wyższych piętrach kamienic. Jednak SPD miało poparcie ze strony mas ludowych. „Większość ludności zareagowała na stłumienie buntu obojętnością lub poparciem” – niechętnie przyznają autorzy wystawy. Dlaczego niechęć? Bo tuż po opowieści o stłumieniu powstania Spartakusa zaczyna się na wystawie bardzo idealistyczne przedstawianie postaci Róży Luksemburg. Owszem, okoliczności zgładzenia duetu Liebknecht-Luksemburg nie przynosiły Ebertowi zaszczytu. Po aresztowaniu dwójki liderów rewolucji zostali oni przez oficerów Freikorpsu zastrzeleni i wrzuceni do kanału. Tyle że kreowanie Luksemburg na przeciwniczkę leninizmu jest sporą przesadą. Jej słynne zdanie: „Wolność jest zawsze wolnością dla myślących inaczej” było raczej wezwaniem do swobody dyskusji w obrębie obozu marksistów niż jakąś jej troską o pełną demokrację. Jej teksty wzywały do zablokowania demokratycznych wyborów.



Była zwolennikiem dyktatury proletariatu. Miała pecha – a Niemcy szczęście – że trafiła na rząd Eberta, który wiedział, czego chce, i potrafił odwieść masy robotnicze od demagogii komunistycznej. I znów wróćmy do poziomu świadomości najniższych warstw Niemców. Oto na wystawie staje przed plakatem wyborczym socjaldemokratów ze stycznia 1919 r. Napis głosi: „Robotniku, otwórz oczy – głosuj na większościową SPD”.

Po obu stronach plakatu uwiecznione są zagrożenia dla młodej demokracji. Po prawej to, co stare: monarchia, militarizm Poczdamu, dryl, 12-godzinna praca. O wiele ciekawsze są jednak atrybuty komunizmu – branie wzorów z Moskwy, dyktatura, śmierć, którą niesie Armia Czerwona, oraz „Arbeitszwang”, czyli praca przymusowa. Wybory odbyły się 19 stycznia 1919 r. Wygrała je SPD, która stworzyła rząd wraz z paroma koalicjantami z partii centrowych, a 11 lutego zgromadzenie ustawodawcze w Weimarze wybrało Friedricha Eberta na prezydenta.

Kolejną próbę puczu, w Berlinie już ostatnią, komuniści próbowali podjąć na początku marca 1919 r. Zaczęło się od rozruchów w centrum miasta, a potem walki przeniosły się na robotnicze przedmieście Lichtenberg. Tym razem wojsko rozstrzeliwało już każdego zatrzymanego

z bronią w rękę lub każdego, u którego w mieszkaniu znaleziono karabin lub pistolet. W trwających cztery dni walkach między 9 a 12 marca zginęło ok. 177 osób, w większości cywili, w tym rozstrzelano 21 marynarzy z Volksmarine. Okrucieństwa zdarzały się po obu stronach. Ekipa Eberta rozpowszechniała zdjęcia żołnierzy rządowych zastrzelonych w lazarecie przez Spartakusowców. Po stłumieniu czerwonej rebelii SPD zadbało o stopniowe rozmowy z Freikorpsami. Do lata 1919 r. większość tych jednostek przestała istnieć.

DOBRY EBERT, DOBRA LUKSEMBURG

Wystawa w Märkisches Museum naznaczona jest schizofrenią. Z jednej strony sławi SPD i Friedricha Eberta za budowę Republiki Weimarskiej, z drugiej strony przedstawia Liebknechta i Różę Luksemburg jako pozytywnych patronów dla dzisiejszej niemieckiej demokracji. A przecież obie siły walczyły wtedy na śmierć i życie. Cóż z tego, gdy rewolta roku 1968 wyniosła Różę Luksemburg na swe sztandary. A na tle wyrafinowanej intelektualistki o żydowskich korzeniach z Zamościa – rządzący Socjaldemokraci: Friedrich Ebert, Philipp Scheidemann i Gustav Noske – jawią się bądź jako nudziarze, bądź ludzie, którzy pozwolili wojsku skierować broń przeciwko ludowi.

Autorzy wystawy bardzo ciekawie pokazali, jak ówczesna pamięć o rewolucji w fatalny sposób splotła się z dwoma negatywnymi emocjami. Prawicy listopad 1918 r. skojarzył się z klęską Niemiec, co ułatwiło powstanie mitu o ciosie w plecy – socjaldemokratycznej intrydze przeciw walczącym na froncie żołnierzom Reichswehry. Z kolei komuniści utrwalili mit zdrady klasy robotniczej przez SPD, która razem z reakcją stłumiła triumf Dyktatury Rad. Te dwa mity spowodowały, że Republiki Weimarskiej nikt nie kochał, a wszyscy jej nienawidzili.

Liderzy SPD w latach 1918–1919 potrafili zablokować drogę do władzy niemieckim komunistom. Problem w tym, że Ebert i Scheidemann nie wychowali następców, którzy ponad 16 lat później potrafiliby równie zdecydowanie podciąć nogi NSDAP i zapłacili za tę bierność potworną cenę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Berlin 1918/19. Długi żywot rewolucji listopadowej” w Märkisches Museum w Berlinie potrwa do 19 maja 2019 r. Szczegóły na: www.stadt-museum.de/maerkisches-museum.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wojsko bez zadęcia

Nic tak nie szkodzi historii jak zadęcie, brak dystansu do samego siebie i brak poczucia humoru. Niestety wszystkie te cechy często występują w naszej historiografii. W efekcie wiele książek, które dotyczą – wydawałoby się – ciekawych tematów, zamiast zainteresowania wywołuje tylko dłuugie ziewnięcie.

Dlatego z taką przyjemnością przeczytałem książkę najwybitniejszego polskiego historyka emigracyjnego Zbigniewa S. Siemaszki. Przyjemnością? Nie, to za mało powiedziane. „Wojsko od podszewki” czytałem przez pół nocy, raz po raz wybuchając śmiechem, co spotkało się w końcu ze zdecydowaną reprimendą ze strony reszty domowników. Daj, człowieku, pospać!

Książka to zbiór kapitalnych anegdot dotyczących armii II RP i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Autor wiele z nich zna z autopsji, sam bowiem był żołnierzem armii gen. Władysława Andersa. Dość już jednak tego gładzenia. Oto garść przykładów:

„Jednego z kapraśli spóźniającego się na poranne zbiórki po hulaszczycach wieczorach w Cape Town [Kapsztadzie] witał Andrzej Ciernerman refrenem:

– A z białego tatki i czarnej matki będą dzieci w kratki”.

„Ktoregoś roku generał Marian Przewłocki [były zawodowy oficer carskiej armii] przemawiał na akademii 3 Maja. Podobno zaczął w ten sposób:

– Tak, znaczysia, w tysionc siemсот diewiendiesionт pionтым roku Polsku padielili. Jednu paławinu wzieli Giermancy, jednu Awstrijcy, a jednu my. Tfu, Russkie wzieli”.

„Przed komisją poborową stawał Żyd przechrzta.

Lekarz wojskowy nałożył okulary, przypatrzył mu się dokładnie i powiedział:

– Coś tu jest nie w porządku. Albo włóż spodnie, albo zdejm krzyżyk”.

„Młoda Szkotka miała boyfrienda Polaka, który pracował w magazynie wojskowym i od czasu do czasu przynosił jej w prezencie puszki konserw, a przydział mięsa na książeczki, czyli Ration Book, był skromny.

Kiedyś zmarznęta Szkotka wróciła z randki do domu, stanęła tyłem do palącego się kominka podciągając nieco spódnicę, żeby lepiej ogrzać się. Zgryźliwa, stara ciotka zwróciła jej uwagę:

– Uważaj, bo spalisz swoją Ration Book”.

Bardzo żałuję, że maksymalna liczba gwiazdek, którą mogę przyznać książce na łamach „Do Rzeczy”, to sześć. „Wojsko od podszewki” zasługuje bowiem na 10. ©©



★★★★★

ZBIGNIEW S. SIEMASZKO
„WOJSKO OD PODSZEWKI”
WYDAWNICTWO
TEST 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Problemy Prusa

Pierwsze informacje o jego lęku przestrzeni pochodzą z czasów młodości pisarza, a kłopoty narastały z upływem lat. Lekarze łączyli ich nasilenie ze wstrząsem psychicznym, którego pisarz doznał z powodu niefortunnego sporu z grupą warszawskich studentów. Przyczyną zajścia była

Sprawa odbiła się głośnym echem wśród opinii publicznej, spowodowała też załamanie nerwowe Prusa. Lekarze podejrzewali, że ostre objawy agorafobii, które niebawem wystąpiły, miały związek z zajściem, wierzył w to również sam pisarz, skarżąc się po latach, że studenci „życie mu złamali”.

Wydaje się jednak, że w jego przypadku fobia miała nieco nietypowy przebieg. Pisarz wprawdzie ewidentnie cierpiał na lęk przestrzeni, ale ataki paniki występowały tylko wtedy, gdy znajdował się w nieznanym wcześniej otoczeniu. Gdy bowiem zapoznał się już z okolicą (np. z Nałęczowem), mógł już niemal normalnie funkcjonować. Tak było nawet podczas wypraw w góry, za którymi zresztą nigdy specjalnie nie przepadał. Podczas górskich wędrówek spacerował po nowej trasie, podtrzymywany przez jednego z górali, dzięki czemu następnym razem „biegał już po niej tak, jak w Brochotnicy albo Janowcu”, czyli w miejscach dobrze sobie znanych.

Prus miewał ataki paniki nie tylko w otwartej przestrzeni, fatalnie czuł się również w miastach, w których nigdy wcześniej nie był. Szczególnie trudne było dla niego przejście lub przejechanie przez nieznaną mu wcześniej most. Z tego też powodu jego podróż na zachód Europy w roku 1895 r. okazała się nieudana i nawet pobyt w Paryżu skrócił do 10 dni. Można tylko podejrzewać, jak z powodu problemów pisarza ucierpiała polska literatura... ©©

Fatalnie czuł się również w miastach, w których nigdy wcześniej nie był

opublikowana na łamach prasy opinia Prusa na temat odczytów Włodzimierza Spasowicza o Wincentym Polu. Negatywnie wyraził się on wówczas o zachowaniu studentów podczas odczytów i w efekcie doszło do zajścia, które zaważyło na całym życiu Prusa.

„26 marca 1878 r. o godzinie trzeciej po południu – informowano w raporcie policyjnym – siedł ulicą Twardą literat Aleksander Głowacki [...] w towarzystwie swoich znajomych literatów, Władysława Bogusławskiego i Tadeusza Czapelskiego. W chwili, gdy zatrzymał się przed swoim domem, studenci Warszawskiego Uniwersytetu [...] otoczyli pana Głowackiego i jego znajomych, zaś jeden spośród studentów – Jan Sawicki – uderzył Głowackiego w twarz bez żadnego powodu, tak, że pan Głowacki wezwał policję”.



Wrocławski Park Technologiczny to 50 tys. mkw. powierzchni biznesowych, laboratoryjnych i produkcyjno-magazynowych

Konstelacja dla biznesu

Polska jest jedną z najszybciej rosnących gospodarek UE – otwartą na innowacje i stwarzającą świetne warunki do działalności krajowym i zagranicznym inwestorom. Instytucje otoczenia biznesu pomagają w dynamicznym rozwoju start-upów, małych i dużych przedsiębiorstw oraz międzynarodowych firm działających na globalną skalę

Instytucje otoczenia biznesu (IOB) oferują nie tylko powierzchnie biurowe czy przemysłowe, lecz także zaplecze badawczo-rozwojowe (B+R) i doradztwo biznesowe, co zwiększa szanse na sukces firm wprowadzających na rynek innowacyjne produkty.

– Takiego wsparcia udzielamy we Wrocławskim Parku Technologicznym (WPT). Naszą ofertę traktujemy jak konstelację, układ elementów pozwalających przedsiębiorcom obrać azymut na rynkowy sukces. Wdrażany przez nas program rozwoju biznesu, STELLAR HUB, skonstruowany jest tak, aby firmy działające w każdej skali otrzymywały od nas wszystko to, czego potrzebują na konkretnym etapie działalności – mówi Maciej Potocki, prezes Wrocławskiego Parku Technologicznego.

ROZWIĄZANIA SZYTE NA MIARĘ

W WPT firmy mogą korzystać m.in. z infrastruktury biznesowej i przemysłowej (np. hali produkcyjno-magazynowej), 12 nowoczesnych laboratoriów, inkubatorów przedsiębiorczości, eksperckiego know-how czy pomocy w pozyskiwaniu finansowania. – Skuteczność naszych działań potwierdzają historie współpracujących z nami firm, np. Pure Biologics czy Amplicon. Swoją działalność zaczy-

nały w inkubatorze przedsiębiorczości, a dziś pierwsza z nich to biotechnologiczna spółka notowana na New Connect, a druga otwiera swoje własne laboratorium – opowiada prezes Potocki.

We Wrocławskim Parku Technologicznym działają firmy różnej wielkości, obecne na różnych rynkach. Jest ich ponad 220, najwięcej w Polsce w tego typu instytucji. – Są z nami również duże międzynarodowe firmy. Dzięki infrastrukturze, którą posiadamy, jesteśmy w stanie spełnić indywidualne oczekiwania takich światowych marek jak Mitsubishi czy Viessmann – dodaje Maciej Potocki.

Z NAUKI DO PRZEMYSŁU

IOB wspierają także transfer wyników badań naukowych do polskiego biznesu z ośrodków takich jak Europejska Agencja Kosmiczna (ESA), Fusion for Energy (F4E) czy Europejska Organizacja Badań Jądrowych CERN. Koordynacją współpracy z ESA zajmuje się Polska Agencja Kosmiczna, a działania związane z kooperacją z CERN i F4E skupione są w WPT.

– Z rynkiem Big Science, czyli ogromnym obszarem związanym z komercjalizacją technologii największych ośrodków badawczo-naukowych, WPT jest związany od początku swojego istnienia

– komentuje Sylwia Wójtowicz, łącznik przemysłowy z CERN i F4E, dyrektor ds. rozwoju i komercjalizacji WPT

– Polscy przedsiębiorcy realizują coraz więcej zamówień dla tego sektora, a my dzięki naszemu zapleczu B+R i sieci kontaktów możemy ich w tym wspierać jak żadna inna instytucja w Polsce – dodaje Wójtowicz.

ZAPROJEKTOWAĆ PRZYSZŁOŚĆ

WPT realizuje projekty takie jak BIG SCIENCE HUB (prowadzi m.in. portal big-science.pl) oraz Poland@CERN – to wyjazd delegacji polskich przedsiębiorców związanych z sektorem high-tech do Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych. W ramach tegorocznej misji, która startuje 2 kwietnia, przez trzy dni będą oni rozmawiać z przedstawicielami CERN o stanie obecnej współpracy oraz możliwościach i perspektywach jej dalszego rozwoju.

Kompleksowa oferta Wrocławskiego Parku Technologicznego tworzy konstelację możliwości, pozwalających przedsiębiorcom na rozwinięcie skrzydeł. – Innowacyjny pomysł to początek konkurencyjnego rynkowo produktu. Wystarczy odpowiednio zaprojektować jego przyszłość. Właśnie tym się zajmujemy – podsumowuje Maciej Potocki.



WROCŁAWSKI PARK TECHNOLOGICZNY

DOŁĄCZ DO PROGRAMU



STELLAR HUB

DLA BIZNESU W KAŻDEJ SKALI



INFRASTRUKTURA
BIZNESOWA



LABORATORIA
I PROTOTYPOWNE



INKUBATORY
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI



ZAKŁAD
DOŚWIADCZALNY



HALA
PRZEMYSŁOWA



BAĐANIA
I ROZWÓJ



DORADZTWO
I NETWORKING



BIG SCIENCE
HUB

www.technologpark.pl

Upadek gwiazdora lewicy



Jacek Przybylski

Jeszcze niedawno lewicowe media rozplýwały się w zachwytach nad najbardziej liberalnym premierem świata. Czar Justina Trudeau prysł jednak nagle niczym bańka mydlana, gdy Kanadą wstrząsnęła afera korupcyjna, a z rządu zaczęli odchodzić kolejni ministrowie

Ataki był ładny... amerykański. Justin Trudeau, nazywany przez wielu „kanadyjskim Obamą”, był wymarzoną politykiem dla fanów współczesnej lewicy. Gdy w 2015 r. jako lider Liberalnej Partii Kanady obejmował stanowisko szefa rządu, liberałowie i socjaliści w wielu krajach świata piali z zachwytem.

Syn byłego szefa kanadyjskiego rządu Pierre’a Trudeau zdobył popularność, opowiadając m.in., jak jeszcze jako dziecko poznał księżną Dianę. 47-letni polityczny celebryta, przystojny niczym Justin Bieber, chętnie wychodził do ludzi i z czarującym uśmiechem na twarzy robił sobie z nimi selfie.

Jako początkujący premier uchodził za wzór liberalnego szefa rządu. Na zaproszenie zamiast podjechać limuzyną, przyszedł pieszo. W swym gabinecie wprowadził parytet płci (15 kobiet, 15 mężczyzn). Ministrem sprawiedliwości mianował Jody Wilson-Raybould z plemienia Kwakwaka’wakw – pierwszą w historii Indiankę na tym stanowisku. Ministrem sportu została niewidoma prawniczka i paraolimpijka Carla Qualtrough, a ministrem ds. instytucji demokratycznych Maryam Monsef, która w 1996 r. jako dziecko uciekła z matką i siostrami z Afganistanu. Trudeau za-

trudnił też na najwyższych stanowiskach więcej sikhów, niż robią to władze Indii.

W 2015 r. pozytywnie oceniało go aż 63 proc. Kanadyjczyków. Kochały go m.in. feministki, uwielbiali pacyfiści, ekolodzy oraz przedstawiciele tęczyowych środowisk. Jest bowiem jednym z szefów rządów globalnego formatu, który tak stanowczo opowiadał się za tolerancją, postępowością i walką o prawa osób ze społeczności LGGBDTTTIQQAAPP (lesbijek, gejów, osób nieidentyfikujących się w pełni ani jako kobieta, ani mężczyzna, biseksualistów, demiseksualnych, transwestytów, transseksualistów, osób podwójnie uduchowionych, interseksualnych, osobliwości, osób, które nie wiedzą jeszcze, jakiej są płci, aseksualnych, sprzymierzeńców w walce z homofobią, panseksualnych i składających się po trochu ze wszystkich możliwych płci). Niestrudzenie maszerował w Paradach Równości. Za jego rządów w szkołach zaczęto też prowadzić szkolenia z LGGBDTTTIQQAAPP, podczas których nauczycieli szkół podstawowych uczono współczesnego języka tego środowiska i wyczulano na problemy przedstawicieli tej społeczności. Trudeau podpadł co prawda nieco tęczowym środowiskom, gdy nie zerwał kontraktu na sprzedaż broni do tych krajów Bliskiego Wscho-



du, w których wciąż egzekwowaniem przepisów dotyczących społeczności wesołków i sodomitów zajmują się nie postępowi latarnicy, lecz zacofani kaci. Justinowi Trudeau wiele można jednak było wybaczyć.

Współczujący niczym kanclerz Niemiec Angela Merkel, z otwartymi ramionami witał rodziny syryjskich uchodźców, podczas gdy po obu stronach Atlantyku politycy pytali, czy przyjmowanie ogromnej rzeszy imigrantów jest aby na pewno bezpieczne. Z zasady nie wpuszcza co prawda do kraju samotnych mężczyzn, ale liberalne media i tak są zachwycone, bo robi wyjątek: otwiera granice dla tych potencjalnych terrorystów, którzy zadeklarują, że są homo-, bi- lub transseksualni.

CHUSTECZKA DLA PREMIERA

Nie tylko stara się pamiętać, aby ograniczać używanie dyskryminującego go zwrotu „panie i panowie”, ale jest



Justin Trudeau bardzo często płacze podczas publicznych przemówień (zdjęcie z parlamentu Kanady z 2017 r.)

FOT. CHRIS WATKIE/REUTERS/FORUM

tak wrażliwy i delikatny, że płacze jak mała dziewczynka niemal przy każdej możliwej okazji, zupełnie odrzucając przestarzały wzorzec męskiego przywódcy.

W listopadzie 2017 r. łykał własne łzy podczas historycznej przemowy w kanadyjskim parlamencie, przepraszając osoby ze społeczności LGBTQ2S. – Przepraszamy za gnębienie lesbijek, gejów, biseksualistów, zmiennopłciowych, osobliwości i osób podwójnie uduchowionych – mówił premier Kanady. – W imieniu rządu, parlamentu i narodu kanadyjskiego, przepraszamy i obiecujemy, że to się nigdy nie powtórzy – zapowiadał szef rządu, wycierając często chusteczką łzy ciekące po policzkach.

Tydzień wcześniej szef kanadyjskiego rządu postępowo mazgał się w jednej ze szkół w Nowej Funlandii, gdzie w imieniu narodu przepraszal dzieci autochtonów lub tzw. pierwszych narodów (czyli Indian, jak nazywano ich za czasów niepo-

prawnie politycznie rządów). Trudeau płakał też, gdy przytulał syryjskiego uchodźcę, a także gdy wspominał zmarłego na raka piosenkarza Gordona Downiego. Płkanie w świetle kamer tak bardzo weszło mu w krew, że niemal zapłakał na wieść o śmierci Fidela Castro. Tego gestu nawet wyrozumieli homoseksualiści mogliby nie zrozumieć, bo kubański dyktator gejów – niczym islamski przywódca – kazał po prostu mordować.

Przykładów jest tyle, że w Internecie powstały osobne strony pod hasłem „wszystkie przypadki, kiedy Trudeau płakał od momentu objęcia urzędu”. Amerykański prezydent Donald Trump opowiadał, że premier Kanady podczas rozmów z nim okazał się facetem „słabym”, „potulnym” i „łagodnym”, choć tuż po zakończeniu szczytu G7 premier Kanady ogłosił, że „nie wycofa się z celów odwetowych”.

– W piekle jest specjalne miejsce dla każdego przywódcy, który angażuje się

w dyplomację w złej wierze z prezydentem Donaldem J. Trumpem, a potem próbuje zadać mu cios w plecy – skomentował publicznie rozmowy przywódców doradca Donalda Trumpa ds. handlu Peter Navarro.

Sugerowanie, że Trudeau zawsze zachowuje się dwulicowo i potulnie, jest jednak dla niego krzywdzące. Szef kanadyjskiego rządu potrafi pokazać chart ducha w tak ważnych sprawach jak aborcja. Szkoda tylko, że jak – na sztandarową gwiazdę lewicy przystało – podkreśla wszem wobec, że przepisy zezwalające na zabijanie dzieci nienarodzonych to jedno z fundamentalnych praw współczesnych kobiet.

W 2017 r. w Międzynarodowym Dniu Kobiet premier Kanady Justin Trudeau zapowiedział więc, że w ciągu trzech najbliższych lat jego kraj przeznaczy 650 mln dol. na zwiększenie dostępu do aborcji w krajach rozwijających się. W styczniu zeszłego roku kierowany

■ przez Trudeau rząd federalny zapowiedział zaś wprowadzenie nowej polityki w ramach programu Canada Summer Jobs, zgodnie z którą dofinansowanie na prace wakacyjne dla uczniów przysługuje tylko pracodawcom oficjalnie popierającym „bezpieczną i legalną aborcję” oraz teorii tożsamości płci.

Gdy zaś jesienią zeszłego roku napastnik z satanistycznym symbolem na szyi zaatakował jedną z uczestniczek manifestacji w obronie życia i kopnął młodą kobietę na tyle mocno, że jego ofiara upadła na ziemię, kanadyjski premier – według portalu LifeSiteNews.com – odmówił potępienia ataku, choć wcześniej stanowczo potępiał „antymuzułmańskie zbrodnie nienawiści”.

Trudeau wywiązał się też z obietnicy zalegalizowania handlu marihuaną. Dzięki niemu Kanada stała się pierwszym krajem z grupy G7, który zalegalizował rekreacyjne używanie marihuany. Zgodnie z nowym prawem każdy pełnoletni Kanadyjczyk może posiadać 30 g marihuany oraz cztery krzaki konopi.

NACISKI I ŁAPÓWKI

Z roku na rok rosła jednak liczba osób, które zarzucały lewicowemu szefowi rządu, że zamiast zajmować się prawdziwymi problemami, skupia się wyłącznie na kreowaniu wizerunku. Już w grudniu zeszłego roku premier Kanady na widok sondaży mógł tylko po cichu pochlipać w chusteczkę. Odsetek pozytywnie oceniających go ankietowanych spadł z 63 proc. w 2015 r. do 35 proc. pod koniec roku 2018, a jego krytyków wzrósł odpowiednio z 29 do 58 proc.

W tym roku Justin Trudeau niespodziewanie stanął jednak w obliczu największego skandalu w swoim zawodowym życiu, który może go kosztować nie tylko wiele przepłakanych nocy, lecz także nawet utratę stanowiska premiera. Poważne problemy gwiazdora lewicy dotyczyły oskarżeń wobec niego i jego najbliższych ludzi o próby wywierania wpływu na prokuratora generalną. Chodzi o śledztwo w sprawie międzynarodowej firmy SNC-Lavalin oskarżanej o korupcję na gigantyczną skalę. Postępowanie prokuratorskie w sprawie zarzutów korupcyjnych w sprawie inżynierino-budowlanego giganta z Quebecu prowadzono od 2015 r. Pracownicy firmy mieli w zamian za kontrakty wręczać olbrzymie łapówki urzędnikom w Libii, a także w Indiach, Meksyku czy samej Kanadzie.

– Urzędnicy gabinetu premiera naciskali w sprawie dochodzenia dotyczącego firmy SNC-Lavalin – oznajmiła przed parlamentarną komisją była minister sprawiedliwości Jody Wilson-Raybould. W sumie między wrześniem a grudniem zeszłego roku aż 11 osób z otoczenia premiera, w tym sam szef kanadyjskiego rządu, mieli naciskać na Wilson-Raybould, aby kierowany przez nią resort nie naciskał na postępowanie karne w sprawie SNC-Lavalin, ale zgodził się na zawarcie ugody. Taki wariant byłby dla budowlanego giganta o wiele korzystniejszy m.in. dlatego, że wówczas na koncern nie zostałaby nałożona kara odsunięcia na dekadę od możliwości udziału w publicznych przetargach.

Wilson-Raybould miała zostać ostrzeżona przez samego premiera przed negatywnymi konsekwencjami wszczę-

Afera korupcyjna to niejedyna sprawa, która kładzie się cieniem na wizerunku „najwspanialszego liberała świata”

cia postępowania karnego dla rynku pracy w Quebecu, gdzie SNC-Lavalin daje pracę niemal 9 tys. osób. Gdy ostatecznie odmówiła spełnienia poleceń z góry, odebrano jej tekę szefowej resortu sprawiedliwości i przesunięto do ministerstwa weteranów. Po tej decyzji podała się do dymisji.

O co chodzi z taką troską rządzących o budowlanego giganta? Prawdopodobnie jak zwykle o władzę i pieniądze. Kłopoty wielkiej firmy budowlanej mogą bowiem pośrednio przełożyć się na kłopoty Partii Liberalnej, która bez publicznych kontraktów może niechętnie wspierać realizację przedwyborczych projektów. To zaś zmniejszyłoby szansę na reelekcję gwiazdora lewicy.

KONIEC KARIERY?

Natychmiast po ujawnieniu informacji o naciskach opozycja zażądała więc od szefa rządu ustąpienia ze stanowiska. Trudeau nadal jednak walczy. Ogólnokrajowy sondaż przeprowadzony pod koniec lutego na zlecenie dziennika „The Globe and Mail” pokazał jednak, że aż 46 proc. Kanadyjczyków uważa, że ich

kraj pod wodzą lewicowca radzi sobie gorzej niż wcześniej, a jedynie 22 proc. sądzi, iż Kanada pod rządami liberałów radzi sobie lepiej. Na taką ocenę mogła wpłynąć m.in. ocena polityki migracyjnej rządu: zdaniem aż 45 proc. ankietowanych Kanada przyjęła zbyt wielu uchodźców, ale głównie w wizerunek szefa rządu uderzyła właśnie afera łapówkarska.

Premier stracił zaufanie nie tylko wyborców, lecz także najbliższych współpracowników i dawnych przyjaciół. Z rządu odeszły dwie panie „ministery”: sprawiedliwości oraz skarbu. Gabinet opuścił także główny sekretarz i doradca premiera. Jak na Kanadę – gdzie dymisje na szczeblu federalnym zdarzają się wyjątkowo rzadko – jest to polityczne trzęsienie ziemi. Zwłaszcza że odchodzące osoby nawet nie próbują zasłaniać się „względami osobistymi”, lecz wprost dają do zrozumienia, iż odchodzą z rządu, bo ich zdaniem premierowi nie można już dłużej ufać.

„Przyjrzałam się wydarzeniom, które w ostatnich tygodniach wstrząsnęły naszym rządem federalnym i po poważnej refleksji doszłam do wniosku, że muszę zrezygnować z pracy w tym gabinecie. Nie wierzę już w to, że rząd właściwie zajmuje się tą sprawą” – napisała na początku marca była minister skarbu Jane Philpott na Twitterze.

Afera korupcyjna to niejedyna sprawa, która kładzie się cieniem na wizerunku „najwspanialszego liberała świata”. W marcu w wywiadzie dla „The Globe and Mail” deputowana Celina Caesar-Chavannes poskarżyła się, jak potraktował ją „premier feministą”, gdy powiadomiła go, że nie zamierza ubiegać się o kolejny mandat. – Krzyczał na mnie, że nie doceniam, ile dla mnie zrobił. Później przeprosił, ale nie pierwszy raz jego zachowanie było wyjątkowo nieprzyjemne – opowiadała deputowana. Trudeau miał zareagować tak ostro, bo był zaniepokojony, jak opinia publiczna odbierze fakt, że z otoczenia premiera odchodzi kolejna kolorowa kobieta.

Ostatnie afery znacząco pogorszyły wizerunek premiera u zdecydowanej większości Kanadyjczyków. Coraz więcej ankietowanych uważa więc, że ster kraju z rąk tęczowego Trudeau powinien przejąć np. 39-letni lider konserwatystów Andrew Scheer. Po październikowych wyborach do parlamentu federalnego Kanada może mieć już nowego, tym razem konserwatywnego premiera.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



RUCH ANTYDENTYSTYCZNY

Antyszczepionkowcy – było, płaskoziemcy – było. Jest jednak nowość. Po publikacji w Internecie dokumentalnego filmu, opartego na badaniach sprzed 100 lat (już dawno obalonych na gruncie naukowym), rośnie grupa osób przekonanych, że leczenie kanałowe zębów jest straszne i m.in. zwiększa ryzyko zachorowania na raka (choć w świetle badań naukowych akurat zmniejsza to ryzyko). W przypadku tej teorii dużo łatwiej rozpoznać jej zwolenników – wolą ekstrakcję od leczenia zębów.

FOT. ADAM PIETSCH

BUNT W TEATRZE

Aktorzy Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego im. Maksyma Gorkiego nie wykluczają strajku przeciw dyrektorowi artystycznemu placówki. Powód jest ważny – nowy dyrektor śmiało ogłosić zakaz picia alkoholu i palenia papierosów w pracy. Zawiesił już nawet jednego z aktorów, od którego w windzie poczuł zapach alkoholu. Na nic zdały się tłumaczenia artysty, że wypił zaledwie setkę koniaku, i to w celach zawodowych – „na rozgrzanie strun głosowych”.

HIPSTERSKA ESENCJA

Pismo „Massachusetts Institute of Technology” opublikowało badanie dotyczące hipsterów. Jego autorzy dowodzą, że ludzie kontestujący mainstream wpadają w pułapkę i w konsekwencji sami zaczęli tworzyć masę takich samych osób, które nawet w wyglądzie są do siebie podobne. Jeden z takich hipsterów oburzył się, że przy publikacji artykułu wykorzystano przedstawiającą go fotografię. Redakcja czasopisma sprawdziła w agencji, od której kupiła zdjęcia, kto był ich modelem. Okazało się, że nie był nim

ten, który oburzył się, iż wykorzystano jego wizerunek.

ZABAWY Z BRONIĄ

Funkcjonariusze policji w Paryżu oprócz strzelania do ludzi protestujących w żółtych kamizelkach zajmują się też strzelaniem do samych siebie. 27-letnia funkcjonariuszka zginęła podczas „zabawy” z 28-letnim partnerem ze służby. Celowali do siebie z pistoletów. Jeden z nich wypalił i kula trafiła policjantkę w głowę. Uczestnik „zabawy”, który przeżył, został zatrzymany. Prokuratura wszczęła w tej sprawie śledztwo.

ARESzt ZA OŚWIADCZYNY

Pewien Irańczyk chciał zaskoczyć swoją dziewczynę i oświadczył się jej publicznie w centrum handlowym w mieście Arak. Film z tego wydarzenia ktoś wrzucił do sieci. Dziewczyna oświadczyły przyjęła, przytuliła się. Chwilę potem oboje zostali jednak zatrzymani przez policję za „nieprzyzwoite zachowanie w miejscu publicznym”. Po przesłuchaniu zostali wypuszczeni za kaucję. ©©

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Budowanie domu od komina



ŁUKASZ WARZECHA

Bardzo podoba mi się pomysł z sędziami pokoju, którzy na zasadach słuszności i zdrowego rozsądku mieliby orzekać w drobnych sprawach. Ma to być kolejny etap reformy wymiaru sprawiedliwości.

Nie zaskakuje mnie sprzeciw części środowiska sędziowskiego. Ustanowienie wybieranych przez obywateli sędziów pokoju to uderzenie w mit o prawniczej wiedzy tajemnej i o tym, że w osobach sędziów objawiają się kapłani jakiegoś wyższego porządku. Uderzenie w szczególnie hołubione przez sędziów przekonanie o wyjątkowości i niezgłębionej

mądrości ich zawodowej kasty. Jeśli sędziów oburza zapowiedź Ministerstwa Sprawiedliwości, że sędziowie pokoju mieliby orzekać na podstawie zdrowego rozsądku, to odpowiadam: gdybyście wy, sędziowie, częściej kierowali się właśnie zdrowym rozsądkiem (w ramach przepisów prawa, rzecz jasna), to wasza sytuacja i opinia o was mogłyby być zupełnie inne. Ale skoro wydajecie wyroki takie jak ten o niskiej szkodliwości społecznej blokowania legalnego marszu narodowców, bo narodowcy są brzydki – to się nie dziwie.

Problem z zapowiadaną reformą jest jednak przede wszystkim

taki, że ta zmiana – pierwsza, która realnie miałaby wpływ na praktyczne funkcjonowanie sądownictwa na najniższym poziomie – jest dopiero w planach i miałaby być wprowadzana po ciągnącym się kilka lat niszczącym sporze o sądy, którego kontekst był czysto polityczny. Gdyby od sędziów pokoju i podobnych rozwiązań zaczęto reformę sądownictwa, wyglądałoby to inaczej. Dzisiaj trudno ufać, że to pomysł serio i że cokolwiek z niego wyjdzie. Szkoda, że w przypadku reformy sądów zaczęto budowanie domu od komina zamiast od fundamentów. ©©

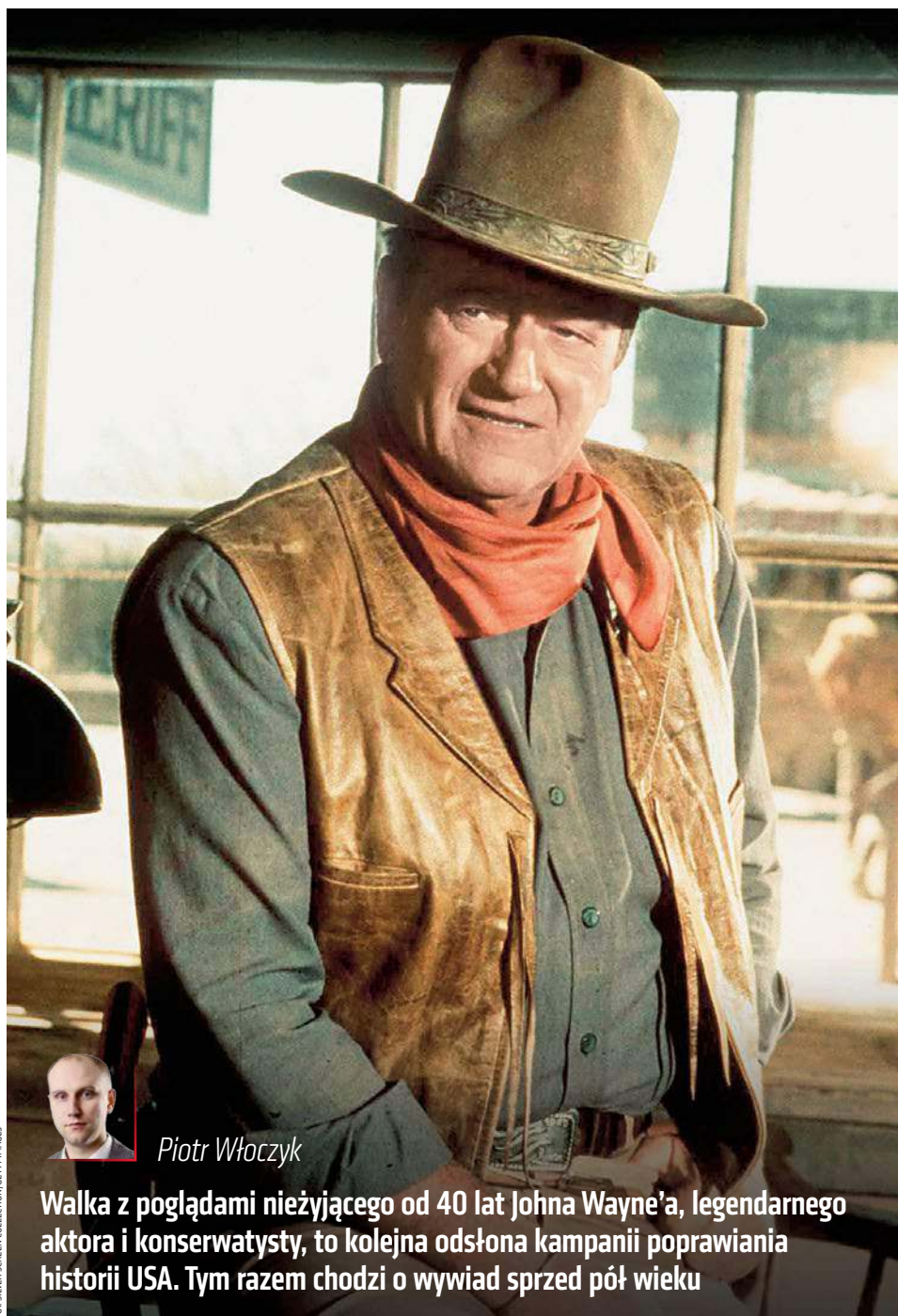
John Wayne ma tu ponad trzy metry i dumnie kroczy do przodu z prawą ręką gotową w każdej chwili chwycić za rewolwer. Taki właśnie posąg stoi wewnątrz terminala John Wayne Airport, dużego lotniska międzynarodowego. Port obsługuje mieszkańców hrabstwa Orange, leżącego między Los Angeles a San Diego. Przez 30 lat John Wayne w nazwie lotniska oraz jego pomnik nie były żadnym problemem. Nagle jednak część amerykańskiej lewicy odkryła, że Wayne to „rasista” i „homofob”, w związku z czym nie godzi się, by taki człowiek był patronem lotniska.

Najciekawsze jest to, że rozmowa, która stała się pretekstem do całej przedziwnej batalii, nie ukazała się w jakimś podziemnym piśmie Ku Klux Klanu, które wychodziło w nakładzie kilkuset sztuk. Żaden dociekliwy dziennikarz śledczy czy badacz nie musiał wyciągać tego wywiadu spod ziemi.

Został on bowiem świetnie nagłośniony już 48 lat temu. Na okładce „Playboya” z maja 1971 r. swoje wdzięki prezentuje modelka w rozpiętym stroju do nurkowania, a obok niej redakcja wybiła zajawki trzech najważniejszych materiałów, wśród nich: „Szczery wywiad z Johnem Wayne’em”.

Słynny aktor powiedział w nim m.in.: „Uważam, że biali powinni rządzić do momentu, aż czarni wyedukują się na tyle, aby stać się odpowiedzialnymi. Nie uważam, że można oddawać władzę i stanowiska przywódcze nieodpowiedzialnym ludziom”. Wayne powiedział też przy tej okazji, że bardzo nie podoba mu się przyznawanie czarnoskórym specjalnych preferencji w naborze na studia. Dodał też jednak, że jeżeli w scenariuszu ma czarną postać, to zawsze sięga po czarnego aktora, zamiast korzystać z usług odpowiednio ucharakteryzowanego białego. Ponadto Wayne stwierdził, że skoro w społeczeństwie jest 10 proc. czarnych, to w filmach powinni oni być obecni na tym samym poziomie, co wygląda wręcz jak parytet – ten wątek nie został jednak, co zrozumiałe, nagłośniony.

Na pytanie, które filmy uważa za „zboczone”, Wayne wymienił m.in. „Nocnego kowboja”. Głównych bohaterów nazwał „pedałami” („fags”). Dodał też, że w filmach powinny pojawiać się sceny miłosne między mężczyznami a kobietami. Nazywał to „zdrowym” seksem. Co ciekawe, dziennikarz „Playboya” ani słowem nie zareagował na słowo „pedały” ani nie potępił uwagi, że stosunki heteroseksualne to ten „zdrowy seks”.



Piotr Włoczyk

Walka z poglądami nieżyjącego od 40 lat Johna Wayne’a, legendarnego aktora i konserwatysty, to kolejna odsłona kampanii poprawiania historii USA. Tym razem chodzi o wywiad sprzed pół wieku

Boje z kowbojem

Pytany o miejsce rdzennych mieszkańców USA w ówczesnej Ameryce aktor odpowiedział: „Nie wydaje mi się, że zrobiliśmy cokolwiek złego, zabierając ten wspaniały kraj Indianom. Ta nasza tzw. kradzież kraju z ich rąk była kwestią przetrwania”.

Wywiad dla „Playboya” (pismo ukazywało się wówczas w nakładzie ponad 5 mln egzemplarzy) nie zbulwersował ówczesnej Ameryki, nie był szeroko komentowany, a Wayne przez kolejne lata spokojnie sobie grał w hollywoodzkich hitach.

HAŃBA ZA MIĘSO

Sprawę na nowo odgrzął Matt Williams, amerykański scenarzysta filmowy, który ni stąd, ni zowąd wrzucił pod koniec lutego fragmenty wywiadu na Twittera, opatrując je komentarzem: „Jezus, kur...a, John Wayne był po prostu kupą gów...a”.

Jego tweet błyskawicznie rozszedł się po lewej stronie amerykańskiego Twittera. Po komentarzach widać, jak wielu młodych Amerykanów o liberalno-lewicowych poglądach ze zdziwieniem i z obrzydzeniem przyjmowało to, że człowiek urodzony na początku XX w. (Wayne przyszedł na świat w 1907 r.) miał poglądy, których dziś raczej nie spotka się w mainstreamie.

Krytycy takich zabiegów uciekali się w komentarzach pod tweetem głównie do kpin w stylu: „Teraz to już nikt go nie zatrudni”, „Bojkotuję jego filmy dopóty, dopóki nie przeprosi”, „Ciężko uwierzyć, że ludzie w tamtych czasach mieli poglądy z tamtych czasów. Ciekawe, z jakiego powodu przyszłe pokolenia będą obalały nasze pomniki (a na pewno będą to robiły)? Zgaduję, że z powodu tego, iż jemy mięso”.

Siłą rzeczy atak na Wayne’a wielu pracowniczym komentatorom od razu skojarzył się z kampanią usuwania pomników bohaterów konfederacji, która od kilku lat jest prowadzona w południowych stanach.

Dyskusja szybko przeniosła się z Twittera do największych amerykańskich mediów. Ton nadał jej Michael Hiltzik, publicysta poczytnego kalifornijskiego dziennika „LA Times”, który napisał tekst zatytułowany: „Czas usunąć Johna Wayne’a z nazwy lotniska hrabstwa Orange”.

„Hrabstwo Orange jest dziś tak ekonomicznie i etnicznie zróżnicowaną społecznością – napisał publicysta – że trudno uzasadnić wymagania od jego mieszkańców, by wsiadali do samolotów na lotnisku noszącym nazwę niebываłego rasisty i homofoba, którego pomnik pysznie stoi w centralnym miejscu terminala”.

Hiltzik przekonywał potem podczas debaty na antenie CNN, że takie symboliczne pozbycie się „balastu z przeszłości” będzie dobrze oddawało ducha dzisiejszego „progresywnego” charakteru hrabstwa Orange.

– John Wayne to bohater dzieciństwa wielu z nas, takie poprawianie historii to po prostu szaleństwo. Gdzie to ma nas zaprowadzić? Ile jeszcze pomników lewica chce obalić? – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Mike Munzing, republikański polityk z hrabstwa Orange. – Jak można wyciągać fragmenty wywiadu udzielonego pół wieku temu i przyglądać się im pod kątem dzisiejszych standardów, tak często skrępowanych polityczną poprawnością? To szaleństwo przybiera coraz dziwniejsze formy. Ja w każdym razie nie wyobrażam sobie, żeby ktoś zmieniał nazwę naszego lotniska i pozbawiał Johna Wayne’a tego zaszczytu.

Mike Munzing zwraca uwagę, że jeżeli podobnie „prześwieciłoby” się wypowiedzi i czyny innych dawno już nieżyjących znanych Amerykanów, to mało kto sprostałby dzisiejszym standardom. Przykładowo zarówno George Washington, jak i Thomas Jefferson mieli niewolników, a co za tym idzie – nie potępiali otwarcie tego systemu, Franklin Delano Roosevelt ma na koncie wypowiedzi, które dziś mogłyby zostać uznane za jawny antysemityzm, ale historycznej gumce poprawności politycznej nie uciekła by nawet ikona walki o prawa obywatelskie – Martin Luther King. M.L.K. (zamordowany w 1968 r., trzy lata przed wywiadem Wayne’a dla „Playboya”) sugerował bowiem, że dzięki pomocy psychiatrycznej można przestać być homoseksualistą. Oczywiście trudno sobie wyobrazić, by amerykańska lewica chciała zrobić z opiniami M.L.K. to samo, co robi z poglądami Wayne’a.

Co ciekawe, to nie pierwszy raz, kiedy wywiad z „Playboya” został „odkryty” jako dowód na zhańbienie nazwiska Wayne’a. Już w 2016 r. demokraci „przypomnieli” sobie o słowach aktora, akurat gdy Aissa Wayne, córka gwiazdora, postanowiła poprzeć Donalda Trumpa. Jednak najnowsze „odkrycie” rozmowy Wayne’a z „Playboyem” stało się dużo głośniejsze, niewątpliwie z uwagi na postulat zmiany nazwy lotniska.

W dyskusji na antenie CNN brał również udział syn legendarnego aktora, który zresztą uprawia ten sam zawód. Z widocznym zażenowaniem tłumaczył, że wracanie do wywiadu sprzed niemal pół wieku jest kompletnym bezsenssem. „Nazwali to lotnisko po moim ojcu z tego samego powodu, dla którego Kongres przyznał

mu Złoty Medal Kongresu, a prezydent dał mu Prezydencki Medal Wolności. Było to uznanie jego życiowych, wielkich zasług dla kraju, społeczności lokalnej i przemysłu filmowego” – podkreślał Ethan Wayne.

NA CELOWNIKU STALINA

Ostatnie ataki na legendarnego aktora wynikają oczywiście z tego, że John Wayne to wyśmienity cel dla amerykańskiej lewicy. Aktor jest bowiem jedną z ikon amerykańskiego konserwatyzmu.

Ten zagorzały zwolennik Partii Republikańskiej (choć zdarzało mu się też popierać Roosevelta i Trumana) był współtwórcą Sojuszu Filmowców na rzecz Zachowania Amerykańskich Idełów, a w latach 1949–1953 kierował tą organizacją. Jednym z jej członków był Ronald Reagan. Sojusz dbał generalnie o to, by w amerykańskich filmach nie były prezentowane w pozytywnym świetle wartości „nieamerykańskie”, czyli po prostu komunizm i socjalizm. Trudno się więc dziwić, że organizacja była znienawidzona przez amerykańską lewicę.

Niedawno się okazało, że zaangażowanie Wayne’a mogło się dla niego skończyć bardzo źle. Jak ustalił brytyjski historyk Simon Sebag Montefiore, Stalin – choć uwielbiał westerny – poważnie myślał o zorganizowaniu zamachu na Wayne’a.

Aktor, znany z dziesiątków westernów, m.in. „Dyliżans” i „Rio Bravo”, współtworzył też filmy, które miały utrzymywać w narodzie hart ducha i jasno pokazywać, jak wygląda stawka walki z komunizmem. W obrazie „Big Jim McLain” (1952) Wayne wcielił się w rolę śledczego ścigającego w USA agentów Związku Sowieckiego. Z kolei w „Zielonych беретach” (1968, Wayne wyreżyserował ten obraz, a jego najstarszy syn był producentem) jednoznacznie pokazywał wojnę w Wietnamie jako antykomunistyczną krucjatę. Film okazał się zresztą dużym sukcesem finansowym – zarobił prawie pięć razy tyle, ile kosztował.

Wayne był niezwykle pracowity, zagrał w sumie w 157 filmach (z czego w 142 grał rolę pierwszoplanową). W 1970 r., po 20 latach, od kiedy zdobył pierwszą i jedyną nominację, dostał w końcu Oscara za pierwszoplanową rolę męską w filmie „Prawdziwe męstwo”.

Jak głosi anegdota, gdy znajomi politycy republikańscy zachęcali go, żeby serio pomyślał o wejściu do wielkiej polityki, Wayne żartował, że przecież wyborcy nigdy nie wybiorą aktora do Białego Domu.

ТЕЛЬ-АВИВ

РОССИЯ 1 HD
ПРЯМОЙ ЭФИР



Izraelsko-rosyjski antypolonizm



Maciej Pieczyński

Tel Awiw i Moskwa o historii II wojny światowej mówią niemal jednym głosem. Z obu perspektyw Armia Czerwona jawi się jako wyzwoliciel spod okupacji pozbawionych przynależności narodowej „nazistów” oraz obrońca przed „polskim antysemityzmem”

Piętno współpracy z nazistami nie jest jednym problemem Polaków. Z nazistami kolaborowali też mieszkańcy państw bałtyckich czy banderowcy. Natomiast Polacy zhańbili się dodatkowo mordami na Żydach. Pół miliona Żydów zostało zamordowanych przez samych Polaków! Nie przez Niemców, a przez Polaków! – grzmiała na antenie państwowej telewizji „Rossija 1” Jakow Kedmi, przedstawiony jako „izraelski działacz społeczny”. Cytowana wypowiedź padła w audycji Władimira Sołowjowa, jednego z najpopularniejszych i najbardziej bezwzględnych propagandzistów kremlowskich, ulubieńca samego Putina.

W tej alternatywnej wersji historii, kreślonej przez „izraelskiego społecznika”, II Rzeczpospolita była „państwem antysemitycznym”, którego obywateli od dziecka, pod auspicjami państwa i Kościoła, wychowywano w „nienawiści do Żydów”. „To, że w Polsce było tych 6–7 tysięcy Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, wspaniałych ludzi, którym kłaniamy się w pas za to, co zrobili, by ratować Żydów, nie może być okolicznością łagodzącą dla pozostałych ponad 30 milionów Polaków, którzy zajmowali się wyłącznie grabieżą i mordowaniem Żydów!” – perorował Kedmi. Jego tyrada okazała się zbyt polakożercza nawet dla prowadzącego. Sołowjow wyraził

wątpliwość, czy aby zasadne jest obwinianie całego narodu o zbrodnie nielicznych – i tego typu oskarżenia porównał do stosowania odpowiedzialności zbiorowej wobec Żydów i Sowietów. Jednocześnie co do zasady się zgodził.

Według Sołowjowa bowiem „wzrost antysemityzmu obserwujemy dziś w całej Europie: w Niemczech, we Francji, w Polsce, Szwecji nastroje antyżydowskie podsycają zarówno ruchy ultraprawicowe, jak i islamscy imigranci”.

Biorąc pod uwagę, że taka retoryka jest typowa dla kremlowskiej narracji, można by powiedzieć, iż jedyne, co rosyjską propagandę odróżnia od zachodnioeuropejskiego przekazu lewicowo-liberalnego, to bardziej krytyczny stosunek do muzułmanów.

„POLACY POWINNI SIĘ ZAMKNAĆ I BŁAGAĆ O WYBACZENIE”

Jakow Kedmi często występuje w rosyjskich mediach państwowych. Nie jest jednak zwykłym „działaczem społecznym”. To izraelski dyplomata, doświadczony w relacjach Tel Awiwu z Moskwą. Był szefem służby specjalnej Nativ, utworzonej na początku lat 90., aby utrzymywać kontakt z Żydami w byłym ZSRS i sprowadzać ich do Izraela. Niezmiennie uważa, że Polacy powinni „się zamknąć, paść na kolana” i błagać o wybaczenie, które – jak wynika z jego słów – i tak nie byłoby im dane.

Dla izraelskich i rosyjskich polonofobów pokroju Jakowa Kedmiego czy Władimira Sołowjowa niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie rzekomego polskiego współudziału w Holokauście jest Jan

Tomasz Gross. W jednej z audycji obaj jednym głosem reklamowali „Złote żniwa” jako swoistą „prawdę objawioną” na temat relacji polsko-żydowskich. Zatroškany Sołowjow, znany raczej z agresji niż wrażliwości, wyznał, że po lekturze książki Grossa przez dwa dni nie mógł zasnąć. Przy czym Kedmi łaskawie przyznaje, że Polacy byli również „ofiarami nazistów”. Jednak – pyta z oburzeniem – „kto ich przed nazistami uratował?! I co Polacy robią dziś z pamięcią o swoich wyzwolicielach?!”. I tu polityka historyczna Rosji i Izraela znajduje wspólny mianownik – kult Armii Czerwonej. I nienawiść do Armii Krajowej, którą Kedmi – zgodnie z przekazem rosyjskiej propagandy – nazywa „antysemicką organizacją”, skupioną na walce z komunistami, nie z „nazistami”.

„POLSCY SOJUSZNIKY HITLERA”

„Patrzcie go: potomek szlachty się obraził” – tak o polskim premierze mówił z sarkazmem Armen Gasparian, publicysta Sputnika, wyjątkowo radykalny i wulgarny polonofob. Komentarz dotyczył podjętej przez Mateusza Morawieckiego decyzji o odwołaniu udziału polskiej delegacji w szczycie V4, podjętej w reakcji na skandaliczne słowa Izraela Katza. Gasparian broni szefa izraelskiego MSZ i zgadza się z nim w całej rozciągłości. Według rosyjskiego publicysty Morawiecki „zapomniiał, że ponad 600 tys. Polaków służyło w oddziałach Wehrmachtu”. To prymitywne kłamstwo. Liczba Polaków wcielonych – w większości przymusowo, co Gasparian celowo pomija – do armii Hitlera była o połowę mniejsza, a spory ich odsetek zdezerterował i dołączył do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, by następnie walczyć z Niemcami. Poza tym rosyjski propagandzista nie wspomina ani słowem o milionach czerwonoarmistów, którzy przeszli na stronę niemieckiego najeźdźcy.

Rosjanie, dziś prezentujący postawę jedynych na świecie antyfaszystów i obrońców Żydów, po goebbelsowsku utrzymują jakoby Stalin nigdy nie był sojusznikiem Hitlera. A Izrael zazwyczaj tej propagandzie potakuje. Armen Gasparian twierdzi też kłamliwie, że istniały „polskie oddziały SS”. Jak wiadomo, akurat pod tym względem byliśmy chlubnym wyjątkiem na tle krajów okupowanej Europy.

Polaków Gasparian nazywa „oligofrenami”, cierpiącymi na „wieczny kompleks niedorobionego imperium”. Publicysta jest zresztą autorem książki pod wiele mówią-

cym tytułem „Łoż` pospolita” (ros. „Kłamstwo pospolite” – przeróbka nazwy państwa „Rzeczpospolita” – ros. „Rieczpospolitaja”). Rosyjski polonofob wychwala pod niebiosa politykę historyczną Izraela – „państwa, które w odróżnieniu od obecnej Europy bardzo dobrze pamięta, czym była II wojna światowa i kto konkretnie pomagał Niemcom mordować Żydów”.

Izrael i Rosję łączy antypolonizm, logicznie wynikający ze wspólnoty propagandowych interesów w sferze polityki historycznej. Swego czasu z rosyjskich mediów można się było dowiedzieć, że Kneset wspólnie z Dumą potępił nowelizację ustawy o dekomunizacji, przewidującą likwidację pomników Armii Czerwonej. Istotnie, izraelski parlament omówił kwestię „negowania zwycięstwa Armii Czerwonej nad nazistowskimi Niemcami”. Podczas debaty była mowa o wizycie, którą w tej sprawie złożył w Moskwie przewodniczący Knesetu. Jednak deklaracje obu parlamentów różniły się od siebie. W dokumencie Dumy była mowa o polskim ustawodawstwie. Kneset natomiast konkretnie o Polsce nie wspomniął. Tak czy inaczej faktem jest, że izraelska opinia publiczna często wyraża wdzięczność dla Armii Czerwonej za pokonanie Hitlera, a w szczególności za wyzwolenie obozów koncentracyjnych (wbrew ahistorycznej tezie Grzegorza Schetyny Auschwitz wyzwolili żołnierze sowieccy, nie zaś ukraińscy...). A rosyjska propaganda bardzo chętnie wykorzystuje te sentymenty. Dla obu stron Polska jest wygodnym przeciwnikiem. We wzajemnie się uzupełniającej, rosyjsko-izraelskiej narracji wszystko składa się w logiczną całość. Polacy „wyssali antysemityzm z mlekiem matki”, mordowali Żydów we współpracy z nazistami (rzadko utożsamianymi z Niemcami), a następnie, gdy zostali spod okupacji owych nazistów „wyzwoleni” przez Sowietów, nie potrafili im okazać wdzięczności. A przecież antysemitom, „niewdzięcznym barbarzyńcom”, burzącym pomniki pogromców nazizmu, niezwykle łatwo jest przykleić łatkę „faszystów” czy „neonazistów”.

SOWIECKI PILECKI

Dzisiejszy Izrael tworzą w dużej mierze dawni obywatele Związku Sowieckiego, którzy od antysemickiej nagonki roku 1968 wolą Moskwie pamiętać Dzień Zwycięstwa nad Hitlerem. Widać to wyraźnie na łamach izraelskich mediów rosyjskojęzycznych. O „istnym wybuchu

antysemityzmu w Polsce” pisał Itamar Ejchner na łamach tygodnika „Wiesti”.

Beniamin Netanjahu częściej odwiedza Moskwę niż Waszyngton. Z Władimirem Putinem zdecydowanie łączy go pogląd na historię. Na mocy podpisanego latem 2017 r. porozumienia Rosja wypłaca emerytury obywatelom Izraela, którzy w czasie „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej” służyli w szeregach Armii Czerwonej. Gdy Netanjahu osobiście dziękował Putinowi za ten wspaniałomyślny gest, rosyjski prezydent skromnie odparł z patosem, że to dla niego „święta sprawa”. Naród Izraela, jak zapewnił premier tego kraju, nigdy nie zapomni „historycznej roli, jaką Rosja i armia sowiecka odegrały w zwycięstwie nad faszyzmem”. Tym samym Tel Awiw „nie może się sprzeciwiać rosyjskiemu udziałowi w ważnym projekcie na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Sobiborze”.

Spór w tej sprawie trwa od lat. Polska, Holandia, Izrael i Słowacja są zaangażowane w budowę nowego muzeum na terenie dawnego obozu w Sobiborze. Do komitetu organizacyjnego chciała dołączyć także Rosja, oferując wkład nie tylko symboliczny, lecz także finansowy. Spotkała się jednak z odmową. W październiku 1943 r. w tutejszym obozie zagłady wybuchło powstanie, na którego czele stanął por. Aleksander Pieczerski, oficer Armii Czerwonej żydowskiego pochodzenia. Bunt zakończył się częściowym powodzeniem. Z obozu uciekło kilkudziesięciu więźniów. Wśród nich Pieczerski, który, zgodnie z sowieckimi standardami, po powrocie do „czerwonej ojczyzny” został uznany za zdrajcę. Ostatecznie ZSRS rozpoznał w nim bohatera. Dzisiaj tworzy wokół niego kult, na podobieństwo „sowieckiej wersji Witolda Pileckiego”. W 2018 r. na ekrany kin – także w Polsce – wszedł film „Sobibor” w reżyserii Konstantina Chabińskiego.

A jednak nawet ten wymowny fakt z historii II wojny światowej nie zawsze łączył Rosję i Izrael. Zanim jeszcze Netanjahu porozumiał się z Putinem, Tel Awiw początkowo poparł ideę wykluczenia Moskwy z projektu budowy muzeum w Sobiborze. Maria Zacharowa zarzuciła wówczas Izraelowi „zdradę”. A zatem jest miejsce, by wcisnąć klin pomiędzy te dwie antypolskie narracje. Muzeum w Sobiborze wciąż jeszcze jest w fazie przygotowań.

Pozostaje przedstawić rzetelnie opowieść o sowieckim oficerze żydowskiego pochodzenia, który uciekł z niemieckiego obozu na terenie okupowanej przez Niemców Polski...



Teresa Stylińska

Czy brexit może być przedmiotem nowego referendum? Chociaż w ostatnim dniu serii brexitowych debat i głosowań Izba Gmin odrzuciła wniosek w tej sprawie, droga ku referendum wcale nie jest zamknięta

Wszystko wskazuje na to, że to, co się stało, to raczej element taktycznej, dość pokrętniej gry Jeremy'ego Corbyna, lidera Partii Pracy, którego nieskrywanym celem jest doprowadzenie do nowych wyborów.

Sytuacja przedstawia się tak: Jeremy Corbyn, choć długo unikał zajęcia jednoznacznego stanowiska, ostatnio popiera ideę nowego referendum. Pod koniec lutego zapowiedział, że jeśli parlament po raz kolejny nie zaakceptuje umowy brexitowej, to labourzyści złożą wniosek w tej sprawie. Nie złożyli. Za to gdy 14 marca niespodziewanie wystąpiła z nim Sarah Wollaston z nowej Grupy Niezależnych – antybrexitowców, którzy odeszli ze swych partii – Corbyn zarządził wstrzymanie się Partii Pracy od głosu. Ponad 40 labourzystów złamało wprowadzone dyscyplinę – część głosowała za, część przeciw – ale nie mogło to mieć wpływu na wynik. Wniosek przepadł z kretesem, za to Jeremy Corbyn po głosowaniu bez żenady oświadczył, że w sprawie brexitu jak najbardziej popiera głosowanie powszechne!

Nawet nikła perspektywa nowego referendum niesłuchanie rozpala emocje, bo referendum to głos ludu. Nie zawsze brzmi on czysto, bo na opinie ludu, zdaniem specjalistów, nie tak trudno jest wpływać. Czy jednak, przy wszelkich zastrzeżeniach, można ten głos zlekceważyć?

Chociaż godzina zero, 29 marca, jest już – już, Wielka Brytania nadal więc tkwi na krawędzi, na której balansuje od miesięcy. I nie sposób przewidzieć, co będzie dalej. Izba Gmin wykluczyła już wariant określany jako „no deal”, czyli wyjście z Unii bez umowy, poparli także przesunięcie terminu brexitu. „No deal” to jego najbardziej radykalna wersja, ale i bez tego cały brexit jest jednym wielkim skokiem w nieznane.

Skoro jednak porozumienie musi być, to kolejne głosowanie – którego wynik w chwili zamykania tego numeru „Do



FOT. HANDOUT/REUTERS/FORUM

Ile znaczy słowo ludu

Rzeczy” nie był znany – rozstrzygnie, czy Londyn zechce zwrócić się do Brukseli o przesunięcie terminu. Na negocjowanie nowej umowy po prostu brakuje już czasu. W dwa tygodnie nie da się zrobić tego, co się nie udało przez blisko dwa lata.

GŁOS PANI PREMIER

W sprawach związanych z brexitem trudno zresztą o jasność. Zamęt na tym polu jest tak wielki, że doprawdy niełatwo jest się w tym rozeznać. Czy naprawdę winę za to ponosi, krytykowana przez wielu, premier Theresa May? Jej sytuacja jest przecież arcytrudna. W historii Wielkiej Brytanii nie było szefa rządu, który musiałby działać w równie skomplikowanych warunkach, i nawet Winston Churchill mógłby się potknąć.

Zachrypnięty, z powodu bólu gardła, głos Theresy May, gdy 12 marca wystę-

powała przed Izbą Gmin, prezentując poprawki wniesione do porozumienia i przekonując, że lepszego niż to nie da się zawrzeć, jest jak symbol trudów na drodze do brexitu. Pani premier porusza się w istnym gąszczu zagadnień, układów i postaw, w którym nic nie jest oczywiste. Partie polityczne, łącznie z jej własną, są rozdarte podziałami; w każdej są zwolennicy i przeciwnicy brexitu, w każdej ścierają się poglądy na temat sensu bądź też nonsensu organizowania nowego referendum czy na temat granicy irlandzkiej. Umowa brexitowa przepada nie dlatego, że obiektywnie jest nieudana (to jest zupełnie inna kwestia), ale dlatego, że zastrzeżenia wobec niej są formułowane z każdej strony. Jedni są niezadowoleni, bo Wielka Brytania będzie zbyt blisko Unii, inni – bo zbyt daleko. Porozumienie nie zadowala nikogo. Te podziały wcale nie są proste. Zdeklarowani

brexitowcy, tacy jak ekszef dyplomacji Boris Johnson i minister handlu międzynarodowego Liam Fox, zadowoleni z wyniku referendum z czerwca 2016 r., nie widzą oczywiście potrzeby, by Brytyjczycy mieli wypowiadać się raz jeszcze. Jednak nawet wśród tzw. Remainers, czyli zwolenników pozostania w Unii, nie wszyscy popierają ideę ponownego głosowania. „To by tylko pogłębiło już i tak istniejące podziały” – uważa np. labourzystka Angela Rayner, minister edukacji w gabinecie cieni. I dodaje, że byłoby to jawnym pogwałceniem zasad demokracji.

Chociaż nie wiadomo, czy w ogóle dojdzie do nowego referendum, już teraz – to znamienne – politycy i komentatorzy snują rozważania, jak powinno ono wyglądać. Tematem batalii byłoby przede wszystkim sformułowanie pytań. Sprawa, wbrew pozorom, wcale nie jest oczywista, a to dlatego, że tak naprawdę głosowanie może dotyczyć dwóch całkiem różnych kwestii.

TRZY W JEDNYM

Pierwsza to pytanie, czy Brytyjczycy akceptują warunki, na jakich ich kraj ma opuścić Unię Europejską – a zatem jest to pytanie o treść wynegocjowanej umowy. Druga dotyczy fundamentalnej kwestii, czy w ogóle chcą oni być w Unii. Może po blisko trzech latach od pamiętnego referendum, które przewodniczący Partii Konserwatywnej Brandon Lewis nazwał „największym demokratycznym głosowaniem w historii Wielkiej Brytanii”, zmienili zdanie i dziś już woleliby z Unii nie wychodzić.

Żeby obraz był pełny, dodajmy, że nie brakuje sugestii, by połączyć te odmienne przecież kwestie w jednym głosowaniu. W takich pomysłach trudno doszukać się spójności i typowego dla referendum jasnego wyboru między „tak” i „nie”, ale ich inicjatorzy wolą tego nie dostrzegać. People’s Vote – luźna organizacja od blisko roku prowadząca kampanię na rzecz powtórzenia referendum – proponuje np. wybór między umową brexitową wynegocjowaną przez rząd a pozostaniem w Unii. Jeszcze dalej idzie Justine Greening z Partii Konserwatywnej, eksminister (w rządach zarówno Davida Camerona, jak i Theresy May), według której pytanie referendalne powinno prezentować trzy możliwości: umowa – wyjście bez umowy – pozostanie w Unii.

Dlaczego tak się dzieje? Wielu uczestników obecnych dyskusji uważa, że opcja

„pozostania w Unii” nie może zostać pominięta, nawet gdyby punkt wyjścia referendum stanowiła treść umowy brexitowej. To właśnie budzi największe wątpliwości, wygląda bowiem jak ostatnia deska ratunku dla przeciwników brexitu, którzy za wszelką cenę chcą odwrócić wynik referendum sprzed trzech lat, gdy, przypomnijmy, blisko 52 proc. Brytyjczyków poparło opuszczenie Unii.

LEKCJA Z BRUKSELI

Zwolennicy powtórnego referendum przyswoili sobie brukselską lekcję. Mówi ona, że jeśli naród nie głosuje tak, jak powinien, to głosowanie należy powtórzyć, a przedtem naciskać, naciskać i jeszcze raz naciskać, by ludzie zmienili zdanie. Jednak nie każdy naród nadaje się na obiekt takich socjotechnicznych zabiegów – mały tak, ale duży i liczący się już nie. Gdy w 2005 r. Francuzi i Holendrzy odrzucili projekt konstytucji europejskiej, instytucje unijne zostawiły ich w spokoju. Gdy jednak mała Irlandia odrzucała w referendach kolejne traktaty europejskie, za każdym razem organizowano ponowne głosowanie, by osiągnąć prawidłowy wynik. Straszenie konsekwencjami przynosiło efekty.

Antybrexitowcy argumenty czerpią z sondaży, z których wynika, że pozostanie w Unii ma dziś przewagę nad opcją wyjścia. Nie uwzględniają jednak faktu, że jednocześnie ogromnie wzrosła liczba osób niezdecydowanych i niemających wyrobionego zdania. W dodatku ostatnio coraz więcej Brytyjczyków nabiera przekonania, że brexitu twardego, bez porozumienia nie należy się bać. Być może są już zmęczeni nieustającym zamętem.

W powodzi wypowiedzi są też głosy w miarę rozsądne. „Nikt nie sugeruje – pisała na łamach »Timesa« – licząca się publicystka Rachel Sylvester – że należy odrzucić wynik z 2016 r. Po prostu trzeba ludzi zapytać, czy teraz, gdy już wiedzą, co oznacza brexit, nadal chcą opuścić Unii. To wcale nie jest obraza demokracji, lecz demokracji utwierdzenie”. Rachel Sylvester uważa, że problemy, jakich doświadcza dziś Wielka Brytania, wynikają ze sprzeczności między demokracją bezpośrednią a przedstawicielską: w referendum decyzję podjął lud, ale wypełnienie jego woli spadło na barki parlamentu, który pochodzi z wyboru.

Dodajmy jednak, gwoli jasności, że w wypadku brexitu owa sprzeczność wynika nie tylko z odmienności zasad. Gdyby przed trzema laty decyzję miał

podjąć parlament, brexitu w ogóle by nie było. Opinia zwykłych ludzi i stanowisko deputowanych zdecydowanie się wówczas rozchodziły. Podczas gdy ponad połowa Brytyjczyków poparła wyjście z Unii, większość członków parlamentu brexit wykluczała.

Ogólna uwaga publicystki „Timesa” wpisuje się po trosze w głosy tych specjalistów, którzy generalnie wątpią w sens przeprowadzania referendów (poza oczywiście Szwajcarią, gdzie stanowią one element systemu). W ostatnich latach faktycznie jest ich istny wysyp, w najróżniejszych sprawach – pokoju (Irlandia, Kolumbia), zmian konstytucyjnych (Turcja, Tajlandia), suwerenności (Szkocja, Katalonia), przystąpienia do UE (wiele krajów, z różnym skutkiem), nazwy państwa (Grecja, Macedonia Północna), zmiany flagi (Nowa Zelandia), imigracji (Węgry), a nawet zmian prawnych w sferze obyczajowej (homomająństw na Malcie i w Irlandii, aborcji w Irlandii).

DEMOKRACJA POZORNA?

Chociaż referenda wyglądają na najbardziej demokratyczną formę sprawowania rządów, bo rządzący odwołują się wprost do werdyktu obywateli, jest to, zdaniem analityków, pozorne. Głosującymi łatwo jest manipulować, zwłaszcza gdy ich wiedza jest niepełna, a poza tym wyniki często zależą od stosunku wyborców do tego, kto referendum ogłosił. W Kolumbii, gdzie, ku powszechnemu zaskoczeniu, społeczeństwo odrzuciło porozumienie z terrorystami z FARC, okazało się, że przeszło ono tam, gdzie prezydent Juan Santos cieszył się poparciem. Na Węgrzech trudno sobie wyobrazić, by wrogowie Viktora Orbána mogli zaakceptować jego politykę imigracyjną. W Turcji Recep Tayyip Erdoğan sięgał po zmyślne sztuczki, takie jak głosowanie w pakiecie: to, co ważne dla niego, łączono z tym, co ważne dla ludzi. Dzięki temu łatwo wygrywał, bo odpowiedź była jedna na wszystko.

Konkluzja specjalistów jest więc taka: aby referendum dobrze odzwierciedlało opinię publiczną, należy przyjąć surowe warunki. Pierwszy i najważniejszy to frekwencja – koniecznie wysoki próg. Wskazane jest także, by wyniki były jednoznaczne: „tak” powinno mieć wyraźną przewagę nad „nie” lub odwrotnie – bo wówczas trudno referendum podważyć. W głęboko podzielonych społeczeństwach o to jest jednak, niestety, najtrudniej.



Stefan Sękowski

Dopłaty do zakupu samochodów elektrycznych to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Fiksacja na elektromobilności przysłania nam także prawdziwy cel, którym jest ponoć troska o środowisko

Od kiedy Mateusz Morawiecki obiecywał, że do 2025 r. po polskich drogach będzie jeździło milion samochodów elektrycznych, nie zbliżyliśmy się zbyt do tego celu. Z danych Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego (PZPM) wynika, że pod koniec ubiegłego roku samochodów elektrycznych i hybryd typu plug-in było u nas raptem 3,5 tys. Jeśli się weźmie pod uwagę, że wszystkich samochodów osobowych w Polsce jest ponad 22 mln, to zaledwie nieco ponad 0,1 promila wszystkich pojazdów. Jak wynika z raportu „Polish EV Outlook 2019” Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych, według najbardziej optymistycznego scenariusza za sześć lat osiągniemy liczbę pół miliona samochodów elektrycznych w Polsce, milion w 2030 r., a w 2040 r. – aż 3,2 mln. Co i tak będzie stanowiło mniejszość wszystkich pojazdów. Stanie się to, zdaniem ekspertów PSPA, pod warunkiem mocnego wsparcia finansowego z budżetu oraz dodatkowo zwolnień podatkowych.

I te mają się pojawić. Na rozwój elektromobilności przez najbliższe 10 lat ma być przeznaczonych nawet do 10 mld zł z Funduszu Niskoemisyjnego Transportu. Te pieniądze będą pochodzić m.in. z budżetu, a także opłaty emisyjnej, doliczonej do ceny benzyny. Z tych pieniędzy będzie można otrzymać nawet 36 tys. zł dotacji do zakupu samochodu elektrycznego. Pojawia się jednak pytanie: Skąd się wzięła ta elektromobilna gorączka i czy w ogóle warto na nią chorować?

EKONOMIA I EKOLOGIA

Teoretycznie – tak. Na rzecz rozwoju elektromobilności podnoszone są przede wszystkim dwa argumenty. Po pierwsze – ekologiczny: samochody elektryczne są, z grubsza rzecz ujmując, bardziej

przyjazne środowisku. Po drugie – ekonomiczny: bo „wszyscy” to robią i wejście do tej konkurencji daje szansę rozwojowe. Tyle że za tymi argumentami kryje się wiele „ale”. Rzeczywiście, samochody elektryczne nie emitują spalin, którymi trują zwłaszcza nasze miasta samochody napędzane benzyną czy olejem napędowym. Jednak nie znaczy to, że samochody elektryczne w ogóle nie zanieczyszczają środowiska. Najbardziej szkodliwe dla otoczenia jest wyprodukowanie baterii, do czego potrzebne są nikiel i lit. Wy-

danego kraju. Nawet w państwie takim jak Polska korzyść dla otoczenia jest większa, co nie zmienia faktu, że czystość powietrza nie zależy w tym wypadku od samych samochodów (bo choć w Polsce emisja jest przez cały cykl życia samochodu o 25 proc. mniejsza niż w przypadku diesla, to w Szwecji aż o 85 proc.).

Choć nadal ten segment stanowi niewielki ułamek wszystkich samochodów na świecie, to dynamicznie się rozwija. Wynika to przede wszystkim właśnie z przyczyn ekologicznych i to nie tylko,



dobycie tych rzadkich pierwiastków jest bardzo szkodliwe dla otoczenia, ponadto zużyte baterie są niebezpiecznymi odpadami. Chociaż eksperci (np. z organizacji Transport & Environment) wskazują, że summa summarum emisja CO₂ w elektromobilności jest mniejsza niż w samochodach napędzanych tradycyjnymi paliwami, ich ekologiczność zależy w dużej mierze od miksu energetycznego

jeśli chodzi o spaliny, lecz także o poziom hałasu – samochody elektryczne są zwyczajnie cichsze. Najprężniej rozwija się ten rynek w Chinach (ok. 2,2 mln spośród 5,1 mln samochodów elektrycznych na świecie jeździ po drogach Państwa Środka) i USA; jeśli chodzi o Europę, to najwięcej samochodów elektrycznych jeździ w Norwegii, Wielkiej Brytanii i we Francji. Największymi potentatami

◀ CZY WARTO STAWIAĆ NA SAMOCHODY ELEKTRYCZNE? ▶

w produkcji są takie firmy jak Tesla czy chińskie BYD i BAIC. Polska nie wciśnie się w ten rynek. Firmy, które rozwijają ten segment, często bazują już na posiadanym know-how w dziedzinie produkcji samochodów spalinowych, mają potężne budżety na badania i rozwój. Tego w Polsce zwyczajnie nie ma i trudno wyobrazić sobie, że nagle powstanie rozpoznawalna polska marka elektrycznych osobówek. Próba wejścia na ten rynek przez spółkę ElectroMobility Poland ogranicza się na razie do... konkursu na wizualizację



będzie stymulować popyt poprzez ułatwienia regulacyjne i dopłaty do zakupu samochodów elektrycznych, aby zwiększyć podaż na te samochody i tym samym stworzyć zapotrzebowanie na polski samochód elektryczny. Moim zdaniem to się nie uda, ponieważ zachęty do zakupu nie są wystarczające, a nawet jakby były, to pytanie, czy polski samochód elektryczny będzie konkurencyjny wobec światowych potentatów. Śmiem wątpić, ponieważ jest to konkurencja z udziałem globalnych firm, których same wydatki na badania i rozwój przekraczają wydatki wszystkich polskich firm i polskiego państwa razem wziętych – mówi.

Jednak jest branża, w której wsparcie może mieć sens. Chodzi o produkcję autobusów. Już dziś takie firmy jak Solaris czy Ursus produkują pojazdy dla samorządów w kraju i poza jego granicami. Oczywiście jako że skala produkcji jest mniejsza niż w przypadku pojazdów osobowych, liczby nie będą tu nigdy spektakularne. Z punktu widzenia celu, któremu ta innowacja ma służyć, jest to dobry kierunek – stąd jeśli samorządom zależy na czystszy powietrzu w miastach, to mogą inwestować w autobusy, tym bardziej że mogłyby liczyć na dofinansowanie z Unii Europejskiej. I już to robią. Jak wynika z raportu Klubu Jagiellońskiego „Z prądem czy pod prąd? Perspektywy rozwoju elektromobilności w Polsce”, najwięcej elektrycznych autobusów jeździło po ulicach Krakowa, Jaworzna i Warszawy. W lutym firma Ursus wygrała wart 3 mld zł przetarg Narodowego Centrum Badań i Rozwoju na opracowanie i budowę do 2023 r. ponad tysiąca autobusów elektrycznych.

Jak tłumaczy Musiałek, program NCBiR miał tę zaletę, że najpierw Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii zadbało o popyt na autobusy, zbierając od samorządów informacje, jakich konkretnie pojazdów by potrzebowały. Tego w przypadku samochodów osobowych nie da się zrobić. Największymi ograniczeniami rozwoju elektromobilności są przede wszystkim: dostęp do ładowarek i cena samych pojazdów. Chociaż trzeba powiedzieć, że korzystanie z samochodu jest tańsze. Jak piszą eksperci KJ, „należy podkreślić, że już dziś przy przebiegu rocznym wynoszącym 50–70 tys. km w zależności od modelu 5-letnie TCO [całkowity koszt posiadania – przyp. aut.] samochodu elektrycznego i spalinowego się zrów-

nuje”. Maciej Dulak i Paweł Musiałek wskazują w opracowaniu, że „według analityków, już między 2018 a 2022 rokiem koszty posiadania (czyli zakupu oraz późniejszego utrzymania i eksploatacji) »elektryków« i samochodów spalinowych się zrównają”.

ANTYINNOWACYJNA POMOC

Chociaż mówimy tu przede wszystkim o nowych egzemplarzach (nadal wiek samochodu kupowanego w Polsce to średnio ok. 13 lat), to można powiedzieć, że dopłaty mogą przede wszystkim przyspieszyć proces upowszechniania samochodów elektrycznych w Polsce, choć proces ten będzie i tak zachodził – i to coraz szybciej – wraz ze spadkiem kosztów produkcji, czy to dzięki opracowaniu nowych technologii, czy to wykorzystaniu efektu skali; rósł będzie także dostęp do infrastruktury. Z drugiej strony dotowanie samochodów elektrycznych może powodować sztuczne zawyżanie cen pojazdów. Ponadto stanowi wsparcie dla jednego tylko rodzaju transportu niskoemisyjnego kosztem innych, niekoniecznie mniej ekologicznych. W raporcie KJ czytamy, że „hybrydy nie tylko są bardziej konkurencyjne wobec samochodów elektrycznych, ale bez subsydiów są wystarczająco atrakcyjne wobec samochodów napędzanych benzyną czy olejem napędowym”. W kolejce czekają także inne paliwa alternatywne, jak np. wodór. Obecnie na całym świecie samochodów napędzanych wodorem jest mniej (ok. 2–3 tys.) niż elektrycznych w Polsce, ale firmy takie jak Hyundai czy Toyota pracują nad ich rozwojem. Samochód na wodór jest cichy, ma większy zasięg niż samochód elektryczny, szybciej się go tankuje. Problemem jest przede wszystkim pozyskanie wodoru, choć warto podkreślić, że w Polsce mamy sporych producentów (Orlen, Lotos czy Azoty).

Ulg i czy dopłaty mogą w dalszej perspektywie działać wręcz antyinnovacyjnie, ponieważ dają „fory” zarówno wobec innych, już istniejących technologii, jak i tych, które mogą się dopiero pojawić. Dlatego zamiast dopłacać bogatym do samochodów, które i tak w ciągu kilku lat kupią, lepiej – jeśli już – pomagać tam, gdzie jesteśmy w stanie osiągnąć konkretny skutek, a nie tylko efekciarstwo.

nowego samochodu elektrycznego. – Nie zaczyna się budowy nowego modelu od projektu karoserii – mówi „Do Rzeczy” dyrektor Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego Paweł Musiałek.

PAŃSTWO NIE JEST OD TEGO

Jego zdaniem cały model jest postawiony na głowie. – Strategia rozwoju elektromobilności zakłada, że państwo

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u Nowa Konfederacja.



Łukasz Zboralski

Czy groźniejsze jest to, że każdy może publikować dowolne informacje w sieci, czy to, że cenzurować zaczęli to internetowi giganci, którzy położyli też rękę na informacjach tradycyjnych mediów?

Cyfrowa rewolucja zmieniła to, jak ludzie ze sobą rozmawiają i skąd czerpią informacje o świecie. Coraz większe znaczenie ma to, co znajduje się w Internecie. A tam – coraz więcej „klientów” mają najwięksi gracze na rynku, czyli Google i Facebook. Ten ostatni niedawno wprowadził własną przeglądarkę treści. Niewielu użytkowników zauważyło, że po kliknięciu w link nie są przenoszeni na zewnątrz, ale nadal – czytając inne informacje – pozostają w ręku Marka Zuckerberga. Jest jednak groźniejsze zjawisko. Giganci postanowili zacząć kontrolować to, co może dotrzeć do internautów.

CENZURA UŻYTKOWNIKÓW

Serwis YouTube właśnie wydał wojnę użytkownikom, którzy zamieszczają w serwisie materiały podważające medyczny sens szczepień ochronnych. Szerzenie takich populistycznych teorii jest oczywiście szkodliwe – i wie o tym każdy, kto próbował zapoznać się z naukowo potwierdzonymi faktami dotyczącymi tego, jak szczepienia przez lata pozwoliły ograniczyć zachorowania i zgony związane z niektórymi chorobami. Odwodzenie ludzi od szczepienia dzieci naraża nie tylko kolejne pokolenia, lecz także całe społeczeństwo. Ponieważ kiedy odsetek zaszczepionych w populacji spada poniżej pewnego poziomu, cała populacja jest narażona na wybuchy epidemii – a te są najgroźniejsze dla najsłabszych: małych dzieci, chorych i seniorów.

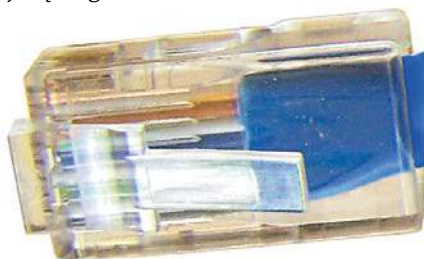
Z jednej strony można by więc przyklasnąć decyzji YouTube. Serwis zdecydował się bowiem na rodzaj cenzury reklamowej, uderzającej po kieszeni

tych, którzy publikują tego rodzaju filmy. Na nich nie będą mogli już zarabiać, bo nie będą się w nich wyświetlać reklamy. To oznacza jednocześnie pośrednio stopniowe ograniczanie dotarcia z filmami do użytkowników.

Gigant decyduje, kto może głosić swoje poglądy, a kto nie. Do pewnego momentu – jak w przypadku antyszczepionkowców – może to pewną część użytkowników cieszyć. Co jednak wówczas, gdy ludzie z internetowego koncernu wybiorą inne treści – ich zdaniem nieprawdziwe i nieodpowiednie – i zaczną obcinać ich zasięgi?

Z takimi przypadkami mamy już do czynienia od czasu do czasu na terenie należącym do innego giganta. Facebook sam wybiera, które treści np. „wzywają

dezinformacji”. Ludziom, którzy chcą o tym pisać, obcięte zostaną zasięgi – takie grupy, fanpage’e lub treści nie będą pojawiać się w rekomendacjach przy wyszukiwaniu informacji ani w propozycjach do kliknięcia. Co więcej – nie będzie można nawet kupić sobie takiego dostępu. Facebook będzie odrzucał reklamy o treściach antyszczepionkowych. I nie tylko takich – nie zamieści też reklam luźno związanych z tą tematyką, traktujących np. o kontrowersjach



FOT. ADORÉ STOCK

Informacje pod kontrolą

do nienawiści” czy „propagują faszyzm”. Cenzorzy giganta kasują posty, blokują użytkowników. Wystarczy do tego choćby zorganizowany atak trolli, którzy będą zgłaszać kogoś nawet za wymyślone wykroczenie.

Zresztą w sprawie antyszczepionkowców Facebook podjął podobną co YouTube decyzję. 7 marca menedżerka odpowiedzialna za zasady użytkowania serwisu – Monika Bickert – poinformowała w poście na serwisie, że firma wypowiedziała wojnę „antyszczepionkowej

dotyczących szczepień ochronnych. Takie treści nie będą się też pojawiać w serwisie Instagram.

Po części jest to cenzura niejako na społeczne zamówienie. Badania Maryland University oraz John Hopkins University pokazały, że dezinformacja na temat szczepień w mediach społecznościowych szerzona jest przy użyciu zarejestrowanych w Rosji kont. Niektóre wiadomości wysyłane były z kont powiązanych z rosyjską farmą trolli – tą samą, którą Amerykanie wychwycili jako

próbującą w sieci wpływać na nastroje i opinie przed wyborami w USA.

W lutym tego roku kongresmen z Kalifornii – Adam Schiff – publicznie zaczął domagać się od Facebooka i Google weryfikacji treści antyszczepionkowych. Wysłał w tej sprawie listy do Marka Zuckerberga i Sundara Pichaia.

Domagał się usuwania takich treści z serwisów.

Może trudno dostrzec niebez-

przekazywanymi ludziami przez media. Skoro większość ludzi zaczęła docierać do tego, co – za pieniądze wydawane na pracę wykonywaną przez dziennikarzy – oferują wydawcy prasy poprzez Internet, to kontrolujący sieć zaczęli myśleć o tym, by ich niezbędne ogniwo było ogniwem kontrolnym.

Najlepszym dowodem tego, co może się stać, był test, który pod koniec 2017 r. przeprowadził Facebook. Oficjalnie Mark Zuckerberg przekonywał, że to wszystko dlatego, by serwis stawał się bardziej społecznym, i oddzielał informacje znajomych od tych oferowanych przez firmy czy media. Nieoficjalnie – przetestował świetne narzędzie przymuszenia wydawców do płacenia za to, by wytworzone przez

się – mówi Paweł Nowacki, niezależny konsultant rynku mediów. – W Polsce są też serwisy informacyjne uzależnione od Facebooka. Niektóre z nich to zrozumiały i zaczęły walkę o emancypację i pozyskanie ruchu w inny sposób. To prawda, że Mark Zuckerberg może teraz zrobić wszystko. Prawdą jednak jest też, że wydawcy mogą budować własny ruch. Przecież kiedyś nie było Facebooka, a ruch on-line był.

JAK TO SIĘ SKOŃCZY?

Z raportu Reuters Institute for the Study of Journalism „Journalism, Media and Technology Trends and Predictions 2019” (zawierającego dane z badań ponad 200 redaktorów naczelnych i szefów firm medialnych w 29 krajach na świecie), wynika, że najważniejszym partnerem dla mediów jest

Google (87 proc. badań), a po nim Apple News i Facebook oraz YouTube.

Część koncernów medialnych widzi w tym zagrożenie. I zaczyna głośno o tym mówić. Australijskie News Corp Ruperta Murdocha wydało właśnie oficjalne

oświadczenie, w którym stwierdziło, że Google „nadużywa swojej dominującej pozycji ze szkodą dla konsumentów, reklamodawców i wydawców”, i wezwało organy nadzoru rynku do ograniczenia monopolistycznej pozycji giganta.

– Jeśli ktoś może wysyłać wiadomości do setek milionów swoich użytkowników, a ja nie mogę wysłać do nich takiej wiadomości, to nie jest to równorzędna debata – zwraca uwagę Lionel Bordeaux. – Co mogą zrobić wydawcy mediów? Mogą walczyć o prawo do możliwości takiej odpowiedzi. Bo nie jestem pewien, czy uniemożliwianie takiego samego dotarcia do ludzi nie jest łamaniem prawa obowiązującego w UE i wielu innych krajach.

Amerykańska senator Elizabeth Warren, walcząca o nominację prezydencką demokratów na rok 2020, obiecała, że jeśli zostanie prezydentem, to rozbije dominację Amazona, Facebooka i Google. Ze swoim przesłaniem trudno jej będzie jednak dotrzeć w sieci – tuż po tej zapowiedzi Facebook usunął jej reklamy w swoim serwisie. © Wszelkie prawa zastrzeżone

pieczeństwo, ale tylko dopóki giganci nie zaczną cenzurować innych tematów. Kto skontroluje, które uznają za szkodliwe i nadające się do eliminowania? I kto będzie wiedział, że koncerny zaczną zamykać nas w wymyślonych przez siebie bańkach informacyjnych?

– Problem w tym, że Facebook, Google i YouTube mają dominującą pozycję i powinny pozostawać neutralne. Nawet przekonują ludzi, że takie są, ale mamy wiele powodów, by sądzić, że ta neutralność naprawdę nie istnieje, to dziś mit – mówi „Do Rzeczy” Lionel Bordeaux, niezależny konsultant i doradca z Francji, wcześniej pracujący jako ekspert ds. komunikacji dla wielu znanych polityków. – Jeśli jesteś gigantem technologicznym z własną infrastrukturą, którą możesz wykorzystać, by przekazywać informacje w swoim interesie, i nikt nie ma szans odpowiedzieć z takim samym rozmachem, to jest to osłabianie demokracji – zauważa.

CENZURA MEDIÓW

Usuwanie określonych treści publikowanych przez zwykłych użytkowników oraz blokowanie ich reklam to tylko jedna z form nowoczesnej kontroli informacji w sieci. Internetowi giganci przejmują już także władzę nad informacjami

nich dobra w postaci rzetelnej informacji w ogóle mogły dotrzeć do klientów – czyli czytelników. Firma CrowdTangle monitorująca media społecznościowe pokazała wówczas, że eksperyment Zuckerberga ujawnił, jak szybko i jak mocno można ograniczyć odbiorców mediów. Wydawcom na Słowacji zasięgi czytelnictwa spadły o dwie trzecie. Reakcje – czyli komentarze, polubienia czy udostępnienia treści zmalały czterokrotnie. Podobny efekt zaobserwowano w innych krajach objętych testem Facebooka.

Media same w tę pułapkę się wpakowały. Na fali rosnącej popularności Facebooka wszystkie liczące się firmy otwierały swoje fanpage'e i wklejały posty odsyłające do ich własnych serwisów. Trudno taką drogę zarzucić. W efekcie jednak media zbudowały sobie kanał odbiorców, którym zarządza ktoś inny. I to jest niebezpieczne.

– Z raportu Reuters Institute for the Study of Journalism wynika, że to uzależnienie od mediów społecznościowych odbija się wydawcom tradycyjnych mediów czkawką. Jedna z brazylijskich gazet przestała nawet prowadzić fanpage, bo czas i pieniądze na to przeznaczane nie zwracały





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Morawiecki jest czarodziejem?

Czy Morawiecki – człowiek (jasne – nie on sam, lecz z całą swoją ekipą), który od trzech lat co roku „wyczarowywuje” kilkadziesiąt miliardów złotych, potrafi „wyczarować” ich jeszcze więcej? I to więcej o – bagatela! – dodatkowe dziesiątki miliardów? A dokładniej: o 40 mld zł co roku?

A zatem: czy człowiek, dzięki któremu saldo budżetu państwa na koniec 2018 r. wyglądało naprawdę nieźle (choć powinno wyglądać jeszcze lepiej, czyli być „na plusie”), i to mimo od trzech lat wypłacanych z niego dodatków po 500 zł na niektóre pierwsze dzieci (w zależności od dochodu) i wszystkie następne oraz dopłat do niższych emerytur, a wszystko to przy obniżaniu w tym czasie CIT dla małych firm (z 19 do 15 i teraz do 9 proc.) i od niedawna niższym ZUS dla mikrofirm, jest w stanie „wyczarować” tyle pieniędzy, by starczyło ich na kolejne prezenty rządu PiS i nie zrujnowało Polski? Aby starczyło na „500+” już dla każdego dziecka, na zerowy PIT także dla Polaków nierolników do 26. roku życia, na PIT obniżony z 18 do 17 proc. i niższą kwotę wolną od podatku, na „trzynastkę” dla emerytów i rencistów i jeszcze na odbudowę transportu lokalnego?

Morawiecki, rzecz prosta, czarodziejem nie jest, a to oznacza, że w 2019 r. zamiast osiągnąć pierwsze w historii III RP dodatnie saldo budżetu i wreszcie zacząć spłacać monstrialny dług Polski, raczej się od tego celu oddalimy. Choć za zawsze można mieć nadzieję,

że chwalebna sprawność służb publicznych w domykaniu luki podatkowej nie osłabnie, a więc i deficyt nie powiększy się tak drastycznie, jak można się tego obawiać.

Wszelako, nawet jeśli by – i oby! – tak właśnie się stało, zawsze zostaje pytanie, na co powinno się wydawać pieniądze podatników. I to najlepiej te, które się już ma w kasie, a nie te, co do których ma się tylko nadzieję, że się je będzie miało. Nie mówiąc już o tych, o których od początku wiadomo, że są na kredyt – i to z wysokimi odsetkami.

Czy wydawać je na transfery socjalne, a tak jest w przypadku „500+” na każde pierwsze dziecko bez względu na dochód rodziny, czy na coś zupełnie innego – twarde podporządkowanego hierarchii kluczowych narodowych celów.

Na przykład – jeśli poważnie traktujemy zagrożenie demograficzne – na dużo so- witsze wsparcie rodzin z tro- giem i więcej dzieci albo/i na likwidację obowiązku płacenia PIT przez wszystkich Polaków (a nie tylko nierolników), od ręki zachęcając tym do powro- tu co najmniej setki tysięcy spośród 2,5 mln nowych pol- skich emigrantów? Albo – jeśli naprawdę leży nam na sercu dobro instytucji państwa – na radykalny wzrost płac w budżetówce i inwestycje w infrastrukturę: drogową, kolejową, energetyczną. Albo – jeśli naprawdę obawiamy się zagrożenia agresją militarną – na znacząco większe wydatki na uzbrojenie polskiej armii. Nie wspominając o służbie zdrowia... © ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Ekonomiści są użyteczni

Tytuł został zainspirowany scenką sprzed ok. 20 lat. Byłem wtedy głównym ekonomistą w ING Barings i podczas wyjazdu integracyjnego dyskutowaliśmy o perspektywach gospodarczych i kursie złotego.

Mój wywód miał wszelkie cechy tyrady ekonomisty, pokazałem czynniki wpływające na wzrost i na spadek kursu walutowego, omówiłem bilans ryzyk, pokazałem możliwe scenariusze. Gdy skończyłem, mój ówczesny szef, Maciej, powiedział: „Ekonomiści to bardzo ciekawi ludzie, ale zupełnie bezużyteczni”. I od razu dodał, że tradera czy szefa firmy nie interesują różne scenariusze i rozkład ich prawdopodobieństwa. On musi podjąć decyzję, kupić czy sprzedać, teraz czy poczekać. Dwa lata później Maciej przeszedł do BZ WBK i jako członek zarządu zaproponował mi funkcję głównego ekonomisty tamże. Wówczas powstał dzienny raport ekonomiczny banku BZ WBK (obecnie Santander) zwany „Codziennikiem”, który jest publikowany przez zespół ekonomistów BZ WBK do dzisiaj.

Po 20 latach postanowiłem sprawdzić, czy Maciej miał rację, i zaprzęgnę do analizy algorytm maszynowej analizy języka naturalnego, tzw. NLP. Ściągnąłem z archiwum „Rzeczpospolitej” 21 tys. artykułów zawierających odniesienie do NBP i RPP plus ponad 3 tys. „Codzienników” BZ WBK oraz 55 komunikatów RPP towarzyszących decyzjom o podwyżce lub obniżce stopy procentowej, wszystkie teksty z lat 2001–2015.

Formuła krótkiego felietonu nie pozwala na opis metodologii, powiem tylko, że zastosowałem analizę wydźwięku (różnicę między liczbą słów o pozytywnym i negatywnym wydźwięku w tekście) oraz wykorzystałem komunikaty RPP, żeby określić, które sformułowania towarzyszą restrykcyjnej, a które łagodnej polityce pieniężnej. Oba podejścia pozwoliły na policzenie współczynnika wydźwięku i współczynnika restrykcyjności dla każdego artykułu „Rzeczpospolitej” i dla każdego „Codziennika”. Policzyłem średnie miesięczne i porównałem, jak zmieniają się te miesięczne wskaźniki w zestawieniu z różnymi danymi ekonomicznymi i finansowymi, takimi jak inflacja, produkcja przemysłowa, kurs złotego do euro i dolara, stopy procentowe, stopa bezrobocia itp.

Okazało się, że teksty „Rzeczpospolitej” nie zawierają informacji pozwalających na przewidywanie przyszłych wartości analizowanych zmiennych ekonomicznych i finansowych, natomiast teksty „Codzienników” BZ WBK tak. Na przykład wzrost/spadek współczynnika restrykcyjności „Codzienników” poprzedzają podniesienie/obniżkę stóp procentowych, zaś wskaźnik wydźwięku pozwala prognozować zmiany wielu kategorii ekonomicznych w kolejnym miesiącu.

Okazuje się, że to, co ekonomiści mają do powiedzenia, jest użyteczne. © ©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: WIDEOREJESTRATOR VORDON DVR-195

W zeszłym roku na polskich drogach doszło do ponad 30 tys. wypadków. Udowodnienie winy innego kierowcy nie zawsze jest proste nawet w przypadku zwykłych, drobnych kolizji. W takich przypadkach przydaje się kamera samochodowa. Taki sprzęt pozwala również uniknąć wyłudzenia odszkodowania, zwiększa szanse na wygraną w sprawie o niesłusznie wypisany mandat, a także ułatwia ukaranie piratów drogowych.

Wybór tego typu urządzeń na rynku jest ogromny. W tym wydaniu testujemy model, który łączy w sobie lusterko wsteczne i rejestrator jazdy oraz prostą kamerę cofania (małą kostkę przykleja się na tylną szybę i za pomocą dołączonego długiego przewodu podłącza do lusterka). Sposób montażu elegancko wyglądającego gadżetu jest bajecznie prosty: wideorejestrator-lusterko zawieszają się po prostu na oryginalnym lusterku wstecznym.

Wbudowana kamera ma szeroki kąt widzenia (170 stopni), choć na nagraniach widoczny jest efekt rybiego oka. Nagrania zachowywane są na karcie pamięci (maksymalna pojemność 32 GB). Po wykryciu kolizji urządzenie automatycznie zabezpiecza nagranie przed nadpisaniem.



Rejestrowany w dzień obraz z przedniej kamery jest ostry i wyraźny (choć nie jest to deklarowana przez producenta jakość Full HD), ma dobry kontrast i nieźle odwzorowane kolory. Obraz rejestrowany w nocy jest już dużo gorszy. Jakość obrazu widzianego przez kamerkę tylną jest już dużo gorsza (rozdzielczość VGA, czyli 640 x 480), ale i tak ułatwia ona parkingowe manewry.

Zaletą tego modelu jest też tzw. G-Sensor, czyli moduł, który automatycznie uruchamia nagrywanie, gdy zarejestruje wstrząs (wypadek lub kolizję). Funkcja może być przydatna zarówno w zwykłym ruchu drogowym, jak i na parkingach – istnieje bowiem spora szansa, że kamera zarejestruje kierowcę, który przypadkowo zahaczy stojący bez kierowcy pojazd,

a potem „zapomni” podać do siebie dane kontaktowe.

Minusy: wbudowana bateria wystarcza zaledwie na kilka minut pracy. Dla niektórych wadą będzie również to, że rejestrowany obraz wyświetlany jest w środkowej części lusterka (przekątna ekranu wynosi 5 cali), co – zwłaszcza początkowo – może nieco rozpraszać. Na szczęście można łatwo zdefiniować czas (np. minuta lub dwie), po którym rejestrowany obraz zniknie, a lusterko znów będzie tylko lusterkiem. Bardziej czytelne mogłyby być również oznaczenia na przyciskach lusterka – trzeba więc nauczyć się na pamięć, który za co odpowiada.

Stosunek ceny (219 zł) do jakości jest jednak bardzo dobry. ©

Jacek Przybylski



MAŁA, NIECO DRAŻNIĄCA, CZARNA

Kawa z rana – niezbędna, by w pracy wycisnąć z siebie (i innych), ile się da. A jeśli już o wyciskaniu mowa, to ponoć najbardziej odżywcza jest kawa wyciskana. Tak przynajmniej twierdzi James Gray, twórca ekspresu do kawy The Twist Press Coffee Maker – gadżetu,

który pozwala cieszyć się w plenerze lub biurze mocną, aromatyczną kawą w niecałe 30 sekund.

To nowa technika pozwalająca spróbować nieco bardziej intensywniej kawy o różnych smakach. Zdaniem producenta technologia nacisku i „korkociągu” zastosowana w The Twist Press wspomaga ekstrakcję kawy, co ma dawać w efekcie ultraczysty koncentrat kawowy z prawie zerowym osadem na dnie kubka. A jak to działa? W skrócie: zakładamy urządzenie na kubek, wysypujemy do specjalnego pojemnika czubatą łyżkę zmielonej kawy, dodajemy niezbędną ilość wrzątku i naciskamy specjalny tłok, zsuwając go powoli w dół. W efekcie kieszeń powietrza tłoczy gorącą

wodę w dół przez komorę, szybko zanurzając i odsysając świeżo zmieloną kawę przed wepchnięciem czystego naparu przez papierowy filtr i do filiżanki. I tyle.

Ten niewielki gadżet można zapakować do plecaka i zabrać ze sobą na wycieczkę. Za The Twist Press Coffee Maker trzeba zapłacić ok. 100 zł. Zamawiać można na Kickstarterze, dostawa w sierpniu.

MUZYKA Z OKULARÓW

Też już było, choć w tym przypadku technologia kostnego przewodzenia dźwięku idzie naprzód, a OptiShokz Revvez to jeden z najnowszych w tym zakresie projektów na rynku. To nieźle jakości okulary przeciwsłoneczne wyposażone w opatentowaną technologię przewodzenia kostnego AfterShokz dostarczającą dźwięk przez chrząstkę kostną. Wystarczy okulary sparować z telefonem przez Bluetooth – model wyposażony jest w wersję 5.0. Do tego dochodzą wymienne soczewki z poliwęglanu UV400 – oprawka nylonowa TR-90.

Okulary akurat na lato, bo dostawa przewidziana jest w czerwcu, a zamawiać można na Indiegogo w cenie 350 zł. ©

Wojciech Wybranowski





Z Witoldem Bańką, ministrem sportu i turystyki, kandydatem Europy na przewodniczącego Światowej Agencji Antydopingowej rozmawia Łukasz Majchrzyk

Uczymy innych, jak walczyć z dopingiem



ŁUKASZ MAJCHRZYK: Pana europejska nominacja i zapowiedziany na listopad Światowy Kongres Antydopingowy w Katowicach pokazują, że Polska jest wzorem, jeśli chodzi o walkę z dopingiem.

WITOLD BAŃKA: Polska jest na pewno jednym z liderów. Nominacja europejska cieszy mnie, tym bardziej że uzyskałem ją z bardzo dużą przewagą nad moimi kontrkandydatami z Norwegii i Belgii. W maju, w Montrealu, kontynenty wybiorą przyszłego prezydenta, który formalnie zostanie zaakceptowany w listopadzie podczas kongresu w Katowicach. To wydarzenie jest dowodem na to, że przez ostatnie trzy lata wykonaliśmy gigantyczną pracę w kwestii walki z dopingiem.

Kiedy obejmowałem urząd, mieliśmy przepisy niedostosowane do wytycznych WADA [Światowej Agencji Antydopingowej – przyp. red.]. Dostaliśmy ultimatum, że jeśli do sierpnia 2016 r. nie poprawimy ustawy o sporcie, to nasze laboratorium straci akredytację. Jednym z problemów, które odziedziczyłem po poprzednikach, był przepis mówiący, że decyzje w sprawach dopingowych podejmuje związki sportowe, a nie niezależny panel dyscyplinarny. Przypomnijmy, że w sierpniu tamtego roku wybuchła afra dopingowa sztangistów – braci Adriana i Tomasza Zielińskich, więc gdybyśmy nie zdążyli ze zmianą regulacji, to znaleźlibyśmy się w mocno niekomfortowej sytuacji. Zdążyliśmy – zmieniliśmy to szybką ścieżką parlamentarną, w trzy miesiące, a więc tydzień przed terminem

wyznaczonym przez WADA. Jednocześnie podjęliśmy decyzję, że trzeba uchwalić całkiem nową ustawę o zwalczaniu dopingu w sporcie. Dzięki temu m.in. powstała Polska Agencja Antydopingowa POLADA, a po ostatniej nowelizacji Polskie Laboratorium Antydopingowe, które jest niezależne finansowo i operacyjnie od Instytutu Sportu. To był kolejny wymóg WADA. Co warto podkreślić, zwiększyliśmy budżet na badania antydopingowe, który wynosi obecnie 8 mln zł.

Pieniądzy będzie jeszcze więcej?

Na razie będziemy chcieli utrzymać finansowanie na obecnym poziomie. Natomiast POLADA, w wyniku nowelizacji ustawy, została państwową osobą prawną, tym samym może pozyskiwać



piony funkcjonują m.in. w USA i Wielkiej Brytanii. Dzisiaj dzięki dobrej współpracy ze służbami zamykane są nielegalne „dziuple” handlu sterydami. Łatwiej jest też np. ustalić miejsce pobytu sportowców, którzy chcą uniknąć badań. Pion śledczy to niejedyna zmiana. Obecnie za handel lub przemyt środków dopingujących grozi kara grzywny, ograniczenia wolności bądź jej pozbawienia do lat trzech. Śmiało mogą powiedzieć, że teraz również my wyznaczamy trendy i możemy uczyć innych, jak efektywnie walczyć z dopingiem. Edukujemy w tym obszarze m.in. Azerbejdżan czy Ukrainę.

Polska wspiera Azerbejdżan i Ukrainę, a tam ciągle laboratoriów nie ma. Lista placówek z akredytacją WADA jest bardzo krótka. Za krótką pana zdaniem?

Zdecydowanie. Jestem zdania, że liczba akredytowanych laboratoriów musi sukcesywnie wzrastać – to jeden z punktów mojego programu. W tej chwili mamy ich tylko 30, a WADA nie robi wiele, żeby to zmienić. Brakuje takich placówek choćby w Afryce, gdzie jest tylko jedna – w RPA. Oczywiście nie możemy zapominać o utrzymaniu wysokich standardów laboratoriów, ale ich liczba jest równie istotna. Nie wszystkim jest to na rękę, ponieważ dziś niektóre placówki funkcjonują jak wielkie przedsiębiorstwa – dla nich obecna sytuacja jest komfortowa, bo zwyczajnie na tym zarabiają. Tymczasem w mojej opinii walka z dopingiem nie powinna być biznesem, tym bardziej że rynek sportowy jest tak duży, iż miejsca dla nowych jednostek z pewnością wystarczy. Takie placówki powinny powstać m.in. na Białorusi czy w Bułgarii. Akredytację chciałaby odzyskać Portugalia. Jeśli rządy chcą inwestować w walkę z dopingiem, to powinniśmy z tego korzystać. Moją propozycją jest powołanie Antydopingowego Funduszu Solidarnościowego, który pomoże stworzyć w ubogich krajach politykę antydopingową. Warto pamiętać, że w trakcie igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 r. ok. 10 proc. medaliistów pochodziło z krajów, w których albo w ogóle nie istniał system antydopingowy, albo w ramach krajowego programu kontroli pobierano mniej niż 100 próbek rocznie.

Cały Płaskowyż Kenijski to ziemia niczyja. Tam nie tylko trenują biegacze z Kenii, lecz także przyjeżdżają reprezentanci innych krajów. Kontrolerzy tam docierają?

Są ciągle miejsca na świecie, gdzie system kontroli działa naprawdę słabo, a musimy pamiętać, że próbki krwi trzeba przewieźć bardzo szybko, żeby mogły być użyte do badania. Zawodnicy przyłapani na dopingu wynajmują prawników, którzy podważają najmniejsze uchybienia proceduralne, i zdarza się, że dzięki temu potem unikają kary – wystarczy, że został popełniony jakiś błąd przy np. transporcie, otwieraniu próbek, terminach. Dlatego tak ważne jest solidarne wsparcie rozwoju systemu antydopingowego w krajach uboższych.

Fundusz solidarnościowy to miałyby być dodatkowa składka oprócz tej, którą kraje płacą na WADA?

Myślę, że po części tak to powinno wyglądać. Chciałbym, żeby to był niezależny fundusz, na który – poza państwami – mogliby się składać także sponsorzy. Dzisiaj, z uwagi na potencjalny konflikt interesów, przykładowo firma medyczna nie może wspierać WADA bądź narodowej agencji antydopingowej. W ramach działań CSR ta sama firma mogłaby jednak wesprzeć fundusz solidarnościowy. Można by go również wzmacniać poprzez przeznaczenie na ten cel ułamka wpływów z reklam emitowanych podczas igrzysk olimpijskich.

Jak pan minister podchodzi do zamieszania z Rosyjską Agencją Antydopingową RUSADA? Została ona uznana za działającą niezgodnie z przepisami WADA, do 31 grudnia Rosjanie mieli przekazać dane z aparatury laboratoryjnej. Tego terminu nie dotrzyмали, a mimo to działają?

Jako Europa wyraziliśmy rozczarowanie tą sytuacją. Ponadto należy pamiętać, że wcześniej procedura wobec innych krajów, gdy przekraczały terminy, była podobna – przewidywała możliwość rozwiązania kwestii problemowych do momentu posiedzenia działającego przy WADA niezależnego Komitetu CRC. Rosjanie to zrobili, więc nie było formalnych podstaw, by ponownie skazywać ich na antydopingową banicję. Na razie dane, które dostarczali, są dokładnie analizowane.

Rosjanie dalej powinni być pod pręgierzem?

Jestem zwolennikiem jak największej liczby kontroli, tym bardziej w sytuacji, gdy Rosjanom „uchylono furtkę”. Uczciwi sportowcy nie powinni się obawiać nawet porannych wizyt kontrolerów. Wiem, że to może być uciążliwe, ale na pewnym poziomie trzeba się z tym liczyć. Myślę, że zawodnicy, którzy nie oszukują, to rozumieją.

również środki zewnętrzne, czyli np. zaoferować komercyjnie przeprowadzenie badań antydopingowych. To oznacza, że będzie miała większy budżet.

POLADA ma też swój pion śledczy.

To kolejna ważna zmiana. Został w nim zatrudniony były pracownik Komendy Stołecznej Policji, który ściśle współpracuje ze Służbą Celną, z policją, prokuraturą. Przepływ informacji między tymi instytucjami jest bardzo sprawny, dzięki czemu kontrolerzy otrzymują mocne wsparcie.

Powołanie takiego pionu w Polsce było niezbędne? Sami kontrolerzy nie byłiby w stanie sobie poradzić?

Na pewno ta zmiana zwiększa nasze szanse na skuteczne działanie. Takie

FOT. DARIUSZ IWANUSKI/REPORTER

W Polsce, oprócz skandalu ciężarowców braci Adriana i Tomasza Zielińskich, nie mieliśmy przypadków wpadek dopingowych na miarę Lance'a Armstronga, afery Puerto w Hiszpanii, wątpliwości co do Chrisa Froome'a czy Bradleya Wigginsa. To znaczy, że jest dobrze z walką, czy po prostu nie udaje się wykryć oszustów?

Już po powołaniu agencji POLADA mówiłem, że to działa dwojako. Z jednej strony, więcej przypadków dopingów może oznaczać, że mamy lepszą wykrywalność i eliminujemy oszustów. Z drugiej zaś, jeśli tych przypadków będzie mniej, to znaczy, że system kontroli prawidłowo odstrasza. Można to interpretować na dwa sposoby. Skandale nie są dobre dla sportu, ale polityka antydopingowa jest po to, żeby wykrywać i karać łamiących zasady – nawet jeśli są to gwiazdy. W Polsce mamy od 40 do 60 przypadków dopingów rocznie, co oznacza, że mieścimy się w średniej światowej. Jednocześnie pobieramy ok. 4 tys. próbek od polskich zawodników.

Ta liczba jest wystarczająca?

Plasuje nas to w pierwszej piętnastce państw z największą liczbą wykonywanych testów. Niezależnie od tego wciąż chcemy się rozwijać. Warto dodać, że nasze laboratorium świadczy też usługi innym państwom. Badaliśmy próbki z Rosji, Białorusi czy Hiszpanii. Czasami jednak, z uwagi na ograniczone moce przerobowe, musimy odmawiać. Dlatego tak mocno forsuję postulat zwiększenia liczby akredytowanych placówek. Tym bardziej że pojawiają się pomysły przeprowadzania badań antydopingowych w sporcie amatorskim, który też nie jest wolny od nieuczciwości.

Zmienimy temat i pomówmy o przyciąganiu młodzieży w Polsce do sportu. Program „SKAUT” rusza od 2019 r.

Chcemy uruchomić tę inicjatywę w drugiej połowie roku – najpierw pilotażowo w trzech województwach. W pełni dopracowany projekt ma ruszyć od przyszłego roku. Program będzie skorelowany m.in. z lekcjami wychowania fizycznego oraz zajęciami SKS.

Jeśli w ramach programu „SKAUT” uda się wyłowić talent, to kto będzie decydował, do jakiego klubu dziecko trafi?

Trenerzy w ramach programu „SKAUT” będą po przeprowadzeniu testów podpowiadali optymalne rozwiązania, ale ostateczna decyzja będzie należała do rodziców i dziecka.

Nadal tracimy zbyt wiele talentów sportowców?

Wierzę, że z roku na rok coraz mniej, bo sukcesywnie budujemy spójną piramidę szkoleniową, która temu przeciwdziała. W ciągu trzech lat zwiększyliśmy nakłady na sport powszechny o 93 proc. Stworzyliśmy ogólnopolskie rozwiązania aktywizujące dzieci i młodzież. Wsparcie dla małych i średnich klubów w ramach rządowego programu „KLUB”, reaktywacja programu SKS, uzupełniająca je Narodowa Baza Talentów czy właśnie wspomniany już planowany program „SKAUT” mają stworzyć mocne podwaliny systemowi. Kolejnym etapem budowania go są kadry wojewódzkie, których finansowanie przywróciliśmy i wzmocniliśmy. Aby nie tracić sportowych talentów, uruchomiliśmy również team100, w ramach którego dodatkowe, indywidualne wsparcie otrzymuje już 250 młodych, perspektywicznych

Trenerzy muszą być lepiej wynagradzani nie za wyniki młodzika czy juniora, ale za medal seniora

zawodników w wieku do 23 lat. Starsi utytułowani sportowcy trafiają z kolei „pod skrzydła” spółek Skarbu Państwa. To wszystko razem ma sukcesywnie budować siłę polskiego sportu.

Problemy z przyciągnięciem dzieci do sportu to chyba światowa tendencja. Polska jakoś na tym tle się wyróżnia?

Jest to faktycznie problem cywilizacyjny, od którego nie jesteśmy wolni. Natomiast pozytywne jest to, że wzrost odsetek osób między 15. a 69. rokiem życia, spełniających zalecenia WHO dotyczące aktywności. Przez długi czas aktywność fizyczną deklarowało niespełna 16 proc. dorosłych, a ostatnio ta liczba wzrosła do 23 proc. Wiem, że to wciąż nie jest spektakularny wynik, ale cieszy progres. Mam nadzieję, że zwiększenie aktywności rodziców przełoży się na wzrost aktywności dzieci i młodzieży, bo przecież wszystko zaczyna się w domu.

Problemem są punkty za współzawodnictwo sportowe, za którymi idą pieniądze. Małe kluby nie

chcą przekazywać najzdolniejszych do większych ośrodków, bo po prostu tracą pieniądze.

Aby walczyć z tym zjawiskiem, zmieniliśmy m.in. system wynagradzania trenerów. Przez lata ministerstwo finansowało tzw. zdobywcze punktowe szkoleniowców. Więcej punktów oznaczało wyższą nagrodę. Gdy byłem jeszcze młodym zawodnikiem, zastanawiałem się, dlaczego moi koledzy w ciągu jednego dnia startują na 100, 200, 400 metrów, w sztafetach 4 x 100, 4 x 400. To było dla organizmu 15-, 16-latką skrajnie obciążające. W efekcie wielu z nich przedwcześnie kończyło obiecujące kariery. Aby temu zapobiec, podnieśliśmy stawki trenerom za tzw. osobodzień na zgrupowaniu, nie za wynik. Trenerzy muszą być lepiej wynagradzani nie za wyniki młodzika czy juniora, ale za medal seniora.

Ministerstwo stara się przekazywać jak najwięcej pieniędzy bezpośrednio do sportowców, z pominięciem związków. To znaczy, że one nieefektywnie wydają środki?

Funkcjonowanie wielu związków sportowych wciąż pozostawia wiele do życzenia. Brakuje transparentności i profesjonalizmu. To olbrzymi problem wszystkich krajów europejskich i nie tylko. Nie mamy możliwości wpływania na kadry ani na proces zarządzania. Mimo że federacje są finansowane przez państwo, muszą pozostać autonomiczne. Staramy się edukować działaczy. Szkolimy ich w ramach nowo powstałej Akademii Zarządzania Sportem, stworzyliśmy i wprowadziliśmy Kodeks Dobrego Zarządzania dla Polskich Związków Sportowych. Niestety, w wielu z nich wciąż spotykamy się z dużym oporem materii w tym obszarze... Stąd pomysł uruchomienia Instytutu Finansowania Sportu. Byłaby to jednostka wspierająca związki w gospodarowaniu funduszami, w której zostaliby zatrudnieni menedżerowie odpowiedzialni za poszczególne dyscypliny. To właśnie oni podpisywaliby umowy ze sportowcami, opłacali obozy. W efekcie środki wreszcie byłyby wydatkowane transparentnie i skutecznie. Jestem przekonany, że pomoże to związkom, które często nie radzą sobie z księgowością czy administracją. Kwestie sportowo-szkoleniowe pozostałyby w kompetencjach PZS-ów. Przeprowadzenie tak dużej reformy wymaga oczywiście czasu. Instytut zacząłby funkcjonować po igrzyskach w Tokio, w 2021 r. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

MARK BOWDEN

„HUE 1968. WIETNAM WE KRWI”

LESZEK ADAMCZEWSKI

„W KRÓLESTWIE HANSA FRANKA”

~~689~~ zł



245,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
444** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Rekordowe wyniki PZU

To był wyjątkowy rok dla Grupy PZU. Zanotowała wysoką sprzedaż i zysk, poprawiła rentowność i wciąż stawia na innowacje



Wśród 13 marca przedstawiciele Grupy PZU ogłosili na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie wyniki finansowe za IV kw. ub.r. i cały 2018 r. Dla największego w Polsce ubezpieczyciela był to czas pod wieloma względami rekordowy. Grupa zanotowała najwyższy od pięciu lat roczny zysk netto w kwocie 5,4 mld zł (w 2017 r. wyniósł 4,2 mld zł), przychody ze sprzedaży (czyli tzw. składka przypisana brutto) w wysokości 23,5 mld zł (22,8 mld zł w 2017 r.) i rentowność na poziomie 22 proc.

– Sprzedażowo rok 2018 był najlepszym rokiem w historii PZU. Natomiast wskaźnik rentowności już teraz osiągnął poziom, który obiecaliśmy inwestorom dopiero 2020 r. – mówił na konferencji prasowej Paweł Surówka, prezes PZU SA. Podkreślił przy tym, że PZU jest jedną z najbardziej stabilnych spółek nie tylko w Polsce, lecz także w Europie.

DYNAMICZNY ROZWÓJ PZU ŻDROWIE

Roman Pałac, prezes PZU Życie, tak podsumował segment ubezpieczeń na życie

i zdrowotny. – Dla ubezpieczeń na życie rok 2018 był trudniejszy niż dla ubezpieczeń majątkowych, ale i tak poradziliśmy sobie bardzo dobrze. Nasza rentowność była blisko dwukrotnie wyższa niż u innych graczy w tym segmencie. Najszybciej rośnie nasz biznes zdrowotny, który dynamicznie rozwijamy – opowiadał.

Na potwierdzenie przytoczył liczby, z których wynika, że już ponad 2,3 mln klientów korzysta z produktów zdrowotnych PZU, a to o 50 proc. więcej niż rok wcześniej. W 2018 r. przychody z segmentu zdrowotnego wyniosły 575 mln zł. Roman Pałac zwrócił też uwagę, że na poprawę wyników przełożyła się rozpoczęta w 2018 r. współpraca z Alior Bankiem i Bankiem Pekao, które wprowadziły do swojej oferty produkty ubezpieczeniowe.

Z kolei Tomasz Kulik, dyrektor finansowy Grupy PZU, mówił m.in. o poprawie wskaźnika kosztów, który w ub.r. wyniósł 6,6 proc.

– Koszty administracyjne na poziomie grupy co prawda wzrosły, ale był to wynik konsolidacji Banku Pekao. Wyłączając działalność bankową, koszty grupy

spadły o 1 proc. rok do roku – wyjaśnił Kulik.

#NOWEPZU PRZYNOSI EFEKTY

Konferencja wynikowa PZU poprzedziła inne ważne dla Grupy PZU wydarzenia, jakim było uroczyste podsumowanie dotychczasowych efektów strategii na lata 2017–2020 r., nazywanej #nowePZU.

– #nowePZU to połączenie dziedzictwa jednej z najstarszych polskich spółek z kreatywnością i innowacyjnością, jakie dają nowe technologie. I chyba nie ma lepszego miejsca, które symbolizowałoby połączenie zgromadzonej przez wieki wiedzy z energią młodego pokolenia, jak Biblioteka UW – mówił do zgromadzonych w bibliotecznej auli gości prezes Surówka.

Na gali w BUW członkowie zarządu PZU zaprezentowali wdrożone w 2018 r. rozwiązania i programy, które są elementem strategii #nowePZU. Były to m.in.: platforma inPZU, która umożliwia inwestowanie w fundusze indeksowe z oferty TFI PZU. Platforma jest dostępna dla klientów całą dobę na dowol-



nym urządzeniu mobilnym. Od 2018 r. z oferty inPZU mogą korzystać klienci indywidualni, a od marca tego także instytucjonalni. Z kolei projekt PZU GO pomaga chronić ludzkie życie zagrożone w momencie wypadku komunikacyjnego. Jak to działa? Klient PZU otrzymuje niewielkie urządzenie typu Bacon, które przykleja na szybie samochodu. Do tego instaluje aplikację mobilną. Pozwala to wychwycić niebezpieczną sytuację na drodze, by w razie wypadku wezwać automatycznie pomoc drogową lub służby ratunkowe. Od grudnia urządzenie dostępne jest dla klientów.

Natomiast wśród celów strategicznych PZU oraz zrealizowanych projektów znalazły się: lepsze wykorzystanie danych, wzrost cross-sellu (współpraca z Pekao SA i Alior Bank oraz rozwój PZU Zdrowie dzięki nowym produktom ubezpieczeniowo-zdrowotnym, a także serwis inwestycyjny inPZU), cyfryzacja procesów (platforma do zgłaszania szkód: zgłoszenie.pzu.pl) i dodatkowe interakcje z klientem platformy, jak np. moje.pzu.pl, dzięki której można w łatwy sposób ubezpieczyć nieruchomość, samochód,

Moje.pzu.pl, czyli wszystko w jednym miejscu

PZU uruchomiło samoobsługowy portal moje.pzu.pl. To jedyna tak kompleksowa platforma obsługowa na rynku ubezpieczeniowym w Polsce, dzięki której można w łatwy sposób ubezpieczyć nieruchomość, samochód, a także wykupić polisę turystyczną czy sprawdzić status pozostałych umów zawartych w PZU. W portalu klienci mogą zarówno umówić wizytę lekarską w ramach opieki medycznej oferowanej przez PZU Zdrowie, jak i zakupić jednostki w funduszach inwestycyjnych dostępnych w TFI PZU oraz skorzystać z tzw. symptom checkera, który pozwala na diagnozę stanu zdrowia on-line. PZU pracuje na kolejnymi rozwiązaniami m.in. wspólnie z Ministerstwem Zdrowia nad wykorzystaniem platformy moje.pzu.pl do bezpiecznego przechowywania wszelkich danych medycznych klientów.

Pomoc To Moc

Od 2018 r. PZU prowadzi akcję „Pomoc To Moc”, która jest ogólnopolskim programem wspierającym lokalne społeczności. Dzięki niemu każdy może zainicjować ważną zmianę w swoim najbliższym otoczeniu. Jak do tej pory do programu zgłoszonych zostało 635 wniosków, z których prawie 100 uzyskało wsparcie finansowe od PZU o łącznej wartości 3,5 mln zł. W ciągu roku od uruchomienia programu skorzystało z niego już ok. 200 tys. osób. Partnerami akcji jest ponad 70 organizacji pozarządowych.

a także wykupić polisę turystyczną lub sprawdzić status innych umów zawartych w PZU.

W kwietniu 2018 r. zarząd PZU powołał też projekt „Prosty język”, który polega na upraszczaniu komunikacji z klientem, co wpisuje się w strategię zakładającą klienta w centrum uwagi, proste produkty i prostą komunikację. Grupa PZU rozwija też partnerstwa strategiczne z największymi przedsiębiorstwami w Polsce, takimi jak: Allegro, PGNiG czy PLL LOT w zakresie sprzedaży i dystrybucji produktów ubezpieczeniowych.

Partnerstwa strategiczne to istotny element strategii Grupy PZU. Kierujemy naszą ofertę w ramach zawartych partnerstw zarówno do klientów indywidualnych, jak i przedsiębiorstw. Chcemy oferować im jak najszerzy wachlarz usług charakteryzujących się wysoką jakością, które będą pomocne w codziennym życiu w każdej możliwej sytuacji – powiedziała Małgorzata Sadurska, członek zarządu PZU.

PRZEJĘCIA I NOWE WYZWANIA

Wieczorna gala w BUW była też okazją do ogłoszenia przełomowych dla rozwoju Grupy wydarzeń. I tak: Roman Pałac, prezes PZU Życie, poinformował o sfinalizowaniu przejęcia 100 proc. udziałów w spółce Falck Centra Medyczne oraz spółce NZOZ Starówka. Dzięki temu liczba placówek medycznych należących do PZU Zdrowie już wkrótce zwiększy się z 65 do 97. Przejęcie centra

medyczne zlokalizowane są w 14 miastach w całej Polsce, łącznie pracuje w nich ponad 1,1 tys. osób.

Natomiast Paweł Surówka ogłosił, że PZU SA i Goldman Sachs Asset Management (GSAM) podpisały list intencji dotyczący współpracy w zakresie zarządzania aktywami. GSAM wesprze tym samym PZU w dążeniu do osiągnięcia jak najlepszych stóp zwrotu z aktywów, a PZU będzie dążyć do udostępnienia swoim klientom produktów zarządzanych (lub współzarządzanych przez GSAM) w swojej sieci dystrybucji (w tym także poprzez platformę inpu.pzu.pl). Współpraca zakłada też stworzenie funduszu na region Europy Środkowo-Wschodniej, zarządzanego przez PZU i udostępnienie go na globalnej platformie dystrybucyjnej GSAM.

– Te wyniki i projekty plasują nas w absolutnej czołówce światowej naszego sektora, zarówno jeśli chodzi o rentowność, stabilność, jak i innowacyjność. Wkraczamy w nowy rok 2019 przekonani, że jako największa polska grupa finansowa pracujemy nad rozwiązaniami, które będą wiodące na całym świecie i myślimy coraz ufniej o naszej pozycji międzynarodowej. Jestem przekonany, że współpraca Goldman Sachs uczyni z PZU najbardziej rozpoznawalną spółkę inwestycyjną z tej części Europy. To jest nowe PZU i w ten sposób krok po kroku staniemy się firmą realnie globalną – podsumował #nowePZU Paweł Surówka.



Z wiceministrem zdrowia
Maciejem Miłkowskim
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Księgowy w Ministerstwie Zdrowia?



KATARZYNA PINKOSZ: Pracował pan w Mazowieckiej Regionalnej Kasie Chorych, Instytucie Matki i Dziecka, Instytucie Kardiologii, NFZ, wszędzie zajmując się finansami. Teraz odpowiada pan za politykę lekową, gdzie z jednej strony są decyzje finansowe, a z drugiej strony – pacjenci i leki ratujące życie. Uda się panu pogodzić sprawy finansowe z ludzkimi?

MACIEJ MIŁKOWSKI: Gdy pracowałem w tych instytucjach, odpowiadałem za zarządzanie, finanse oraz informatyzację, często jednak przebywałem na oddziałach szpitalnych, gdyż np. informatyzowałem diagnostykę laboratoryjną, apteki, poznałem technologie zlecenia i podawania leków na oddziałach intensywnej opieki medycznej. Wtedy też czasem słyszałem słowa od lekarzy: „Nie daję pan pieniędzy, to może pan dyrektor wskaże, którego pacjenta odłączyć od respiratora”.

Mocne pytanie. Nie wygląda pan na osobę, która wskaże, kogo odłączyć od respiratora.

Oczywiście, że nikogo nie odłączaliśmy od respiratora z braku pieniędzy. Takie pytania są często na pokaz, jednak

to prawda, że pieniędzy zawsze mogłoby być więcej.

Wracając do moich doświadczeń – skończyłem studia MBA, a w NFZ przez kilka lat nadzorowałem Departament Polityki Lekowej; z ramienia NFZ prowadziłem też rozmowy z Ministerstwem Zdrowia na temat leków. Nie jest to więc dla mnie obcy temat. Od strony NFZ ustalałem wiele rzeczy strategicznych. Wiem, że z drugiej strony każdej podejmowanej decyzji jest konkretna osoba – pacjent. Jednak pacjenci często traktują lek zero-jedynkowo: działa, nie działa. Jeśli chodzi o leczenie WZW typu C, to nowe leki mają 98 proc. skuteczności. Rzadko która terapia onkologiczna przynosi jednak taki efekt. Z kolei w kardiologii, diabetologii leki są stosowane przewlekłe. To, że kolejna terapia stanie się dostępna, nie oznacza, iż dzięki niej wszyscy pacjenci zaczną żyć w zdrowiu. Często wykonuje się analizy pokazujące, że gdybyśmy sfinansowali leki za 1 mld zł, to gospodarka zyskałaby 10 mld zł oszczędności. Nie zawsze tak jest. Leki nie zawsze są aż tak skuteczne.

Jednak w przypadku onkologii wydłużają życie. Chorzy na szpiczaka 10 lat temu średnio przeżywali trzy lata, dziś żyją sześć lat i więcej, a w innych krajach średnia to już ponad 10 lat.

Są leki znacznie wydłużające życie, ale też takie, które wydłużają przeżycie np. z pięciu miesięcy do pięciu i pół miesiąca. Musimy podejmować odpowiedzialne decyzje. Trzeba wszystko zanalizować, gdyż nowych leków jest dużo i musimy porównywać ich skuteczność. Mamy bardzo wiele pozytywnych ocen AOTMiT, nie jesteśmy jednak w stanie wszystkich leków zrefundować. Niektóre firmy są skłonne obniżyć w Polsce ceny leków, inne nie. Dzisiaj mamy pewną grupę leków czekających na decyzję, ale za miesiąc będą kolejne, może zdecydowanie bardziej efektywne. Nie można podejmować decyzji pochopnie, trzeba temat rozemnać. Jeśli któraś z firm nie chce obniżyć ceny, a wartość leku nie przemawia za refundacją, to decyzja nie jest pozytywna.

Objął pan politykę lekową po wiceministrze Marcinie Czechu, który był atakowany, gdy nie było pozytywnej decyzji o refundacji, ale też wtedy, gdy

taka decyzja była. Nie obawia się pan, że teraz będzie tak samo?

Już widziałem wpis: „księgowy w Ministerstwie Zdrowia”. Zawsze staram się wykonywać swoją pracę uczciwie. Na razie firmy nie za bardzo mogą mnie lubić, bo niektóre musiały obniżyć ceny. Mówię tak: musimy wydać 100 proc. pieniędzy, które mamy na refundację leków. I je wydamy. Chcę tylko, żeby robić to efektywnie.

Negocjujemy ceny. Nasza komisja ekonomiczna jest ceniona za granicą za bardzo uczciwe traktowanie oferentów. Negocjacje przynoszą efekty, ale nie każda firma musi się zgadzać. A niektóre technologie lekowe są tak drogie, że za leczenie dwóch pacjentów można by utrzymać przez rok cały oddział szpitalny.

Czy z natury jest pan rewolucjonistą, czy woli pan spokojne zmiany? Pytam w kontekście polityki lekowej: Będzie rewolucja czy kontynuacja?

Raczej kontynuacja. Można wiele rzeczy negocjować, ale czasem firmy próbują nas przypierać do muru. Niektóre mają pozycję monopolistyczną, a trudno podejmować decyzje, gdy jest tylko jeden lek i istnieje ryzyko, że pacjent utraci możliwość leczenia, jeśli nie wynegocjujemy ceny. Na pewno nie możemy w przypadku leków ratujących życie doprowadzać do sytuacji, kiedy mimo tego, że pacjenci mają zagwarantowaną możliwość terapii, nie jest ona dostępna, gdyż NFZ nie ma odpowiednich środków finansowych. Niestety, zdarzały się kolejki oczekujących na terapię refundowane, które powinny być dostępne. Jeśli dopuszczamy leki, to musimy leczyć wszystkich pacjentów, w przypadku których jest to konieczne.

Polscy pacjenci często czekają przez lata na leki dostępne w wielu krajach, także naszego regionu. Jak chciałby pan tę sytuację zmienić?

Negocjując ceny. Jedną z fundacji przygotowała Oncoindex, z którego wynika, że Polska leczy nowotwory nieinnowacyjnie. Jednak nikt w Europie nie stosuje wszystkich najnowocześniejszych leków. A Polska ma zdecydowanie mniej środków, mniejszy udział PKB na zdrowie, a ponadto nasz PKB jest niższy. Tymczasem często firmy chcą, by ich ceny były u nas wyższe niż w innych krajach.

Podobno w Polsce ceny leków refundowanych są najniższe w Europie...

Nie zawsze tak jest. Bywa, że w Polsce ceny są wyższe niż w takich krajach jak Norwegia, Dania, Wielka Brytania, Węgry.

Jakie ma pan priorytety, jeśli chodzi o politykę lekową?

Jest kilka ustaw, które chcielibyśmy procedować: o zawodzie farmaceuty, o wyrobach medycznych, zmiana ustawy refundacyjnej.

A jeśli chodzi o leki?

Wciąż pojawiają się nowe leki w onkologii i hematologii – trzeba tę sprawę uporządkować. Jeśli chodzi o cukrzyce, to przeanalizujemy wszystkie terapie, które oczekują na decyzję refundacyjną i znajdują się na różnych etapach oczekiwania na jej podjęcie. Warto przyjrzeć się systemom do monitorowania glikemii. Jeśli chodzi o kardiologię, to na decyzję czeka lek w niewydolności serca. Pytanie: Czy mamy dobrze zorganizowaną opiekę nad chorymi? Wydaje się, że w tej sprawie jest jeszcze wiele do zrobienia. Często lekarze POZ wystawiają chorym skierowanie do szpitala,

Patrzmy osobno na budżet lekowy i nielekowy, ale de facto to ten sam budżet.

Firmy nie chcą porównywać tych dwóch różnych technologii, bo mogłoby się okazać, że wypadają w zestawieniu bardzo niekorzystnie

bo nie są w stanie szybko skonsultować pacjenta ze specjalistą. Gdyby mieli taką możliwość, to być może skierowań do szpitala byłoby mniej, co zmniejszyłoby koszty leczenia i pojawiłyby się oszczędności.

A choroby rzadkie? Niedawno pojawił się w refundacji lek na SMA. Choroby rzadkie będą inaczej traktowane, co już od dawna jest postulowane?

Każdy przypadek rozpatrujemy osobno, będziemy przyglądać się efektywności danej terapii.

Niektóre leki były wprowadzane do programów lekowych jeszcze przed ustawą refundacyjną. Być może nie jest zasadne kontynuowanie nimi terapii, gdyż inne leki byłyby dużo bardziej skuteczne i tańsze. Trzeba to spokojnie analizować. Były przypadki, kiedy lek był

skuteczny, gdy jednak firma wprowadzała nowy lek, kilka razy droższy, nagle się okazywało, że wielu pacjentów od razu źle toleruje dotychczasową terapię i musi właśnie dostać ten nowy innowacyjny oraz drogi lek.

Zmienia się koncepcja leczenia onkologicznego. Pojawia się wiele leków, które nie prowadzą do wyleczenia, za to stabilizują chorobę. Pacjent żyje. Czy nasz system refundacyjny za tym nadąży?

Pytanie, jak wydłużył się czas przeżycia w ciągu ostatnich 10 lat. Nowych leków przybywa bardzo wiele. Czy jednak analogicznie wydłużył się czas przeżycia?

Statystyki pokazują, że tak, choć na pewno nie jest to jeszcze to, czego byśmy chcieli.

Niedawno skokowo przeznaczyliśmy znacznie więcej pieniędzy na leczenie raka płuca. Zobaczymy, jakie będą efekty, jednak prof. Tadeusz Orłowski zaznacza, że według niego przeżycia znacznie bardziej by się wydłużyły, gdybyśmy szybciej diagnozowali pacjentów i więcej ich operowali. Istnieją powiaty z bardzo wczesną wykrywalnością, gdzie większość nowotworów może być leczona operacyjnie, i takie, gdzie stadia choroby w momencie rozpoznania nie pozwalają na operację. Koszt leczenia we wczesnych fazach byłby znacznie niższy niż finansowania bardzo drogich leków i oczywiście czas przeżycia w tych obu przypadkach bardzo istotnie się różni. Trzeba patrzeć łącznie na wszystkie strategie terapeutyczne, leczyć najbardziej efektywnie na początku, żeby choroba się nie rozwijała. Patrzmy osobno na budżet lekowy i nielekowy, ale de facto jest to ten sam budżet. Firmy nie chcą porównywać tych dwóch różnych technologii, bo mogłoby się okazać, że wypadają w takim zestawieniu bardzo niekorzystnie.

Budżet na refundację leków został ściśle określony, m.in. w dokumencie „Polityka lekowa państwa”. Chciałby pan to zmienić?

Nie, trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że czasem zmiana organizacyjna przynosi większy efekt zdrowotny niż leki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Maciej Miłkowski – podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia, był m.in. zastępcą dyrektora ds. ekonomicznych IMiD, Instytutu Kardiologii, zastępcą prezesa NFZ ds. finansowych.



JACEK KOMUDA

GRZECZY PIASTÓW

Masław sięga po tron

Masław był jednym z wielu możliwych, którzy próbowali odsunąć od władzy ród Piastów.

W wizjach pisarzy i historyków stał się pierwszym znanym z imienia buntownikiem lub warchołem, odległym protoplastą późniejszych Zborowskich, Stadnickich, Radziejowskich, a nawet targowiczian.

Stanisław Kętrzyński w biografii Kazimierza Odnowiciela podaje, że Masław (niektórzy historycy podają inne wersje tego mienia: Mojsław i Miećław) był zaufanym częśnikiem Mieszka II. Wziął udział w buncie możnych przeciwko królowej Rychezie, czym doprowadził do jej wypędzenia, potem zaś pozbył się jej syna – Kazimierza. W 1037 r. przejął władzę na Mazowszu, gdzie, jak podaje Długosz, został wybrany na księcia i stworzył załazek własnego państwa. Zawarł też strategiczne sojusze z poganami – Prusami, Jaćwingami, Pomorzanami i Litwinami.

Mazowsze w czasie chaosu, który ogarnął ziemie królestwa polskiego w latach 1031–1037, gdy wybuchł bunt przeciwko władzy królewskiej, było oazą spokoju. Tutaj chronili się uciekinierzy z Wielkiej i Małej Polski. „W tym czasie mianowicie Mazowsze było tak gęsto zaludnione przez Polan, którzy – jak powiedziano – uciekali tam poprzednio, iż pola roiły się od oraczy, pastwiska od bydła, a miejscowości od mieszkańców” – pisał Gall Anonim. To wszystko sprawiło, że państwo Masława stało się głównym rywalem królestwa polskiego, odrodzonego przez Kazimierza Odnowiciela. Zagrożony przez Czechów, Pomorzan i Mazowsze, zawarł on sojusz z księciem kijowskim Jarosławem, biorąc za żonę jego siostrę – Dobronię. Około roku 1041 próbował rozprawić się z Masławem, aczkolwiek historycy gubią się w domysłach, czy udało się już wówczas pokonać rywala.



FOT. WIKIPEDIA

Najprawdopodobniej Masław, zagrożony atakiem dwóch przeciwników – Polski i Rusi – wezwał na pomoc Pomorzan i Prusów; być może też zaatakował pierwszy Wielkopolskę, co pozwala przypuszczać, że zamierzał pokonać Piastów i zjednoczyć kraj pod własnym panowaniem. Został jednak pobity w bitwie pod Pobiedziskami lub Ostrowiem. Musiał zawrzeć rozejm z Kazimierzem, jednak książę nie był w stanie usunąć go z Mazowsza. Kętrzyński z kolei uważał, że to wojska Kazimierza oraz ruskie wkroczyły na Mazowsze i wspólnie pobiły buntownika, ale pozostali historycy przesuwają ostateczną rozprawę na rok 1047. Wówczas Kazimierz i Jarosław mieli rozgromić Masława i jego pogańskich sprzymierzeńców. Władca Mazowsza zginął na polu walki lub też uciekł do Prus i został tam zabity przez pogan rozwścieczonych stratami. Jak podaje mistrz Wincenty Kadłubek, „na najwyższej powiesili go szubienicy”.

Z walkami z Masławem wiąże się niewyjaśniony szczegół historyczny. Otóż Gall Anonim dokonuje ciekawego rozróżnienia pomiędzy sojusznikami bohatera Pomorzanami, określanymi mianem

pogan (discolae), a Mazowszanami, opisywanymi jako „fałszywi chrześcijanie” (falsi christicolae). Historycy nie wiedzieli, co z tym począć. Joachim Lelewel uważał, że Masław był poganinem i przywódcą koalicji wymierzonej przeciwko chrześcijanom. Jednak hipotezy o pogańskim buncie na Mazowszu można odrzucić – Gall Anonim na pewno zaznaczyłby ten fakt, gdyby znienawidzony Masław był zwolennikiem pogaństwa. Kolejny argument podnosi Janusz Bieniał, zauważając, że na obszarze Mazowsza nie mieliśmy do czynienia z ani jednym wypadkiem buntu miejscowej ludności.

Najciekawszą interpretację stworzył Henryk Paszkiewicz, który uważał, że termin „falsi christicolae” oznaczał... chrześcijan innego obrządku niż rzymski (a mamy przecież czasy rozdzielenia się Kościołów i za chwilę wielką schizmę). Oznaczało to, że poddani Masława byli zwolennikami słowiańskiego obrządku chrześcijańskiego. I być może na Mazowszu istniała metropolia konkurencyjna wobec Rusi, założona przez Chrobrego. Walka z Masławem byłaby zatem wojną dwóch rytów chrześcijaństwa: zachodniego, wspieranego przez sprowadzone z Rzymu i Rzeszy duchowieństwo Kazimierza Odnowiciela, i... polsko-słowiańskiego, który powstał lub zachował się na Mazowszu.

Nie zgadza się z tym Janusz Bieniał, który uważa, że zwrot „fałszywi chrześcijanie” oznacza po prostu buntowników, jako że każdy, kto powstawał przeciwko władzy pochodzącej od Boga, występował zarazem przeciwko chrześcijaństwu. Nie można jednak wykluczyć, że Masław, budując własną państwowość, odrębną od piastowskiej Polski, popierał własną, słowiańską liturgię, noszącą nawet znamiona herezji. ©

PIZZA DARIUSZA KUŹNIAKA

Pizza to dla mnie klasyka w każdym calu. Zaspokaja pragnienia smakoszy niezależnie od wieku. Ma tyle wcieleń, ile jest upodobań. O gustach się nie dyskutuje, więc przedstawię własną wariację na temat pizzy. Przepis prosty i naprawdę smaczny!

Moja pizza w pierwotnej wersji nie ma sosu – wytwarza się on samoistnie – dopiero w piecu, gdzie pod wpływem temperatury pomidory ulegają „transformacji” i uwalniają niezwykle aromatyczne soki. Po wyjęciu z piekarnika tak przygotowanej pizzy poczujeś aromat wszystkich składników, których użyłeś. Aby zachować charakterystyczny dla mojego przepisu smak, stosuj prostą zasadę: „Nie ilość, ale jakość”.

Składniki (2 porcje):

Ciasto:

- 250 g mąki
- 125 ml ciepłej wody
- 12 g drożdży
- 1,5 łyżeczki cukru
- 1,5 łyżeczki soli
- 15 ml oliwy

Dodatki:

- 3 małe pomidory
- kulka mozzarelli
- kilka listków bazylii
- łyżka oliwy
- kilka listków oregano
- łyżka tartego parmezanu

- szczypta soli
- szczypta pieprzu

Przygotowanie:

Posiadanie wszystkiego „pod ręką” bardzo ułatwia sprawne i czyste działanie. Przygodę z pizzą zacznij od ciasta. Do dużej miski włoż drożdże z cukrem (daj im kilka minut), a następnie zalej je letnią wodą i dodaj sól oraz oliwę. Po wymieszaniu wysyp mąkę i zagniataj ciasto. Zarobioną masę przykrywamy i odstawiamy na „leżakowanie” na ok. 30 min. Kolejnym etapem jest oczywiście formowanie ciasta. Wszystko robimy ręcznie, nie używając wałka. Na ciasto położone na blasze z pergaminem wykładamy sugerowane dodatki (w kolejności): pomidor, biała mozzarella. Do rozgrzanego na maksa (250 st. C) piekarnika włoż swój twór na 12 minut. Po upływie wyznaczonego czasu wyjmij pizzę, wbij na nią 2 jajka i wrzuc do „pieca” na maks. 5 minut! Całość udekoruj tartym parmezanem, listkami bazylii, oliwą oraz pieprzem. Smacznego! ☺☺

oprac. raw

Dariusz Kuźniak
jest szefem kuchni,
prowadzącym
programy kulinarne,
przedsiębiorcą.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szwajcaria do jedzenia



JAMES R. BREIDING
„SWISS MADE.
NIEZNANA
HISTORIA
SZWAJCARSKIEGO
BIZNESU”
AGORA 2016

Szwajcarska kuchnia nie ma takiej renomy jak włoska i francuska, to jasne. Zna się ledwo fondue, jeżeli w ogóle. Jednak czytając książkę „Swiss made. Nieznana historia szwajcarskiego biznesu” Jamesa R. Breidinga, dowiedziałam się, że wiele artykułów spożywczych, które jadamy na co dzień, ma swoje źródła właśnie w Szwajcarii.

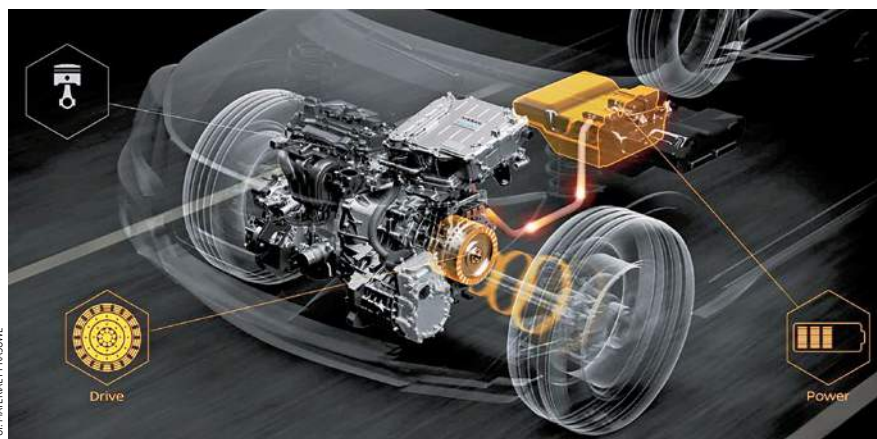
Nestlé, Lindt, Suchard, Knorr, Jacobs, Gerber, Tobler – te nazwy znamy z etykietek. Jednak czy wiemy, że byli to przedsiębiorczy panowie, którzy rozkręcili swoje biznesy, niektórzy jeszcze w XIX w., kiedy o międzynarodowych korporacjach nikt nie słyszał? Nie wszyscy byli rodowitymi Helwetami, ale jak widać, spokojna Szwajcaria stwarzała najkorzystniejsze warunki dla rozwoju przedsiębiorczości.

Henri Nestlé przybył tu z Frankfurtu w młodym wieku i już przed trzydziestką miał własną fabrykę aromatyzowanych napojów gazowanych. Widząc, jak wiele młodych kobiet całe dnie spędza w pracy, nie mogąc karmić piersią swoich dzieci, postanowił dać im wygodny i wzbogacony witaminami substytut mleka matki. Tak zaczęło się Nestlé. Produkt zrobił karierę, najpierw w Europie, potem na świecie, zaraz po nim sukcesem stały się odżywki dla dzieci. Globalnym hitem została wypuszczona w 1938 r. kawa rozpuszczalna – Nescafé, której późnym następcą zostało Nespresso.

Nestlé kojarzy się z mlekiem i ze słodyczami, ale prawdziwie szwajcarską specjalnością jest czekolada. Jej wizerunek stworzył Philippe Suchard, cukiernik i właściciel manufaktury, prekursor czekolady mlecznej. Trzecim królem czekolady został Rodolphe Lindt, któremu udało się wyprodukować pierwszą czekoladę o aksamitnej konsystencji. Sprzedawał ją za pośrednictwem Jeana Toblera (to już czwarty magnat czekoladowy), który niezadowolony z niewielkiej prowizji założył własną fabrykę.

W firmie pana Nestlé początkowo pracował również Klaus Jacobs, pochodzący z arystokratycznej rodziny z Bremy zajmującej się eksportem kawy. Przejął stery od ojca i połączył się z firmą Suchard, tworząc największy wówczas w Europie koncern kawowo-czekoladowy. Terytorium zup w proszku opanował Carl Heinrich Knorr, który swój biznes założył w roku 1838, korzystając z mody na dania błyskawiczne. Przebojem okazał się rosół z makaronem.

A dziś? Już nie przedsiębiorczy panowie, tylko pazerne koncerny. Cóż, takie czasy. ☺☺



niewielkiego zasięgu zwykłych „elektryków” inżynierowie rozwiązali, montując pod maską silnik benzynowy, który pełni funkcję generatora prądu i doładowuje akumulator.

INFINITI ZNIKA Z EUROPY ZACHODNIEJ

Już w lipcu obecnego roku zakończy się produkcja modeli Q30 i QX30 w zakładzie w brytyjskim Sunderland. W pierwszym kwartale 2020 r. zamknięte mają zaś zostać wszystkie salony sprzedające Infiniti w Europie Zachodniej.

Przedstawiciele Nissana, do którego należy marka Infiniti, uznali bowiem, że sprzedaż tych aut na Starym Kontynencie przestała się opłacać. Menedżerowie Infiniti chcą się więc skupić na Ameryce Północnej, Chinach, na Bliskim Wschodzie i... na Europie Wschodniej (np. Rosji).



Jak napisał w komunikacie dla „Do Rzeczy” Radosław Pszczółka, rzecznik marki w Polsce, do końca marca 2020 r. sieć sprzedaży Infiniti będzie funkcjonowała bez zmian. W ofercie marki w Polsce pozostają modele Q30 i QX30, produkowane w Japonii Q50 i Q60, a także wprowadzony do sprzedaży w Polsce, poza siecią INFINITI Europe, QX60.

VOLKSWAGEN POŻEGNA SILNIKI SPALINOWE

Do 2028 r. niemiecki producent samochodów planuje sprzedać aż 22 mln elektrycznych pojazdów. Kluczem do sukcesu ma być m.in. atrakcyjna cena, o wiele niższa, niż obecnie trzeba zapłacić za nowego „elektryka”. Auta elektryczne koncernu mają być produkowane w 18 fabrykach na całym świecie, w tym w Polsce. Ostatni nowy samochód VW z napędem spalinowym ma zostać sprzedany w roku 2040. Nowa strategia to zła wiadomość dla pracowników koncernu. Produkcja aut elektrycznych wymaga bowiem mniejszej siły roboczej, a to oznacza zwolnienia. ©© **Jacek Przybylski**

AUTO PRZYSZŁOŚCI?

Nissan zaprezentował podczas Międzynarodowego Salonu Samochodowego w Genewie nowy koncepcyjny model IMQ z napędem na cztery koła. Futurystycznie wyglądające autonomiczne auto jest naszpikowane nowoczesnymi technologiami. Jedną z nich jest trójwymiarowy interfejs, który pozwala kierowcy zobaczyć to,

co „niewidzialne”, co ma ułatwiać pokonywanie zakrętów lub wybór optymalnego pasa ruchu. W aucie „inteligentne” są nawet opony, które przekazują kierowcy informacje o głębokości bieżnika, obciążeniu, ciśnieniu etc.

Sercem nowego modelu jest układ napędowy e-POWER o mocy 250 kW i momencie obrotowym wynoszącym aż 700 nm, czyli większym niż w przypadku modelu GT-R. Problem

KAŻDY PIĄTEK 19:45

**NOWY
PROGRAM**

PREMIERY



MAGAZYN FILMOWY PIOTRA GOĆKA

KINO



DVD ♦ BLU-RAY ♦ STREAMING

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zawracanie Wisły piórem



ANDRZEJ NOWAK

Dotała właśnie do mnie interesująca wiadomość: na kierunku polonistyka-komparatystyka na Uniwersytecie Jagiellońskim „postanowiono wystąpić o CAŁKOWITE zniesienie przedmiotu historia Polski”. Zajmował ów przedmiot dotąd, już w szczątkowej formie, 30 godzin, dla całego kilkuletniego kursu programowego. Teraz poloniści studium na najstarszym i wciąż jednym z najlepszych uniwersytetów polskich nie będą już musieli wiedzieć, skąd się wzięła Polska, w jakim kontekście historycznym

niami z przeszłości. Będzie można dzięki temu, tak jak udało się to już niektórym interpretatorom, stwierdzić kategorycznie, że polska literatura jest po prostu literaturą kolonialną albo – przygotowanym, a później usprawiedliwieniem Holocaustu. I już wszystko będzie jasne, niekomplikowane przez jakieś niewygodne, niepasujące do teorii „fakty”.

Piszę o tym, postulowane bowiem zmiany programowe na polonistyce-komparatystyce UJ nie są przypadkiem izolowanym. Są przykładem zjawiska znacznie szerszego, wielkiej fali zmian zgodnej z duchem „Konstytucji dla Nauki” premiera Gowina (przeciw której miałem już smutną okazję protestować – bez skutku). Co ważniejsze – są one, tak jak i owa reforma, niesione wielką falą zmian naszej cywilizacji. Nazywam te zmiany agonią.

Dzięki ostatecznemu oderwaniu języka od historii nie tylko zgubi się jego znaczenie dla tożsamości pewnej historycznej wspólnoty, którą język – jako narzędzie wspólnej komunikacji – tworzy i przez którą jest on tworzony. Zgubi się coś jeszcze, może nawet bardziej istotnego: będziemy mogli „odkleić” nasz język od rzeczywistości. A wraz z językiem nasz umysł. Veritas est adequatio rei et intellectus. Prawda jest adekwatnością intelektu i rzeczy (wistości). Ta staroświecka definicja, pochodząca od Awicenny i św. Tomasza, a zakorzeniona jeszcze głębiej w mądrości Arystotelesa, wyrażała dobre znaczenie związku między tym, co jest zdolny wyrazić nasz język, a rzeczywistością, która jest tej zdolności jedynym sprawdzianem. Jedynym zaś sprawdzianem terażniejszości pozostaje historia: bo, obok rozpoznania terażniejszości, tylko o historii możemy dowiedzieć się czegoś względnie

pewnego. I tę wiedzę skonfrontować możemy z tym, co nas otacza. Sprawdzić: czy idziemy w dobrym kierunku? Czy było kiedyś inaczej, może nawet lepiej, pod jakimś względem?

Komparatystyka bez historii jest zabawą w próżni. Jednak zabawą nie bez poważnych konsekwencji. 2232 lata temu Pierwszy Żółty Cesarz (Qin Shi Huang) nakazał spalić wszystkie książki opisujące przeszłość. Pierwszemu totalitarnemu władcy Chin chodziło o to, żeby nikt nie mógł skrytykować czasów obecnych (czy też ich ideologicznej wizji) za pomocą wiedzy o tym, co było wcześniej. „Kto będzie się na starożytność powoływał, przeciwstawiając się czasom obecnym, niechaj zostanie zabity wraz z całym swoim rodem”. Wiedzę o przeszłości mieli przechować tylko ci, którzy dzierżą urząd Uczonych o Rozległej Wiedzy. To był stary, aktualny do czasów Stalina model totalitaryzmu. Nowy jest inny: to szkoła unieważnienia prawdy. Doskonale wyraża ją amerykański mistrz współczesnej teorii literatury (a więc pośrednio i naszej polonistyki), Stanley Fish. Jak przekonuje w swej książce „Doing What Comes Naturally”, jedyny istotny konflikt przeciwstawia dwie formacje człowieka: homo seriosus (człowiek starożytności, sporów o prawdę, przywiązań do tożsamości, do rodziny, do ojczyzny, do miejsca, do polityki) i homo rhetoricus. Ten ostatni, nowy człowiek „zostaje wytrenowany nie do tego, by odkrywać prawdę, ale by nią manipulować”. Dla homo rhetoricus „rzeczywistość jest tym, co akceptujemy jako rzeczywistość, co jest użyteczne”. Historia nie jest użyteczna. Chyba że byłaby to np. historia (a właściwie: retoryka) „nowej polskiej szkoły historyków Holocaustu”... ©

Bieniu był dla mnie jak dziadek.
Gierek był jak ojciec. Jaruzelski jak brat,
a dzieci moje są, wszędzie!



tworzy się polski język i literatura, jakie sensy odczytać można (a nawet trzeba, jeśli chce się zrozumieć) w „Pieśniach” Jana Kochanowskiego, „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza, w „Balu w operze” Juliana Tuwima, w buncie Witolda Gombrowicza przeciwko Henrykowi Sienkiewiczowi czy nawet w buntach przeciw polskiej historii naszych współczesnych „drugorzędnych pisarzy pierwszorzędnych”, takich jak Olga Tokarczuk czy Szczepan Twardoch. Po prostu już nie będzie trzeba krępować wyobraźni interpretacyjnej i swobody komparatystycznej tym, co pogardliwie nazwać można faktami czy też wydarze-

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Tolerancja
dla homofobów?

Ze co? Że gadam ze sobą? Może, może czasem. Może i prowadzę ze sobą wewnętrzne dysputy, na bardzo różnym, przyznam, poziomie. Ja myślę, że duża część populacji dyskutuje ze sobą, argumenty wystawiając na próbę swoich własnych kontrargumentów. Ale nikt się nie przyzna, bo wiadomo, trochę wstyd tak ze sobą gadać.

Też się nie przyznam. No gdzie? A chcą państwo trochę posłuchać, jak ze sobą gadam skrycie? Dobra!

To jedziemy. „Sławciu, ja cię bardzo proszę, ty tylko nie pisz niczego o LGBT, bo czego, Sławciu, nie napiszesz, będzie i tak niedobrze”. „Weź, co ty mówisz, czemu ma być niedobrze, można o LGBT napisać mądrze i uczciwie w atmosferze wzajemnego zrozumienia oraz szacunku, można przecież”. „Co ty, Sławciu! To teoria jest, w praktyce, jeśli napiszesz, że dzieje się LGBT wielka krzywda i że są łamane prawa, i że trzeba więcej edukacji w szkołach o seksie czterolatkom, to cię napadną, że ty jesteś niszczyciel rodziny i że coś kręcisz. A jak napiszesz, że im się nie należy więcej, niż te środowiska mają, i że czego oni chcą, to wyjdzie, Sławciu, że ty jesteś tępym homofobem antyeuropejskim, i że trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe. Weź, Sławciu, o tym nie pisz. Wystarczy może, że napiszesz zamiast LGBT pełną nazwę, że chodzi o kartę Lesbijek, Gejów, Biseksualistów, Transwestytów, i już możesz być bardzo źle

obejrzany. A tak swoją drogą, Sławciu, to ty dużo znasz transwestytów i biseksualistów?”. „Wstyd przyznać, ale osobiście to nie za dużo, ale to nie znaczy, że nie ma problemu społecznego”. „Problem jest, problem jest społeczny, całe społeczeństwo rozgorączkowane, nikt nie wie, o co do końca, tak w szczegółach, chodzi, no to jest problem”.

„Ale wiesz, Sławciu, co mnie tak interesuje?”. „No, co?”. „No bo tu jest taki trochę paradoks”. „Jaki?”. „No że jak te środowiska LGBT domagają się tolerancji i szacunku dla siebie, to czy one np. mogłyby szanować i tolerować homofoba?”. „Nie no, skąd, homofoba, nie można przecież tolerować”. „Czemu? No takie ma poglądy”. „To nie są poglądy, to jest nienawiść zwierzęca”. „Dobra, już dobra, przecież tylko tak pytam, czy się każdemu należą jakaś tolerancja i szacunek”. „W zasadzie tak, ale w praktyce no to nie. Nie można do tego dopuścić, żeby tak każdemu”. „Ciekawe, ciekawe”. „A ty słyszałeś, że wyrzucili z pociągu w Polsce takiego pana pisarza, który mówił źle o LGBT i używał słowa, którego geje nie lubią, ponieważ ich obraża”. „To niedobrze, że go wyrzucili, Sławciu?”. „Nie wiem, wiesz, w sumie temat do dyskusji”. „Kiedyś to kibole się wzajemnie wyrzucali z pociągów”. „Tak, to było bardzo prymitywne, świat idzie naprzód, Sławciu. My jako społeczeństwo edukujemy się, na wyższe wchodzimy poziomy cywilizacyjne, teraz się wyrzuca pisarzy”. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Tato, a Messi
powiedział

Messi potępił polski faszyzm? Chociaż – jak mawiał marszałek Piłsudski – nie można wierzyć we wszystkie cytaty znalezione w Internecie, ten jeden nie wymagał weryfikacji. Wystarczy wystawić głowę za okno, aby ujrzeć brunatne bojówki władzy, pacyfikujące tęczowe pochody opozycji. Być może tak pomyślał prof. Paweł Śpiwak, który rozpoczął swój wywiad w „Polityce” od konstatacji, że ponurą sytuację nad Wisłą zauważył nawet gwiazdor Barcelony. A ponieważ autorytetem ufa się na słowo, dziennikarka tygodnika przyjęła sytuację do wiadomości. Za nią przyjęli korekta, edycja oraz redaktor naczelny, wysyłając numer do druku. I dopiero na samym końcu złośliwe prawnicze media wytknęły uczonemu, że Messi jednak się nie wypowiadał, a człowiek, który chce uchodzić za obiektywnego badacza i komentatora rzeczywistości, nabiera się na mem krążący po Demotywatorach niczym przynęta na łykających antypisowski kontent aktorów i pisarzy.

Cóż, zdarza się. W końcu stara łacińska sentencja głosi, że błędzić jest rzeczą ludzką. Jej drugi, mniej znany fragment dodaje jednak, że rzeczą głupcą jest w błędzie pozostawać. Ciężko stwierdzić, którą z tych pozycji przyjął prof. Śpiwak, ale faktem jest, że zapytany w radiu o lekkość, z którą powielił fake newsa, odparł: „A w sumie co się stało?”. Przecież nawet jeśli Messi nie wystraszył się słowiań-

skich faszystów, to mógł się wystraszyć. Zupełnie jak Jacek Hugo-Bader, wymalowany pastą do butów na marszu narodowców, którego nikt nie obraził, ale w myślach chciał obrazić. A on to czuł. Czuł się ofiarą wiszącego w powietrzu niewysłowionego rasizmu.

Profesor Śpiwak, nie poznając skali swojej intelektualnej porażki, bronił się jednak, że „jeździ trochę po świecie” i słyszy „od ludzi”, iż „wizerunek Polski jest fatalny”. A skoro tak, nawet bez słynnego piłkarza nikt nie musi przekonywać zachodnich elit, że Polska stacza się w odmęty szaleństwa. Zakłamuje historię Holocaustu, szczuje jednych na drugich, a on sam „nie może już znieść tej retoryki ratowania Żydów przez Polaków”. Podobnie jak nie może znieść tworzenia pod patronatem Ministerstwa Kultury Muzeum Getta Warszawskiego, którego budowie wcześniej sam kibicował.

A teraz na poważnie. Czy nam się to podoba, czy nie, w takim świecie społeczno-politycznym żyjemy. Fakty stają się wtórne wobec przekonań, a kontekst służy temu, kto sprawniej wywróci go do góry nogami. Gdy brałem ostatnio udział w konferencji o fake newsach, jeden z uczestników zapytał mnie, w jaki sposób można z nimi skutecznie walczyć. Myślę, że najlepiej wykorzystać siłę kłamstwa przeciw niemu samemu – wyśmiać, obnażyć, zdemaskować. Przynamniej tak tłumaczył mi kiedyś Cristiano Ronaldo i tego zamierzam się trzymać. ©©

OKIEM BLOGERKI

Przedwyborcza walka dziećmi



KATARYNA

KRYSTYNA PAWŁOWICZ: *Liberalno-lewackie środowiska najpierw propagują wśród dzieci i młodzieży nienaturalne postawy i relacje, a potem, gdy te zaburzone zachowania są przez rówieśników brutalnie wytykane, i w skrajnych sytuacjach kończą się tragicznie, lewacy ideolodzy patologii obyczajowych odwracają kota ogonem i fałszywie, bezzwłocznie lamentują nad „morderczą nietolerancją” rówieśników. Nie siejcie patologii, nie będzie jej śmiertelnego żniwa.*

Tylko co wtedy z tak dobrze zapowiadającą się wojną ideologiczną?

Tak kilka lat temu Krystyna Pawłowicz skomentowała samobójczą śmierć gnębionego przez rówieśników za rzekome „pedalstwo” Dominika z Bieżunia. Późniejsze śledztwo potwierdziło nie tylko to, że Dominik był przez szkolnych kolegów prześladowany, lecz także to, że fakt ten zgłaszał nauczycielom. Bez reakcji. Dwa lata po samobójczej śmierci Dominika z podobnych powodów zabił się 14-letni Kacper, a przed nim i po nim pewnie dziesiątki innych dzieci, które

nie mogły się pogodzić z własną orientacją seksualną, a środowisko im tego pogodzenia nie ułatwiało. Według wszystkich badań odsetek dzieci mających myśli samobójcze jest większy wśród tych podejrzewających się (lub podejrzewanych) o odmienną orientację seksualną. A przecież Polska i bez nich jest w ścisłej europejskiej czołówce pod względem liczby samobójstw wśród dzieci i młodzieży. Jesteśmy bodajże na drugim miejscu. Wiecznie niedoinwestowana polska szkoła jest źle przygotowana do radzenia sobie z rosnącym zjawiskiem przemocy fizycznej i psychicznej, dotyczącej młodzieży z różnych powodów. Tylko kto miałby coś w tej sprawie robić, jeśli wielu szkół nie stać nawet na zatrudnienie psychologa lub pedagoga. W dużych miastach jest mniej niż jeden na tysiąc uczniów, a na wsiach jest jeszcze gorzej.

To jest kontekst, w którym pojawia się pomysł Trzaskowskiego na realizację w warszawskich szkołach Karty LGBT+, i kontekst, w jakim rozwija się dyskusja o tym, jak bardzo edukacja seksualna „przestawi” zdrową heteroseksualną młodzież na zgubny homoseksualizm, który wystarczy dobrze wypromować, żeby się wszyscy skusili. Nie jestem ekspertką, ale to

raczej tak nie działa. I nie wiem zrozumieć, co złego by się stało, gdyby jakiś kolejny Dominik czy Kacper spotkał w swojej szkole kogoś, kto mu pomoże pogodzić się z tym, czego zmienić się nie da. I żeby już nigdy żadne dziecko nie pomyślało, że jedynym rozwiązaniem problemów spowodowanych własną innością jest śmierć. Niestety, ponieważ do rozmowy o wychowaniu zabrali się politycy i prowadzą ją w przededniu kampanii wyborczej, nie będzie to rozmowa normalna ani konstruktywna. Nie porozmawiamy o tym, czego i kto ma uczyć, a przede wszystkim – czy obowiązkowo. Jeszcze by się bowiem, nie daj Boże, okazało, że konflikt – jeśli się go tylko prawidłowo zdefiniuje – jest łatwo rozwiązywalny: wszystkie zajęcia z edukacji seksualnej będą jako pozalekcyjne, tylko za pisemną zgodą rodziców, i po przedstawieniu im szczegółowego programu prowadzone nie przez samowolnych aktywistów, lecz przez wykwalifikowaną kadrę pedagogiczną. Tylko co wtedy z tak dobrze zapowiadającą się wojną ideologiczną? W roku podwójnych wyborów żadna okazja do wzmożenia ideologicznego nie może się przecież zmarnować. Po żadnej ze stron. I tylko dzieci szkoda. ©

PODSŁUCHANE

Geje do urn

Grzegorz, musisz coś zrobić z tym Czaskowskim i Nowacką, bo mi się ludzie buntują.

Tobie? Władek, myślałem, że tam u siebie masz posłuch, jak chłop na zagrodzie.

Żartuj sobie, a jak to wykipi, to zobaczysz. O, wczoraj np. delegacja z Małopolski przyjeżdża, ja wyciągam wódeczkę, normalnie, a oni: „Nie,

panie prezesie, my pić nie będziemy, kiedy nas tu giejstwo atakuje!”. I mówią, że u nich czy czwarte członków koła myśli do PiS-u przejść.

Ale jak to? Tak za friko? Ideowo?

Nie no, kto powiedział, że ideowo.

To znaczy, ideowo też, przez to giejstwo... No, te elgiebete itede właśnie, ale oczywiście mają tam też obiecane to i tamto. Ale,

mówią, jakby nie Czaskowski... Mógłbyś sobie te kpiny z nazwiska chociaż ty darować.

Jakie kpiny? Przecież ja z Krakowa jestem. No wiesz: „czydzieści czy”,

„czasnąć”... No więc, mówią, jakby nie oni i ta jego karta giejowska, to oni by nie odchodzili.

Ja czułem, że będę z tego jakieś kłopoty. Ale Rafał mi mówił, że w Warszawie jest pół miliona gejów i oni wszyscy na nas wtedy zagłosują.

A publicznie mówił, że dwieście tysięcy.

Bo trzysta to są podobno geje ukryci. Przed samymi sobą, ale jak będzie ta karta, mówił, to się ujawnią. ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nikt tak nie deprawuje dzieci jak kościół katolicki”

ELIZA MICHALIK, dziennikarka, na Twitterze (pisownia oryginalna).

fot. Jerzy Gumowski



Rasizm

„zapeszyl” porzekadłowo, w każdym razie jakiś „palec Boży” tkwił tutaj. Oto bowiem trzy doby przed Konferencją, dnia 11 lutego, kiedy nie przewidywano żadnej burzy polsko-żydowskiej — na łamach „Do Rzeczy” (7/2019) ukazał się, jak każdego poniedziałku, felieton Łysiaka, tym razem zatytułowany „Hebraizmy”, a poświęcony „znęcaniu się Żydów nad Polską, polskością i Polakami”, czyli zawziętemu żydowskiemu antypolonizmowi, notorycznemu szkalowaniu Polaków przez żydostwo jako współsprawców Holocaustu. Gdy trzy dni później padło z warszawskiej estrady tyle uwłaczających nam słów i wybuchła burza — telefon urywał mi się od pytań: jakim cudem przewidziałem to wszystko „tak czasowo w punkt”?! Żadnym, nie przewidziałem konkretnie tego skandalu, nie jestem jasnowidzem — wydrukowanie czekającego w mojej szufladzie na swoją kolejkę felietonu „Hebraizmy” akurat tuż przed Konferencją było zupełnym przypadkiem, czysta metafizyka. Ale dzięki jej sprawczej sile rzeczywistość dała „Do Rzeczy” fantastyczny bonus, ponieważ właśnie wtedy, kiedy z Warszawy płynęły ku opinii publicznej całego globu ohydne kontrpolskie wypowiedzi cudzoziemskich prominentów oraz żurnalistów (żydowskiego premiera Benja-

∞
„reysizam” — rasizm
w języku jidysz
∞

mina Netanjahu, żydowskiej gwiazdy amerykańskiego dziennikarstwa Andrei Mitchell, waszyngtońskiego sekretarza stanu Mike’a Pompeo) — w kioskach i w rękach Czytelników znajdował się mój tekst o tym, że takie kalumnie nękanie Polaków jest normą wskutek żydowskiej nienawiści wobec nas. Konkurencyjne „tygodniki opinii” mogły tylko zazdrościć. Znajomi radzili mi, bym dzwonił do Lisickiego z żądaniem potrójnego honorarium za ten fartowny zbieg okoliczności, czyli za ten „timingowy” cud.

Nim felieton „Hebraizmy” został w „Do Rzeczy” zastąpiony kolejnym moim felietonem — Israel Katz zdążył jeszcze uwieńczyć wisienką konferencyjny tort szkalowania Polaków, bredząc o antysemickim mleku z piersi Polek karmiących swe niemowlęta oraz zapewniając, że Żydzi nigdy nie wybaczą Polakom Holocaustu. Po czymś takim niejeden rodak mógł się zastanawiać: „I jak tu nie być antysemitą?!”. Inni zastanawiają się czy istnieje na świecie ktoś, wobec kogo żydostwo odczuwa większy gniew niż wobec Polaków. Ależ tak, drodzy Państwo. Jeszcze bardziej niż nas Żydzi nienawidzą tych swoich pobratymców, którzy naukowo (dowodowo, dokumentacyjnie, precyzyjnie) neglizują żydowskie zbrodnie i malwersacje. Exemplum były szef Wydziału Historii Żydowskiej na telawiwskim Uniwer-



Felieton ten miał się ukazać kilka tygodni temu, lecz Red. Lisicki wstrzymał jego druk, sprzeciwiając się zamieszczonej przeze mnie okładce broszury (widnieje obok), chociaż zilustrowałem

nią wzmiankę o demaskatorskiej książce żydowskiego uczonego, prof. Ariela Toaffa. Spór trwał długo. Zgodziłem się jedynie na to, by obrazek został bardzo zmniejszony. Nie upierałbym się, gdyby Żydzi respektowali układ zaproponowany im przez prof. Mirosława Dakowskiego: „Jak wy przestaniacie o nas kłamać, to my przestaniemy mówić o was prawdę”. Dalej o nas kłamią...

sytecie Bar-Ilan, prof. Ariel Toaff, który roku 2007 książką „Krwawa Pascha” dowiódł, że „żydowskie mordy rytualne, czyli zabijanie chrześcijan przez Żydów dla robienia macy”, to nie wymysł antysemickiej propagandy, tylko historyczny fakt, „real”. Albo znany żydowski politolog Norman Finkelstein, który dziełem „Przedsiębiorstwo Holocaust” (2001) wykazał, iż pamięć Holocaustu służy wyłudzeniu przez wpływowe organizacje żydowskie gigantycznych sum („odszkodowań”, „rekompensat”, „rewindykacji”, „zadośćuczynień” — do tego tematu wrócę wkrótce osobnym felietonem).

Polskie VIP-y, które od lat lekcewały publicznie ostrzeżenia przed nieubłaganym antypolonizmem Żydów (choćby jego publikacje na ten temat, rozpoczęte A.D. 1994 w „Tygodniku Solidarność” dużym artykułem „Aktualne rozwiązywanie kwestii polskiej”), i które interpretowały jako niegroźną mżawkę antypolską sline z ust oplacanych przez polskiego podatnika instytucji (Muzeum Polin, Muzeum Auschwitz, PAN-owskie Centrum Badań nad Zagładą), wreszcie nie wytrzymały i po enuncjacji ministra Katza ogłosiły gromko, że jest to „antypolski rasizm”. Pewnie że jest — na całym świecie nie ma większych niż Żydzi rasistów. Co zresztą przyznają uczciwi Żydzi — żydowski filozof André Glucksmann rzekł dla „Corriere della Sera”: „... Fundamentalistyczny rasizm żydowski przebija nawet rasizm muzułmański” (1996). Mogliśmy tego zakosztować podczas warszawskiej Konferencji, która miała być antyirańską, lecz okazała się antypolską. I która radykalnie odsłoniła nasze zawstydzające lokajstwo wobec Jankesów. Gdy w obecności cara Mikołaja I ktoś pochwalił jego świętę, car prychnął: „... Rien que des plats valets” (Sami płascy służalcy). Przez cały PRL dało się tę diagnozę stosować wobec naszych genseków. Czy dzisiaj musimy ją przywoływać również? ©

Waldemar Łysiak

Cytat: „— Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem swoich matek”. Te twarde słowa, wypowiedziane publicznie 18 lutego przez izraelskiego ministra spraw zagranicznych Israhela Katza, spowodowały u polskich elit politycznych ciężki Katzenjammer (nomen omen), gdyż elity te zrozumiały, że nasze praktykowane od lat władzidupstwo wobec państwa żydowskiego, całe to żenujące wazeliniarskie łaszenie się, kicanie, ustępowanie, kompromisowanie/kompromitowanie itp. (również urządzanie w Izraelu posiedzeń Grupy Wyszehradzkiej lub zgromadzeń polskich — czy planowane były obrady polskiego rządu bądź Sejmu w Tel Awiwie?...) zdało się „psu na budę”, jak mówi porzekadło. Było to piętnowane i za rządów PO-PSL, i za rządów PiS, czasami w sposób skrajny, ustami takich ekstremistów jak reżyser Grzegorz Braun, bądź jak czołowy polski maso-nolog, dr Stanisław Krajewski, według którego (vide kwartalnik „Opcja na Prawo” nr 1/2018) PiS-em kręci kabalistyczno-satanistyczna szajka Chabad-Lubawicz (masoneria czysto żydowska), zaś premier Mateusz Morawiecki potulnie wypełnia rozkazy wpływowego międzynarodowego manipulatora Lejba Fogelmiana („Pan Morawiecki słucha Fogelmiana, a Polski rząd sprzymierzył się z Chabad-Lubawicz”, itd.). To oczywiście bzdury klasyfikujące do Two-rek wszystkich tych „nacionalistów” rodzi-mych, którzy takie pierdoły wyznają i kolportują jako prawdę objawioną, jednak społeczeństwo pamięta świeże jeszcze piruety amizgowe naszych władz kiedy wybuchła afizra z „nowelizacją nowelizacji” ustawy o IPN, czyli jakże bolesne przeczekanie Pol-ski za sprawą furii i nacisków światowego żydostwa.

Luty, jeśli chodzi o politykę zagraniczną vel międzynarodową, przyniósł PiS-owi pecha, wlepiając mu koszmarną „wtopę”. Jej ukoronowaniem był rzeczony Katzenjammer z powodu wypowiedzi pana Katza, lecz jej fundamentem, bazą, „podgotówką” była wcześniejsza o parę dni Konferencja Bliskowschodnia. Ten międzynarodowy szczyt, który zbratani Żydzi i Jankesi, olewając zgodę bądź niezgodę Polaków, urządzili sobie w Warszawie 14 lutego 2019 roku gwo-li za-planowania „wojny przeciwko Iranowi” (słowa premiera izraelskiego) — okazał się dla Polski szczytem obciachu, wizerunkową katastrofą, gdyż zepsuł nam stosunki z wieloma ważnymi krajami i dał Żydom oraz ich amerykańskim kompanom okazję płucia „in situ”, czyli ze stołecznej estrady, na nasz naród i nasz kraj.

„Tygodnik Lisickiego” okazał się tu porzekadłowo „złym prorokiem”, czyli prorokiem dobrym kasandrycznie, a może tylko



**DRAPIEŻNIKU
DRAP
I WYGRYWAJ**



DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ Zdrapki